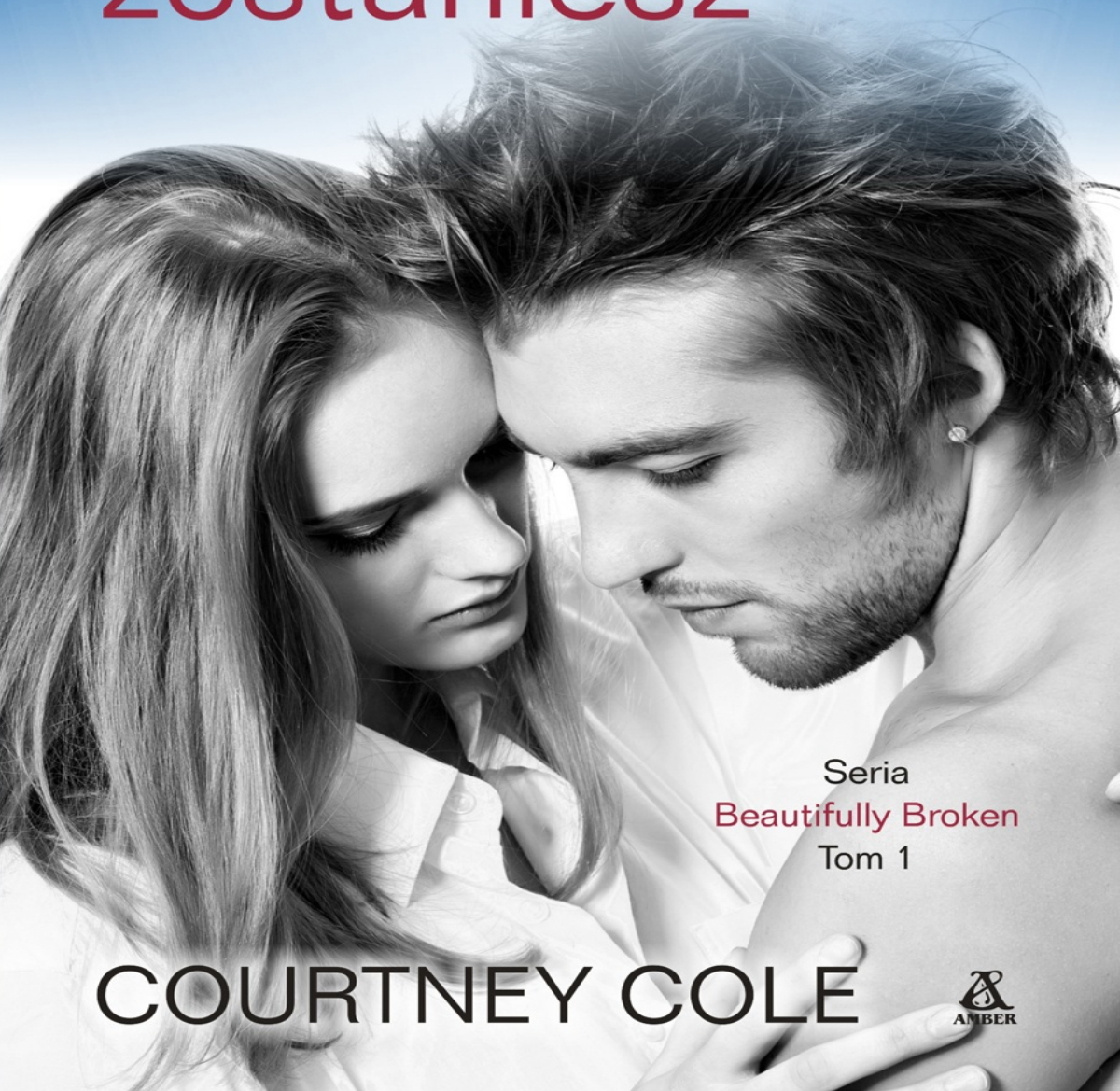


Jest miłość, w której ryzykujesz wiele.
Lecz jeśli wiesz, że to prawdziwa miłość – zostań...

JEŚLI zostaniesz

Jeden z największych
bestsellerów New Adult



Seria
Beautifully Broken
Tom 1

COURTNEY COLE



JEŚLI zostaniesz

COURTNEY COLE

Przekład
Julia Wolin



Wszystkim, którym ukojenie przyniosła niepamięć.

Rozdział 1

Pax?

Nie jestem pewien, czy naprawdę wypowiedziała moje imię. Głos ma stłumiony i mówi niewyraźnie, pewnie dlatego, że trzyma w ustach mojego kutasa.

Ześlizguję się po czarnej skórze siedzenia samochodu i mocniej dociskam jej głowę, bez słów nakazując, żeby wzięła mnie głębiej do gardła.

– Nie gadaj – dodaję. – Ssij.

Zamykam oczy i słucham. W ustach bulgocze jej ślina, wycieka kącikami ust. Ociera się policzkiem o mój rozpięty rozporek. Co jakiś czas jęczy, chociaż nie wiem dlaczego. Przecież nic z tego nie ma. Trzymam jej rękę na głowie i pcham, pcham. Narzucam kierunek i tempo. Łapię ją za włosy przy nasadzie szyi, wplatom w nie palce, ciągnę i odpuszczam, a potem znów ciągnę.

Ona jęczy.

Ja nadal nie znam powodu.

I mam to gdzieś.

Jestem na zajebistym haju.

Nawet nie wiem, jak ona ma na imię.

Wszystko poza tą chwilą spowija mgła. Wygłuszam dochodzące z prawej strony odgłosy jeziora Michigan i dźwięki samochodów na autostradzie, parę kilometrów dalej. Wygaszam blask rozświetlonego miasta. Nie słyszę ryczącej ciszy, wypieram pojawiającą się co jakiś czas myśl, że ktoś może nas zobaczyć. Ale na plaży nie ma nikogo, nie o dwudziestą trzeciej. Zresztą, co mnie to obchodzi, nawet gdyby był.

W tej chwili interesuje mnie tylko, że robi mi laskę.

Już wiem, że teraz nie skończę, ale nic jej nie mówię, bo nie chcę, żeby przestała. Odpycham ją dopiero po paru minutach.

– Odpocznij – mówię i siadam wygodniej.

Nie odsuwam się, tylko wzdycham przeciągle i rozluźniam się. Dziewczyna patrzy we wsteczne lusterko i chce coś zrobić z masakrą na twarzy.

– Czekaj – polecam. – Jeszcze chwila. – Patrzy na mnie zdziwiona. Ma rozmazaną szminkę. Uśmiecham się. – Wiem, na co masz ochotę. – Wyciągam z kieszeni kurtki małą buteleczkę. Wysypuję kilka okruchów koki na lusterko leżące na desce rozdzielczej i rozkruszam je żyletką, a potem rozdzielam na dwie kreski.

Podaję jej krótką rurkę i teraz to ona się uśmiecha ustami jak u klauna.

Wciąga trochę, kaszle, a potem kończy.

Opiera się i odchyła głowę. Czeka, aż narkotyk zacznie działać. Ma pusty wzrok. Odrzuca mi rurkę, a ja

waham się tylko przez moment.

Dzisiaj już brałem. Więcej niż zwykle.

Więcej wszystkiego.

Ale z jakiegoś powodu wyjątkowo bardzo chcę się rozpuścić w nicości. W takie dni biorę mocniejszy towar. Sięgam po rurkę i wciągam swoją kreskę. Wdycham proszek, który jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Gdy na nic innego nie mogę liczyć, liczę na niego.

Znajome pieczenie natychmiast znieczula mi gardło. Niebyt rozlewa się po reszcie ciała, wytlumia mi zmysły, przyśpiesza bicie serca. Czuję, jak płynie przez nie tętniąca krew, przetacza się, dudniąc, i niesie tlen do bezwładnych palców.

Uwielbiam to kurestwo.

Kocham, jak wszystko wytlumia. Wyostrza mi świadomość, ale reszta pozostaje czarna i sparaliżowana.

Teraz mi dobrze. Gdy odpływam w tę nicość, ciemność.

Dzięki koce łatwiej się istnieje w niebycie.

Zgarniam palcami resztki proszku i wcieram w wyprężonego fiuta, a potem znów łapię dziewczynę za kark. Dociskam jej głowę, a ona łapczywie otwiera usta. Teraz nic się nie dzieje wbrew jej woli. Ona chce tu być.

Podkarmiłem jej żądzę.

Może zlizywać swój nałóg z mojego fiuta. Jeśli teraz jęknie, uwierzę, bo i ona coś z tego ma.

– Kończ – mówię. Zaczyna się poruszać. Głaszczę ją po plecach, ale nie czuję palców.

Jej głowa podskakuje jeszcze przez parę minut, a potem, bez ostrzeżenia, dochodzę w jej ustach. Szeroko otwiera oczy i zaczyna się odsuwać, a sperma wycieka z jej warg, ale szybko ją łapię za szyję i przytrzymuję, aż kutas przestanie pulsować.

– Połknij – polecam uprzejmie. Niewidzące oczy otwierają się szerzej, ale słucha. Uśmiecham się. Ona się dławi, ale nie wymiotuje. – Dziękuję. – Nadal jestem uprzejmy. A potem nachyliłam się nad nią i otwieram drzwi od strony pasażera. Trzeszczą, gdy je popycham, dowodząc, że w 1968 roku samochody się robiło z żelaza. Wyciągam portfel i daję jej pogniecioną dwudziestkę.

– Kup sobie coś do jedzenia – mówię jej. – Jesteś za chuda.

Wygląda jak laski, które lubią kokainę. Stanowczo zbyt szczupło. To jedyna wada tego towaru. Świetnie się sprawdza, jeśli trzeba odpłynąć w nieistnienie, ale masakrycznie odbiera apetyt. Jak się nie zmusisz, żeby jeść regularnie, szybko zaczniesz wyglądać jak szczapa.

Ona nie jest nadmiernie wychudzona. Jeszcze. Nie jest brzydka. Ładna też nie. Przede wszystkim wygląda na skamieniałą. Ma mysie włosy, bladoniebieskie oczy, kościste, sztywne ciało, beznamietne. Mogę ją zabrać albo tu zostawić.

Zostawię ją.

Patrzy na mnie wściekle i ociera usta.

– Samochód mam w mieście. Nie możesz mnie przynajmniej podrzucić?

Patrzę na nią i zauważam, że jest jej trzy sztuki, które po chwili stapiają się w jedną. A potem znowu są trzy. Potrząsam głową, żeby odzyskać ostrość widzenia.

Nie ma rady. Nadal trzy.

– Nie mogę. – Głowa mi leci na zagłówek. – Jestem za bardzo nawalony, żeby prowadzić. Przecież to niedaleko. Nie moja wina, że nosisz obcasy jak striptizerka. Zdejmij, będzie ci łatwiej iść.

– Jesteś pierdolonym dupkiem – syczy wściekle. – Wiesz o tym?

Zabiera z podłogi torebkę i z całej siły zatrzaskuje drzwiczki. Mój samochód, Danger, aż się trzęsie.

Tak, mój samochód ma imię. Dodge charger z 1968 roku w doskonałym stanie zasługuje na imię.

Nie, nie obchodzi mnie, że ta nawalona kokainą mała suka uważa mnie za dupka. Jestem dupkiem. Nie zamierzam zaprzeczać.

Jakby na dowód okazuje się, że nadal nie pamiętam, jak ona ma na imię, chociaż przywołanie imienia auta zajęło mi sekundę. Może sobie przypomnę rano, a może nie. Lata mi to. Ona i tak wróci. Zawsze wraca.

Mam to, czego chce.

Zdejmuję kurtkę i kładę na siedzeniu pasażera, zapinam rozporek i widzę, jak odchodzi. Potem otwieram swoje drzwi, wystawiam jedną nogę w

czarnym buciorze na zewnątrz i czekam, aż chłodna bryza owieje moje rozgrzane, rozpalone ciało.

Otoczenie jeziora jest poszarpane, dzikie i wirujące. Tak rozległe, że czuję się mały. Prawie nie ma gwiazd, noc jest czarna jak smoła,. Można w niej zniknąć. Noc jak dla mnie stworzona.

Opieram głowę o zagłówek i pozwalam światu, żeby wirował. Siedzenie jest jak kotwica, która łączy mnie z ziemią. Gdyby nie ono, uleciałbym w kosmos i nikt by mnie więcej nie zobaczył.

Co zresztą nie jest złą perspektywą.

Samochód kręci się trochę jednak za szybko. Nawet w tym stanie to wiem. Ale nie zamierzam się przejmować. Po prostu sięgam po fiolkę i wyjmuję coś na spowolnienie. Ta fiolka jest jak kapelusz magika. Wszystkiego w niej po trochu. Na spowolnienie i przyspieszenie białe i niebieskie, pigułki, kapsułki albo okruchy. Mam, co potrzebne.

Popijam pigułkę whisky. Nie czuję pieczenia, gdy spływa w dół gardła. Przez chwilę się zastanawiam, co tak wiruje i rozmazuje się. Stwierdzam, że powinienem wziąć jeszcze jedną. Albo nawet dwie. Wkładam je do ust, łykam jacka i rzucam butelkę na podłogę po stronie pasażera. Nawet nie wiem, czy ją zakręciłem.

Mam to gdzieś.

Wywołana narkotykami mgła uniemożliwia mi widzenie. Wszystkie odcienie czerni i szarości skręcają się w wir, więc zamykam oczy. Cały czas wydaje mi się,

że się poruszam, że samochód się kręci.

Noc mnie połyka i wyrzuca w czerń, w niebo wysoko nad chmury. Żegluję wśród gwiazd, mijam księżyc. Wyciągam rękę i dotykam go palcem.

Śmieję się.

Albo tak mi się zdaje.

Na tym etapie trudno stwierdzić. Nie wiem, co się dzieje naprawdę, a co nie. I tak jest dobrze.

Rozdział 2

MILA

Uwielbiam noc.

Wszystko, co z nią związane.

Czerń ukrywa rzeczy, których nie chcę wcale widzieć, a jednocześnie odsłania te nie do zobaczenia za dnia. Kocham gwiazdy, księżyc i aksamitną wilgoć na skórze. I to, że jezioro Michigan robi się czarne i lśniące, jakby było zrobione z onyksu, na który pada światło księżyca.

Nocą wszystko wydaje się trochę niebezpiecznie. Może za to też ją lubię.

Biorę aparat i idę po miękkim, wilgotnym piasku. Tutaj wiatr zawsze jest chłodny, ale tylko dlatego, że wieje znad jeziora. Woda też zawsze jest lodowata, nieważne, czy latem czy zimą, jakby Bóg zanurzył w niej wiadro lodu. Owijam się ciasniej swetrem i dopiero wtedy patrzę znów przez wizjer.

Księżyc jest dziś w pełni i wisi tuż nad horyzontem, w miejscu, gdzie woda spotyka się z niebem. Jest lekko

czerwony, to się rzadko zdarza. Żeglarze nazywają go Krwawym Księżycem. Już wiem, dlaczego. Jest niezmiernie i piękny. Hipnotyzujący. Dlatego tu dziś przyszedłam.

Zaczynam robić zdjęcia: klękę, wstaję, potem znów klękam.

Gdy kłęb mgły zawisa przed księżycem, aż mi zapiera dech. Nigdy jeszcze nie widziałam idealniejszego ujęcia. Będzie z tego niesamowity obraz. Odbitka zdjęcia w ramie zresztą też. Wszystko pasuje, bo mam klientów na jedno i na drugie.

Robię chyba ze sto zdjęć i dopiero wtedy jestem usatysfakcjonowana światłem, kompozycją i kątem. Chowam aparat do torby, wdycham głęboko świeże, krystaliczne jeziorne powietrze i rozkoszuję się drogą powrotną wzdłuż plaży. Uwielbiam, kiedy stopy mi się zapadają w srebrzystym piasku i nie przejmuję się w ogóle, gdy co jakiś czas potknę się o wyrzucony przez wodę patyk.

W taką noc można dać myślom odpłynąć. Powietrze stoi nieruchomo, a cisza aż zniewala. Nawet mewy poszły spać, więc nikt mnie nie rozprasza. Całkowite i doskonałe odosobnienie.

Wiatr zwiewa mi włosy z twarzy, a ja nieuważnie myślę o tym, co mam do zrobienia w studiu i co jutro zamówić, gdy będę robić zakupy. Zastanawiam się też, czy zamknęłam dom, jak wychodziłam. Nawet jeśli nie, nie byłoby wielkiej tragedii.

W większym mieście musiałabym być ostrożniejsza. A już na pewno nie mogłabym tak sobie samotnie chodzić po nocy. Ale tutaj, w Angel Bay, jestem całkiem bezpieczna. Odsetek przestępstw jest taki jak w miasteczku z amerykańskiego serialu z lat pięćdziesiątych. Najgorsze przestępstwo, jakie może się tu zdarzyć, to gdy w szczycie sezonu jakiś turysta przejdzie na czerwonym świetle.

Wspinam się po wydmie na parking, gdzie zostawiłam samochód i zaskoczona widzę czarne, lśniące auto stojące maską do jeziora. Nie było go tu, jak przyjechałam.

Wzdycham. I już po odosobnieniu. Ale to przecież nieważne. I tak już wracam.

Wkładam buty i ruszam do auta, ale po drodze zauważam, że drzwiczki tego drugiego samochodu są otwarte na oścież. Słyszę ze środka ciche dzwonięcie. Pewnie kluczyki cały czas są w stacyjce.

To dziwne. Przystaję i patrzę na to auto.

Nie czuję się pewnie, bo jest ciemno, a ja jestem sama. A jednak nieustające pobrzękiwanie przyciąga mnie do otwartych drzwi. Mam nadzieję, że to nie psychopatyczny morderca... Zaciskam dłonie na komórce schowanej w kieszeni, jakby mogła mnie uchronić przed niebezpieczeństwem. Może to idiotyczne, ale i tak jej nie wypuszczam.

Zbliżam się i widzę dyndający nad ziemią czarny, znoszony but. Nie rusza się.

Normalnie bym się nad tym nie zastanawiała. Uznałabym, że właściciel czarnego buta po prostu śpi, ale coś mi nie pasuje. Aura namacalnego poczucia, że coś jest nie tak, unosi się wokół jak chmura. Mało kto byłby w stanie spać wśród tego nieznośnego buczenia dochodzącego ze środka.

Opieram się o drzwi i zaglądam. Od razu zakrywam usta i nos. Czuję obezwładniający smród wymiocin i natychmiast zauważam dlaczego. Facet na przednim siedzeniu stracił przytomność, ubabrany w kałuży pomarańczowo-czerwonych rzygów. Usta ma otwarte, dolna szczęka wisi mu bezwładnie, a kleiste smugi spływają z brody na pierś. Wzdrygam się. Założę się, że miewał w życiu lepsze chwile.

Jest niepokojąco nieruchomy, ale wiem, że oddycha, bo wydaje przy tym dziwne gulgoczące odgłosy. Wokół przegrody w nosie wibrują ciche chrapnięcia, tłumione wymiocinami bąblującymi wokół jego ust.

Nie wygląda to dobrze.

Dławię się od smrodu, ale potrząsam jego ramieniem. Głowa zupełnie luźno opada mu na pierś. Znów nim potrząsam, ale nie reaguje. Głowa podryguje jak u lalki ze złamaną szyją.

Cholera.

Wpadam w coraz większą panikę, a serce wali mi wśród żeber jak uwięziony koliber. Nie wiem, co robić. Może tylko urwał mu się film, bo za dużo wypił? Przecież widzę na podłodze butelkę whisky, która

potwierdzałyby tę teorię. Ale coś jednak jest nie tak. Nie umiem stwierdzić co dokładnie, ale moja intuicja alarmuje.

Robię więc pierwsze, co mi przychodzi do głowy.

Wyciągam telefon i dzwonię pod numer alarmowy.

Ktoś odbiera po drugim dzwonku i pyta, co się stało.

– Nie jestem pewna – mówię nieśmiało. – Nazywam się Mila Hill i stoję na parkingu przy Goose Beach. Jest tu facet, stracił przytomność w swoim samochodzie. Nie mogę go dobudzić. Coś jest chyba nie w porządku.

– Oddycha? – spokojnie pyta kobieta na drugim końcu linii. Sprawdzam jeszcze raz i potwierdzam, że tak. – To dobrze – stwierdza ona. – Czy da pani radę poczekać tam, aż przyjedzie pomoc?

– Tak – mówię. – Zaczekam.

Teraz, kiedy już wiem, że pomoc jest w drodze, uspokajam się.

Cofam się o kilka kroków i przyglądam się nieprzytomnemu mężczyźnie.

Wciąż się nie rusza, nie licząc powolnego, nierównego unoszenia się i opadania klatki piersiowej. Z trudem przełykam ślinę i starannie go lustruję. Na opalonym bicepsie ma tatuaże, a u podstawy kciuka poszarpaną bliznę w kształcie iksa. Wiem to, bo teraz na zewnątrz samochodu zwisa jego ramię. Wymiociny płyną po przedramieniu i skapują na chodnik. Wzdrygam się, ale do niego wracam. Łapię go za rękę i kładę mu na brzuchu.

Jest szczupły i twardy. I cały w rzygach. Gdyby nie był nimi umazany, uznałabym go przystojnego. Tego jestem pewna, mimo ciemności. Może mieć dwadzieścia parę lat. Ubrany w czarne dżinsy i czarny podkoszulek. Włosy ma jasnobrązowe. Do tego jednodniowy zarost. Naprawdę chciałabym, żeby otworzył oczy.

– Obudź się – mówię. Nie znam go, ale wiem, że chcę, żeby wszystko było dobrze. Widziałam znajomych, którym urywał się film po alkoholu. To nie to. Tylko coś o wiele gorszego. Poznają po tym dziwnym rżeniu dochodzącym z jego nosa.

Zerkam na jego auto. Widywałam je w mieście, ale gościa nie znam. Nigdy na niego nie wpadłam. Aż do teraz. Jeśli chodzi o pierwsze wrażenie, mogło być lepiej...

Próbuję go znów dobudzić, kiedy słyszę rozwścieczony damski głos:

– Pax, ty pierdolony dupku, nie dojdę do miasta, musisz mnie zawieźć. Nie żartuję.

Zamieram, a potem się prostuję i staję twarzą w twarz z autorką tych niezbyt przyjaznych słów.

Jest równie wstrząśnięta jak ja.

Ją znam z widzenia. To ta lekko zaniedbana kobieta, która całe dni spędza w barze przy Main Street. Mam sklep kawałek dalej, więc widywałam ją na ulicy. Jest ubrana w super obcisłą spódniczkę mini i bluzkę tak krótką, że widzę jej pępek. Pokryta jest starymi, wyblakłymi tatuażami, a makijaż ma rozmazany. Co za

szyk!

– A coś ty za jedna? – pyta i krzywym krokiem zbliża się do auta. Brązowe włosy ma nieświeże i potargane. Wygląda nieprzyjemnie. Potem zaczyna krzyczeć, bo dostrzega chłopaka w aucie.

– Pax! – Rzuca się do niego. – Boże! Obudź się. Obudź się! Nie powinnam cię była zostawiać. Ja pierdołę, ja pierdołę!

– Co mu się stało? – pytam szybko. – Wezwałam pomoc, bo nie mogłam go dobudzić.

Prostuje się i patrzy teraz na mnie.

– Zadzwońska na policję? – warczy. – Po co?

Ciekawe. Zdaje się, że jej sposób myślenia jest zupełnie inny niż mój. Priorytety ma w innym miejscu.

– Bo on potrzebuje pomocy – informuję ją. – Jak może widzisz. Karetka już jedzie.

Łypie na mnie groźnie, a w tej samej chwili facet w aucie, Pax, znów zaczyna rzezić. A potem nagle milknie. Nie rusza się, broda opada mu na pierś, która już się nie unosi.

Patrzymy na siebie z tą kobietą.

– Nie oddycha! – drze się i łapie go za ramiona. – Pax! Obudź się!

Potrząsa nim tak mocno, że aż dzwonią mu zęby. Łapię ją za rękę.

– To mu nie pomoże.

Cholera jasna. Ma rację, on nie oddycha. Myśli mi szaleją, usiłuję zaplanować, co robić, ale zanim

dochodzę do jakiegokolwiek wniosku, moje ciało przejmuje kontrolę.

Odpycham kobietę i z całej siły ciągnę Paxa za rękę. Udaje mi się go wyszarpać tylko do połowy, zwisa z samochodu i prawie wali głową w beton. Nogi zaklinowały mu się pod kierownicą. Oboje jesteśmy wymazani jego cuchnącymi wymiocinami.

– Pomóż mi – warczę do znieruchomiałej kobiety. Otrząsa się z odrętwienia i we dwie transportujemy mężczyznę z samochodu na zapiaszczony chodnik. Klękam przy nim i usiłuję wyczuć bicie serca. Biję, ale bardzo słabo i nierówno. Zresztą, nie oddycha, więc i to bicie nie potrwa długo.

Cholera!

Usiłuję sobie przypomnieć, jak się robi sztuczne oddychanie. Nie pamiętam, więc robię cokolwiek. Zatykam mu nos, odchylam głowę i wdmuchuję powietrze do ust. Smakuje popielniczką, jackiem danielsem i rzygami. Usiłuję powstrzymać odruch wymiotny, ale mi się nie udaje. Odsuwam się i dławię. Potem wdmuchuję mu w usta jeszcze kilka porcji powietrza.

Znów się dławię. Przykładam ucho do jego klatki piersiowej.

Nic.

Nadal nie oddycha.

– Zrób coś – syczy kobieta.

Nie słucham jej. Wdmuchuję powietrze do ust Paxa.

I znów.

I znów.

Nic.

Co teraz?! Wstrętny smak już mnie nie obrzydza, jestem skupiona na wypełnianiu jego ust tlenem i zmuszaniu go do samodzielnego oddychania. Tylko że mi nie wychodzi.

On nie oddycha.

Wpadam w panikę, sama jestem na skraju hysterii, ale robię jeszcze dwa wdechy. Po tym muszę odskoczyć, bo on się najpierw dławi, potem kaszle, a w końcu tryska nową fontanną pomarańczowych wymiocin.

Szybko przewracam go na bok, żeby się nie udławił.

Jesteśmy już oboje cali ufajdani. Nie jest to przyjemne, ale przynajmniej zaczął oddychać. Powoli, ten oddech się urywa, ale jest. Wciąż ma zamknięte oczy, ale teraz widzę, jak pod powiekami szybko się przesuwają gałki oczne.

Nagle dostaje drgawek.

O mój Boże. Teraz już nie wiem, co robić.

– Co się dzieje? – krzyczę do stojącej za mną dziewczyny.

Nawet na nią nie patrzę, jestem skupiona na pomarańczowej pianie ciekącej z jego ust. Tryska w górę, wpływa mu do nosa, a krople opadają na wszystko wokoło. Kilka pomarańczowych kleksów ląduje mi na swetrze.

Łapię go za rękę i przytrzymuję. Jest silny, nawet w

tym stanie muszę zaangażować całą siłę, żeby go unieruchomić. Leżę mu prawie na piersi, ściskając pod sobą jego złożone ramiona. Po chwili drgawki ustają i leży bezwładnie. Ale oddycha. Słyszę w jego piersi rżenie. Wydaje mi się, że każdy wdech to nadludzki wysiłek.

Zaraz się rozplączę, już nie wiem, co robić, ale widzę, jak w karoserii odbijają się czerwono-niebieskie światła.

Ulga prawie odbiera mi siły. Jest pomoc.

Dzięki Bogu.

– Biegnij tam i ich przyprowadź – mówię do dziewczyny. Ale kiedy się odwracam, okazuje się, że jej nie ma.

Co jest, do cholery?

Wpatruję się w ciemność i widzę, jak znika za najbliższą wydumą. Najwyraźniej nie ma ochoty na spotkanie z nikim.

Ciekawe.

Sanitariuszom wyjście z karetki i przystąpienie do udzielania pomocy zajmuje jakąś minutę.

Nie wiem, co z sobą zrobić, więc się wycofuję i czekam. Patrzę, jak wpychają mu do gardła rurkę i uciskają pierś, co może oznaczać tylko jedno.

Jego serce przestało bić.

Kiedy to do mnie dociera, moje też się zatrzymuje.

Chociaż właściwie nie wiem dlaczego. Prawie go nie znam. A jednak ta cała sytuacja w jakiś dziwny sposób mnie z nim związała. To głupie, ale nic nie poradzę.

Jedyne, co o nim wiem, to jak się nazywa.

Pax.

Słyszę dźwięk gruchoczących kości, gdy uciskają mu klatkę piersiową, żeby zmusić jego serce do bicia. Krzywię się i odwracam wzrok, próbuję nie słuchać. Właśnie w tej chwili, gdy zaciskam powieki, podchodzi do mnie policjant i zasypuje pytaniami.

Czy go znam?

Co tu robiłam?

Jak go znalazłam?

Czy był sam?

Czy wiem jak długo tu był? Czy wiem co z nią? Czy wiem ile w jego monotonne pytania padają jedno za drugim, a ja odpowiadam najlepiej, jak umiem.

Kończy akurat, gdy sanitariusze ładują Paxa do karetki. Sami biegną do przodu, wskakują, opony zgrzytają, a oni wyjeżdżają na drogę prowadzącą do miasta. Włączyli syreny.

To chyba dobry znak.

Bo on wciąż żyje.

Prawda?

Stoję jak wmurowana, trzęsę się i patrzę, jak policjant przeszukuje samochód. Wkłada jakieś rzeczy do plastikowych torebek i kręci głową.

– Niepotrzebnie się kłopotczę. Tatuś i tak nie da mu zrobić nic złego, jak ostatnio.

Tak mamrocze, że nie wiem, czy mówi do mnie, czy do siebie. Pytam.

Uśmiecha się ponuro.

– Chyba i do siebie, i do pani. Frustruje mnie ta sytuacja. Ten dzieciak mógłby podbić świat, a uparł się, żeby skończyć jak szmata. Przepraszam za język. Żeby się jakoś ogarnął, musi wylądować w więzieniu albo na odwyku. Ale jego tatuś jest wielkim adwokatem w Chicago i zawsze go przed tym uchroni. Za którymś razem wywieziemy go w worku na zwłoki. Miał szczęście, że go pani znalazła na czas, bo zrobilibyśmy to już teraz.

Szczęście.

Przypominam sobie pomarańczową pianę tryskającą z jego ust i miotające się w konwulsjach ciało i nie wiem, czy sama użyłabym tego słowa. Ze wszystkich cech, jakie można mu przypisać, szczęście nie wydaje się adekwatną.

Roztrzęsiona idę do samochodu i ciężko opadam na siedzenie. Jestem cała w wymiocinach, a w ustach mam taki smak, jakbym wylizywała popielniczkę z najobskurniejszego baru świata. Łapię butelkę wody, biorę łyk, potem przepłukuję usta i wypluwam na ziemię.

Co się do cholery stało? Przyszłam zrobić zdjęcia niewzruszonemu księżycowi w pełni, a skończyło się na tym, że uratowałam komu życie.

Chyba, że on i tak umrze.

Wtedy się okaże, że nie zrobiłam zupełnie nic, nie licząc wymazania sobie ust cudzymi rzygami i ujrzenia

scen, które jeszcze przez jakiś czas będą mnie prześladować w snach.

Biorę kolejny łyk wody i przekręcam kluczyk.

Mam nadzieję, że on nie umrze.

Naprawdę.

Rozdział 3

PAX

Czuję, jak światło usiłuje mi się wedrzeć pod zamknięte powieki, więc zaciskam je mocniej. Nie jestem jeszcze gotowy, żeby się budzić. Pieprz się, świecie, zaczekasz.

Uparcie odmawiam otwarcia oczu, na ślepo sięgam po fiolkę. Powinna być w zasięgu ręki, na stoliku nocnym, razem z paczką papierosów, zapalniczką i żyletką.

Niespokojnie przebieram palcami, ale łóżko nie stoi tam, gdzie powinno.

Mamrocę pod nosem. Postanawiam, że jeśli się okaże, że to sprzątaczką przestawia mi rzeczy, zwolnię ją.

Świadomość jednak wraca kawałek po kawałku i w końcu do mnie dociera, że nie jestem tu, gdzie powinienem. Łóżko pode mną jest twarde i wąskie, a gdy się poruszam, słyszę skrzypienie plastiku.

Co jest, kurwa?

Otwieram oczy i widzę coś w stylu sali szpitalnej. W ręce mam igłę biegnącą do kroplówki, a na sobie cienki szpitalny łasek. Na moich stopach leży koc, a po obu stronach łóżka są bariery.

Co.

Jest.

Kurwa?

Rozglądam się szybko. Jestem sam. Ściany są gołe i białe, ale na tablicy widnieje napis: „Dziś dyżur ma Susan”. Zegar tyka. Tik-tak, tik-tak. Wkurza mnie ten dźwięk. Czarne ramię na tarczy informuje mnie, że jest siedem po trzeciej.

Jak długo tu leżę? Na krześle widzę plastikowy worek z moim nazwiskiem wypisanym czarnym markerem. Na podłodze stoją moje buty.

I już.

Jestem sam w szpitalu, ale nie pamiętam, jak się tu znalazłem.

Nie wiem, co myśleć.

Skupiam się, zachowuję spokój. Staram się sobie przypomnieć ostatnie miejsce, w jakim byłem.

Przywołuję porwane, mgliste wspomnienia: głośny szum, księżycowa noc. Piasek. Gwiazdy.

Plaża. Byłem na plaży z tą dziwką z baru, Jill. Ona jest gotowa na wszystko za kreskę koki. A ja miałem ochotę, żeby mi ktoś obciągnął, więc po nią zadzwoniłem. Więcej nie pamiętam.

Nie, jeszcze widok Jill, jak odchodzi. Chyba

krzyczała.

I już.

I teraz jestem tutaj.

Kuuuurwwwwa.

Jęczę. Do pokoju wpada pielęgniarka w spranym niebieskim fartuchu. Na szyi zawiesiła stetoskop. Widzę, że jest zmęczona. To pewnie Susan. Na chwilę się ożywia, gdy widzi, że się obudziłem.

– Odzyskał pan przytomność, panie Tate – mówi z zainteresowaniem.

– Jaka pani błyskotliwa! – wzdycham ze znużeniem i opieram głowę o poduszki. Powinno mi być wstyd, że zachowuję się wobec niej jak kutas, ale nie jest. Jedyne, co czuję, to ból i zmęczenie. Szarpię za igłę od kroplówki. Jest przyklejona plastrem, który ciągnie mnie za włoski na ręce. – Może mi to pani wyciągnąć? Szczypie.

Zmęczone oczy Susan są teraz rozbawione. Wkurza mnie to.

– Coś panią bawi?

Kręci głową i wywraca oczami.

– Nie. Nie ma nic zabawnego w dwudziestoczteroletnim dzieciaku, który próbuje się zabić. Dziwi mnie tylko, że narzeka pan na igłę od kroplówki, która wlewa w pana życie, a nie przeszkadzało panu szczypanie w nosie, kiedy pan przedawkowywał.

Patrzę na nią najbardziej wrogo, jak się da, ale trudno

zrobić na kimś wrażenie, gdy się ma na sobie przezroczystą szpitalną koszulę związaną na plecach.

– Nie próbowałem się zabić – warczę. – Gdybym chciał, zrobiłbym to dawno temu. Tylko miękkie pizdy się zabijają. A ja nie jestem miękką pizdą. Kim pani jest, żeby mnie oceniać? Nie zna mnie pani.

Jestem wściekły na jej pełną potępienia minę i bezsensowne sugestie. Szmata w spranym fartuchu, zarabiająca piętnaście dolców za godzinę, myśli, że może mi prawić kazania.

– Proszę nie przeklinać – mówi uprzejmie wredna pielęgniara, wciskając jakiś guzik przy maszynie dozującej kroplówkę. – Jestem tu, żeby pomóc. Nie osądzam pana. Widziałam gorsze rzeczy. Poinformuję pańskiego lekarza, że się pan obudził. A tymczasem przekazuję panu to, co zostawił ojciec.

Podchodzi do małej szafeczki z płyty wiórowej, która stoi przy łóżku, wyjmuje złożoną kartkę papieru i podaje mi. Gdy przy okazji dotyka suchymi palcami mojej skóry, znika z jej oczu wyraz poirytowania i pojawia się w nich współczucie. Nie znoszę sentymentów.

Łapię kartkę i zgniatam w dłoni.

– Jak długo tu jestem? – pytam.

Mówię spokojnie, niemal uprzejmie. Ona ma rację. Jest tu, żeby pomóc. W każdym razie płacą jej za to, żeby się mną opiekowała. Wkurzanie jej nie leży w moim interesie. W końcu ona trzyma pieczę nad

środkami przeciwbólowymi.

Patrzy na kartę choroby.

– Wygląda na to, że od czterech dni.

– Cztery dni? – Jestem w szoku. – Cztery dni?! Jakim cudem?

Wpatruje się we mnie, a na jej nijakiej twarzy maluje się stanowczy wyraz.

– Był pan w naprawdę złym stanie. W bardzo złym. Miał pan wielkie szczęście. Pana serce dwa razy przestało bić, konieczne było sztuczne oddychanie. Został pan wprowadzony w stan śpiączki, żeby pana organizm mógł spokojnie dojść do siebie po wstrząsie, jaki zafundowało mu przedawkowanie. Może pan odczuwać dyskomfort w gardle i bolesność klatki piersiowej. Był pan intubowany, a w czasie masażu serca złamaniu uległo kilka żeber.

Wpatruję się w nią jak debil.

– Umarłem?

Kiwa głową.

– Można tak powiedzieć. Ale teraz pan żyje. Dostał pan wielki dar. Proszę to przemyśleć. Pójdę po lekarza.

Odwraca się na pięcie i wychodzi. Białe tenisówki skrzypią.

Jestem oszołomiony.

Kurwa, umarłem!

A teraz, kiedy o tym powiedziała, zaczynają mnie boleć żebra, Ja pierdolę. Jęczę, gdy ból przecina mnie w pół. Przypominam sobie o zwiniętej w ręce kartce

papieru. Patrzę na nią. Duże, zamaszyste litery.

Pismo ojca.

Pax,

Tym razem pomogłem Ci tylko cudem. Sięgnąłem do ostatecznej instancji. Jak zawalisz następnym razem, pójdziesz siedzieć.

Weź się w garść. Jeśli potrzebujesz pomocy, poproś o nią.

Powinieneś się przenieść do Chicago, żeby być bliżej mnie. Pomogę Ci, jak tylko będę mógł. To, że masz pieniądze, nie znaczy, że nie potrzebujesz wsparcia emocjonalnego. Nie możesz wszystkiego robić sam.

Pomyśl o tym.

I nie pakuj się już w kłopoty.

Tata

Nie parskam śmiechem tylko dlatego, że będzie bolało. Co on sobie kurwa wyobraża? Propozycja zapewnienia mi emocjonalnego wsparcia jest tak idiotyczna, że nie można jej brać poważnie. Ja nawet nie wiem, czy on ma jakieś emocje! Już chyba nie. Przynajmniej odkąd umarła mama. Zabrała ze sobą ludzką stronę Paula Tate'a.

Wrzucam list do kosza na śmieci, ale kulka odbija się od krawędzi i spada na podłogę. Cholera.

Zastanawiam się, czy wstać i iść po nią, ale uznaję, że nie ma sensu. Za bardzo mnie boli, a to przecież nic ważnego. Sprzątaczką podniesie.

Nie kończę jeszcze tej myśli, gdy przy zgniecionej

kartce papieru pojawia się czubek buta. Podnoszę wzrok i widzę obok siebie dziewczynę. Patrzy na mnie jasnymi zielonymi oczami. Trzyma wazon pełen kwiatów.

Jest zajebiście piękna.

Od razu cały się napinam.

Jest drobna, ma długie ciemne włosy przerzucone przez ramię i jasne zielone oczy okolone gęstymi, czarnymi rzęsami. Skórę ma białą, promieniejącą. Ale czemu ja się gapię na jej skórę, skoro ma takie cycki?! Siłą odrywam wzrok od pełnych, sterczących piersi i skupiam się na jej twarzy.

Uśmiecha się szeroko i odsłania białe zęby. Pięknie się uśmiecha.

– Cześć – mówi łagodnie. – Nie wiedziałam, że nie śpisz.

Mówi jakoś tak, jakby mnie znała.

Nic nie rozumiem. Byłem aż tak zjebany? Znam tę laskę? Instynkt podpowiada, że nie. To nie jest dziewczyna, z jaką mógłbym spędzać czas. Zwykle wybieram te napalone, które zrobią wszystko, czego zażądam, bo wiedzą, że dam im, czego trzeba.

Ona taka nie jest. To oczywiste. Emanuje słońcem i zdrowiem. To dla mnie coś nowego. Ale fascynującego.

Przekrzywiam głowę.

– Przepraszam, czy my się znamy?

Rumieni się teraz. Dyskretny róż pokrywa łagodny łuk jej policzka. Mam ochotę dotknąć tego koloru palcami, sam nie wiem dlaczego.

– Nie – odpowiada zawstydzona. – Boże, wiem, że to dziwne. To ja cię znalazłam na plaży. Byłam tu już, żeby sprawdzić, czy wszystko u ciebie dobrze. A teraz postanowiłam przynieść kwiaty, bo ten pokój jest strasznie łyśy. Jestem malarką, uwielbiam kolory. Wyszłam teraz na psycholkę, prawda?

Krąży po pokoju i to jest cholernie słodkie. Uśmiecham się. I czuję się od razu jak wilk w obecności Czerwonego Kapturka. Dlaczego mam takie wielkie zęby?

Uśmiecham się szerzej, zwłaszcza, gdy do mnie dociera, że ona ma na sobie ciemnoczerwoną bluzkę. Ciasno opinającą jej idealne cycki.

– Nie szkodzi – zapewniam. – Lubię psycholi.

Podnosi głowę i patrzy mi w oczy. Jest zdumiona. Mam ochotę się znów roześmiać. Jest w niej coś niewinnego. Zdumiona to by była, jakby usłyszała moje myśli na temat jej seksownego ciała.

– Dziękuję za kwiaty – mówię, chichocząc. – Bardzo ładne. Masz rację, trochę koloru by temu pokojowi nie zaszkodziło. Możesz postawić tutaj.

Wskazuję na pustą szafkę przy łóżku. Podchodzi, ale po drodze się zatrzymuje, żeby podnieść zgniecioną w kulkę wiadomość od ojca.

– To śmieci? – pyta niewinnie. Kiwam głową, więc wrzuca papier do kosza.

– Dzięki – mówię. – To właściwe miejsce.

Dziwi się, ale nie wnika. Stawia wazon na szafce i

siada na krześle przy łóżku. Patrzy na mnie.

Ja patrzę na nią.

– No co? – pytam.

Uśmiecha się.

– Cieszę się, że masz otwarte oczy. To brzmi głupio, ale tam na plaży wyglądałaś kiepsko. Nie mogłam się pozbyć tych obrazów. Miło cię zobaczyć przytomnego i w dobrym stanie. Będę miała czym zastąpić tamte straszne wizje.

Z tym dobrym stanem bym polemizował. Ale głównie jestem zdziwiony. Zachowuje się, jakby naprawdę się mną przejmowała, martwiła. A przecież mnie nie zna, czemu miałbym ją obchodzić?

Pytam o to.

Teraz ona się dziwi.

– A dlaczego nie? – pyta i zagryza wargę. Znów mnie ściska w żołądku, gdy widzę jej różowy język. – Każdy by się martwił. Pierwszy raz robiłam sztuczne oddychanie. Nie wiedziałam, czy czegoś nie zepsuję. Poza tym pierwszy raz widziałam kogoś, kto przedawkował. Jak cię znalazłam, nie byłam pewna, co się dzieje. Ale nie wyglądałaś na pijanego. Cieszę się, że zadzwoniłam na pogotowie.

Patrzę na nią.

– Ty wezwałaś karetkę? – A to ciekawe. Co się w takim razie stało z Jill? Pewnie mnie zostawiła, żebym zdechł, pieprzona dziwka. Ale w sumie czemu się dziwić, dostajesz za co płacisz. Za kreskę koki nie

można oczekiwać zbyt wiele.

Piękność kiwa głową.

– Tak, ja. Ta dziewczyna, która była z tobą, się wkurzyła. Ale czułam, że potrzebujesz pomocy. I okazało się, że faktycznie.

Aha, czyli Jill jednak została.

– Była ze mną dziewczyna? – Unoszę brew i usiłuję wy badać, co się stało z Jill.

Piękność kręci głową.

– Nie od początku. Przyszła akurat, gdy się zastanawiałam, co robić. Wściekała się na ciebie o coś, aż zobaczyła, co się dzieje. Wtedy wpadła w histerię. Uciekła, jak przyjechała karetka.

To by się zgadzało.

– Dzięki, że wezwałaś pomoc – mówię powoli i patrzę na nią. Przyglądam się jej całej. – Tak w ogóle, to mam na imię Pax.

Uśmiecha się.

– Wiem. Jestem psycholką, pamiętasz?

Odpowiadam uśmiechem.

– Masz nade mną przewagę. Ja cię w ogóle nie znam.

I żałuję jak jasna cholera.

Wyciąga rękę, więc ją biorę. Ma drobną i miękką dłoń, niemal kruchą.

– Nazywam się Mila Hill. Bardzo miło cię poznać.

Mnie też miło, nie ukrywam.

Wiem, że powinienem jej kazać uciekać ode mnie jak najdalej, ale oczywiście tego nie robię. Jest jak promień

słońca w tym bezbarwnym szpitalnym pokoju i chłonę ją całym sobą. Emanuje dobrą, zdrową energią i rozmowa z nią jest ożywcza.

Jest jak powiew świeżego powietrza.

Może i jestem złym wilkiem, ale nawet wilki muszą oddychać.

Rozdział 4

MILA

Patrzę na chłopaka leżącego w łóżku. Na wytatuowanego twardziela.

Pax Tate jest piękny w bardzo męski sposób. Nie ma na nim śladu tłuszczu, jest umięśniony i silny. Widzę to nawet stąd. Spowija go aura mocy, sprawia wrażenie, jakby potrafił znieść wszystko, chociaż to, że przedawkował, temu przeczy. Jest w nim też smutek. W jego oczach kryje się coś, o czym jeszcze nie wiem. Zapowiedź bólu, trudu. Ciało ma twarde, twarz i oczy też. Twarde jak skała.

Nie ruszam się, ale czuję, jak mnie do niego ciągnie.

Nie umiem tego wytłumaczyć, to działanie wbrew logice.

Może to ta bezradność, która czai się w jego orzechowych oczach, nawet ciepłych, zbyt pełnych jednak zastałego bólu, by jej pozwolić wyjść na pierwszy plan, więc na wszelki wypadek patrzy po

prostu twardo? Albo beztroska, którą rozsiewa. A może jednak znużona mina, z którą czeka, aż się okaże, że czegoś od niego chce, chociaż to nieprawda. Chyba chciałabym mu to udowodnić.

Ale nie wiem, sama nie wiem, po co przyszedłam.

Nie ma dobrego powodu.

Wyciągam rękę i dotykam jego dłoni, w tym miejscu, gdzie między kciukiem a palcem wskazującym tworzy się łuk. Ma tam postrzępioną bliznę w kształcie iksa. Przypominam sobie, że widziałam ją tamtej nocy.

– Skąd ją masz? – pytam i dotykam jej palcem. To stara blizna, ale i tak widać, że cięcie było głębokie. Nie wyblakła, ale na brzegach jest trochę rozmyta, jak to stare blizny. Wzrusza ramionami.

– Nie wiem – mówi bez zainteresowania. – Nie pamiętam. Wielu rzeczy nie pamiętam. To chyba skutek uboczny.

– Czego? – Wydaje mi się, że mnie kusi, prowokuje. Dlaczego? Czuję, że zaprasza mnie do jakiejś gry, której zasady nie zostaną nigdy określone.

– Pierdolenia sobie życia – mówi ostro, zimno. Mam ochotę zadrzeć, ale tłumię dreszcz. Zabieram tylko rękę. Patrzy mi w oczy. Widzi, że uciekłam.

– Dlaczego myślisz, że pierdolisz sobie życie?

Muszę się zmusić do użycia tego słowa. Brzmi w moich ustach dziwnie, bo ja tak zwykle nie mówię. Pax parska, tak jakby czuł tę sztuczność i jakby go bawiła. Powstrzymuję się przed zmarszczeniem brwi.

– Nie myślę – odpowiada ze znużeniem. Wiem. – Układa się wyżej na szpitalnych poduszkach i lekko się krzywi. Jednak szybko opanowuje grymas, stara się nie okazać bólu. Przypominam sobie trzask kości, gdy sanitariusze próbowali wtłoczyć w niego życie i ja też się krzywię. Musi boleć.

– Ile masz złamanych żeber? – pytam. – Chyba nigdy nie zapomnę tego dźwięku.

Teraz spogląda na mnie z zainteresowaniem.

– Widziałaś to?

Kiwam głową.

– W sumie nie wiem, czemu zostałam. Nie wiedziałam, co zrobić, więc patrzyłam. Widziałam, jak ci robią masaż serca, a potem pakują do karetki. Dopiero potem zdjęłam sweter i bluzkę, bo na mnie zwymiotowałaś i cuchnęłam jak rozkładające się zwłoki, i pojechałam do domu w samym staniku.

Śmieje się, rozbawiłam go. A kiedy się śmieje, oczy mu łagodnieją. Błyska w nich coś innego niż zblazowanie, które wydaje się w nie wpisane domyślnie. Z jakiegoś powodu łaskocze mnie od tego w żołądku. Może jednak jest w nim ciepło? A może po prostu naprawdę się ubawił.

– Wygląda na to, że jestem ci winien sweter – stwierdza, a wargi mu drżą. Zauważam, że nie przeprosił za zwymiotowanie na mnie, ale nie dziwi mnie to. Pax Tate nie wygląda na człowieka, który przeprasza.

Teraz moja kolej na wzruszenie ramionami.

– Nie, mam inne.

Udaję, że jestem nonszalancka, ale tak naprawdę to ostatnie, co można o mnie powiedzieć. Mimo artystycznej duszy zawsze wszystko planuję. Drobiazgowo obmyślam ścieżkę mojego życia. No, chociaż tego na pewno nie planowałam. W życiu bym nie wymyśliła, że będę siedzieć w szpitalnej sali z obcym człowiekiem.

Chyba widać to po mojej minie, bo nawet Pax zauważył. W jego pytaniu jest sporo prawdy:

– Nie lubisz szpitali, co? – pyta łagodnie.

Miła nuta w głosie wydaje się jednocześnie obca i znajoma. Tak jakby potrafił na pstryknięcie palcami zmienić się z obojętnego w szczerego. Porusza mnie do głębi, że wywołałam w nim emocje. Potrząsam głową, żeby odegnać to uczucie.

– Nie. Kilka lat temu umarli moi rodzice. Od tamtej pory szpital jest dla mnie czymś zupełnie innym.

Zainteresował się. Znów przekrzywia głowę i mi się przygląda. Mimo woli zauważam, jaką ma silną linię szczęki i że marszczy brwi, gdy się nad czymś zastanawia. Jest z natury przystojny, ale aura niebezpiecznego buntownika dodaje mu seksowności w sposób, od którego można dostać dreszczy.

– Zmarli jednocześnie?

Zamiast składać kondolencje, jak zwykle ludzie w takiej sytuacji, zadaje to dziwne pytanie. Ale wolę to.

Kiwam głową.

– Tak, zginęli w wypadku samochodowym. Był mglisty poranek, a oni jechali tą dwupasmówką wzdłuż wybrzeża. Drugi samochód zjechał na ich pas i w nich uderzył. Zginęli na miejscu.

Nie wiem, czemu mu to mówię. Nie lubię o tym rozmawiać i zwykle nie muszę. Nasze miasteczko jest na tyle małe, że jeśli tylko ktoś tu wtedy mieszkał, wie o wypadku.

– Jeśli zginęli na miejscu, to skąd twoja niechęć do szpitala? – pyta po namyśle. W jego oczach wciąż widzę zainteresowanie.

Przypominam sobie tamten poranek. Miałam w college’u zajęcia z nauk humanistycznych. Byłam zmęczona, miałam zapuchnięte oczy, bo poprzedniej nocy niewiele spałam. Przyszedł sam dziekan i wywołał mnie na korytarz. Skrzywił się i niepewnie poinformował, że zdarzył się wypadek.

Nie znam szczegółów, powiedział, ale musi pani jechać.

Więc pojechałam. Wpadłam do szpitala, ale jak tylko weszłam, wiedziałam, że stało się coś bardzo, bardzo złego. Nikt mi nie patrzył w oczy, lekarze ani pielęgniarki, ani nawet nasza stara sąsiadka, Matilda, która jakimś cudem znalazła się tam przede mną.

Bez słowa zaprowadziła mnie do jakiegoś pustego pomieszczenia, chyba to była kaplica. Tam spokojnie zawiadomiła, że nie znajdę tu rodziców, bo oboje

zabrano do kostnicy. Stwierdziła to, ot tak. Złapała mnie, kiedy upadłam na podłogę. Cały czas pamiętam, jak wypuszczałam z rąk skórzaną rączkę torebki, która wylądowała na ziemi i zawartość rozsypała się na niebieski dywan. Szminka potoczyła się do stóp Matildy. Podniosła ją i mi podała. Była blada i poważna.

Głośno przełykam ślinę...

I wtedy sobie uświadamiam, że wszystko to powiedziałam na głos.

Pax patrzy na mnie badawczo. Analizuje szczegóły najboleńszego dnia w moim życiu, ale nie umiem odczytać wyrazu jego przystojnej twarzy.

– Przepraszam – mówi wreszcie cicho. – To musiało być straszne. Nie chciałem przywołać takich wspomnień.

Mówi wprost, ale w jego głosie brzmi niedopowiedzenie. Przeczuję, że ma złożoną naturę, ale nic więcej. Trudno go przejrzeć, ale jego wewnętrzne sprzeczności mnie intrygują. Patrzę na niego, widzę, jak złote plamki w jego oczach zmieniają się w zielone i kłuje mnie w brzuchu.

– To dawne dzieje – podsumowuję. – Już sobie z tym poradziłam.

– Naprawdę? – Unosi brwi. – Musisz być bardzo zdolna. Czasem przeszłość nie chce, żeby się z nią uporać.

– To prawda – przyznaję. – Masz rację. Bywa, że przeszłość jest niezmordowana i pełna życia. – Kiwa głową, jakby rozumiał. Zastanawiam się, czy naprawdę.

Ale nie mówi już nic, więc i ja odpuszczam. A potem wstaję i podnoszę torebkę z innej szpitalnej podłogi. – Zabrałam ci już dość czasu – oznajmiam uprzejmie. – Dziękuję, że mi poprawiłeś humor. Miło zobaczyć, że czujesz się już dobrze. Dasz radę.

Nie wiem, czy staram się przekonać jego czy siebie. Wygląda, jakby też nie był pewien, ale się uśmiecha i wyciąga rękę. Jest smukła i silna. Wymieniamy uścisk jak na spotkaniu biznesowym.

– Miło było cię poznać. Dziękuję, że mi uratowałaś życie.

Głos ma zachrypnięty. Przełykam ślinę i patrzę mu w oczy, ale nie wiem, czy mówi serio. Wygląda, jakby tak naprawdę mu na tym ocaleniu nie zależało.

Uśmiecham się, a potem wychodzę. W połowie korytarza zatrzymuję się i zaglądam do jego pokoju. Cały czas na mnie patrzy, badawczo i dziko.

Przełykam ślinę, odwracam się i skupiam się na stawianiu jednej stopy przed drugą. Zanim się spostrzegę, już siedzę w samochodzie. Ale cały czas nie wiem, co się u diabła stało.

Rozdział 5

PAX

Tydzień w szpitalu to o tydzień za długo.

Ociężale gramolę się z pościeli i przysiadam na krawędzi łóżka. Trochę się krzywię, bo ruch uaktywnia pęknięte żebra i oddycham płytko, żeby nie bolało. Uciski sanitariuszy zrobiły z moich żeber miazgę. Wiem, że musieli, żeby mi uratować życie, ale kurwa. Aż cztery?!

Złamasy.

Czekam, aż ból się uspokoi, a oczy przyzwyczają się do światła. Patrzę przez okno na wielkie jezioro, które się przede mną rozciąga.

Jezioro Michigan jest ogromne, rozległe i szare, a mój loft wisi nad nim wczepiony w krawędź klifu. Każdy pokój wychodzący na jezioro ma okna od podłogi do sufitu, żebym zewsząd miał dobry widok. Nie przejmuję się, że ktoś może iść plażą na dole i widzieć, jak chodzę nago po domu. To moja prywatna

plaża. Jak ktoś się wdziera na mój teren, zasługuje na widok moich jaj.

Sięgam na stolik nocny po fiolkę i znów się krzywię.

Bezmyślnie jeżdżę kciukiem po metalowej obwódce na zatyczce i staram się oczyścić głowę z sennej mgły. Potem wysypuję na rękę białą pigułkę, żeby mi w tym pomogła, bo nie mam cierpliwości czekać.

Ale inny towar na jakiś czas odpuszczam. Nieważne, co myśli o tym mój ojciec, nie potrzebuję tego brać. Nie jestem jakimś pierdolonym ćpunem. A ponieważ płukanie żołądka i połamane żebra to nic fajnego, powstrzymam się od tego typu aktywności, przynajmniej przez jakiś czas.

Popijam pigułkę wodą i staram się nie myśleć, że wolałbym, żeby to było piwo. Jest dopiero jedenasta, a ja postanowiłem nie pić do siedemnastej. I nie zamierzam się bronić kretyńskimi argumentami, że gdzieś na pewno jest siedemnasta już teraz. Nie jestem pieprzonym cieniem. Nieważne, co myślą inni, jak chcę, mogę się powstrzymać.

Wstaję ostrożnie z łóżka i niepewnie się przeciągam. Potem idę pod prysznic.

Jednym z moich ulubionych miejsc w tym domu jest prysznic. Duży, wyłożony płytkami z kamienia, ma cztery dysze oblewające mnie wodą z różnych stron. Robiłem je na zamówienie, żeby pasowały do mojego wzrostu, bo nie znoszę się schylać, żeby się umyć. Gdybym chciał, mógłbym tam nawet zrobić imprezę.

Zresztą, dużo już tu było imprez z udziałem pełnych zapału kobiet.

Na wspomnienie nagich, mokrych piersi i smukłych ud stłoczonych pod tym prysznicem od razu mi staje. Zanim wezmę sprawy w swoje ręce, namydlam dłonie.

Potem przed oczami pojawia mi się Mila. Dzieje się to zupełnie niespodziewanie, ale kiedy zajmuję się sobą, skupiam się na tej myśli, na jej łagodnym głosie i pełnych cyckach. Zamykam oczy i udaję, że to nie moja ręka, tylko jej. Wyobrażam sobie jej miękką skórę ocierającą się o moją. A potem, jak rzucam ją na mokrą prysznicową ścianę i pieprzę, aż wykrzykuje moje imię i oplata mnie nogami w pasie.

Kończę niedługo potem.

Wzdycham z satysfakcją, myję się i ostrożnie wycieram grubym ręcznikiem. Przy czym cały czas myślę o Mili Hill. Co jest, kurwa?

Z jednej strony to pewnie normalne. W końcu uratowała mi życie. A ja nawet nie pamiętam, czy jej podziękowałem. Zwykle miałbym to w dupie, ale w niej jest coś takiego, że myślę o rzeczach, o których normalnie bym nie myślał. To coś jest łagodne i słodkie, prawdziwe i szczerze.

Teraz się faktycznie zachowuję jak miękka pizda.

Wkładam dzinsy i podkoszulek.

Muszę to olać. Potem po prostu popytam ludzi, dowiem się, gdzie pracuje, podziękuję jej i zapomnę. Ona z całą pewnością nie jest dziewczyną, w którą

chciałbym inwestować czas. Nie ma szans, żeby mój styl życia albo moja osobowość pasowały jej na dłuższą metę. A ja nie mam zamiaru się zmieniać dla nikogo.

Wkładam kluczyk do stacyjki i znów o niej myślę. O tym, jak ciemnoczerwona bluzka, którą miała wtedy w szpitalu, opinała się na jej sterczących, okrągłych piersiach. Zastanawiam się, jak wygląda nago. Brodawki ma na pewno różowe i skierowane do góry. Kutas znowu robi się twardy.

Kurwa.

MILA

– Czemu mnie tak o to dręczysz? – pytam siostrę.

Madison podnosi wzrok. Siedzi przy małym stoliku w moim sklepie i przegląda ostatnie czarno-białe wydruki zdjęć jeziora.

Jasne włosy ma przerzucone przez szczupłe ramię. Kuli się na krześle. Ja odziedziczyłam ciemne włosy po mamie, a Maddy jasne po tacie. Jest ode mnie wyższa, ma wzrost modelki. Jest zgrabna, szczupła, zjawiskowa. Ja jestem niska i ciemna. Rodzinny pieśczołek. Tylko że teraz rodzina Hillów składa się wyłącznie z nas dwóch.

Maddy wydaje się zaskoczona moim pytaniem.

– Czemu? Bo chyba od dwóch lat nie mówiłaś mi o żadnym chłopaku. Albo i dłużej. Właśnie dlatego.

Zaintrygowałaś mnie.

Wywracam oczami i wycieram ręce o fartuch. Zostawiam na biodrach czarne i szare ślady farby. Maluję pełnię, krajobraz tamtego wieczoru. Czuję, że powinnam użyć tylko odcieni czerni. Mrok, groźna noc. Mam nadzieję, że uda mi się to pokazać na płótnie.

– Chyba nic dziwnego, że ci opowiadam, jak komuś uratowałam życie – stwierdzam. – Każdy by o tym opowiadał. Ale to nic nie znaczy.

– Nie? – Maddy unosi jedną, perfekcyjnie wymodelowaną brew i się we mnie wpatruje.

Kręcę głową.

– Nie. Koleś przedawkował. Zrobiłam mu sztuczne oddychanie i wezwałam karetkę. Koniec.

Maddy się uśmiecha i widzę, że to dopiero początek.

– Może i tak, ale kilka razy wspomniałaś, jaki jest przystojny. Jaki mroczny. Fascynujący. Na moje oko to żaden koniec. I to mnie jednocześnie ekscytuje i niepokoi. Koleś przedawkował... Prochy. Znalazłaś go, gdy się miotał w drgawkach po samochodzie. Jak dla mnie to nie jest materiał na związek. – Milknie i patrzy na mnie stanowczo. Wywracam oczami. – Ja nie żartuję – upiera się, poirytowana tym, że się nie przejmuję. – Nie poznałam go osobiście, ale kilka razy widziałam go w restauracji. Z tego, co słyszałam, nie pracuje. Utrzymuje go tatuś, jest rozpuszczonym gnojkiem, który nie ma żadnych obowiązków. Poza tym sama widziałas, jak wygląda jego życie. To zły chłopiec, dosłownie.

Zjadłby cię na śniadanie.

Teraz już przesadziła.

– Maddy, odpuść – wzdycham. – Naprawdę. Przytrafiło mi się coś ciekawego i chciałam ci o tym opowiedzieć. Drugi raz tego błędu nie popełnię, na pewno, jeśli się to będzie kończyć bezsensowną przemową. Sama mówisz, że go nie znasz. A ja w ogóle nie myślę o nim jako o materiale na związek. Pewnie już go nigdy więcej nie zobaczę, więc możesz okiełznać kwocze instynkty. A teraz powiedz mi, co z restauracją. Co jest nie tak.

Poważnie. Odkłada portfolio i wyciąga spod tyłka nogi, na których siedziała. W niebieskich oczach widzę niepokój i to zwraca moją uwagę. Od śmierci rodziców zajmuje się ich restauracją i jeśli ona się martwi, ja też powinnam. – No mów – zachęcam jeszcze raz. Denerwuję się, bo Maddy nigdy nie pokazuje po sobie, że coś jest nie tak. Jako starsza siostra zawsze ukrywała problemy. Zawsze.

Wzdycha, a potem zaczyna mówić cienkim, drżącym głosem. Odwraca się do mnie dopiero po chwili.

– Możliwe, że nie doceniłam ryzyka związanego z remontem.

Patrzę na nią i nic nie rozumiem.

– Mówiłaś, że zmieścimy się w budżecie i że spłacimy wszystko do wiosny. I że remont sam na siebie zarobi, bo przyciągnie więcej gości.

Kiwa głową. Denerwuje się.

– Pamiętam, co mówiłam. I tak myślałam. Ale nie przewidziałam, że już jesienią będzie szło tak słabo. Nie widzę szansy, żeby zimą się poprawiło, bo zimą zawsze jest kiepsko. Musimy poczekać na sezon turystyczny, dopiero wtedy pojawią się przychody na pokrycie pożyczki.

Teraz i ja jestem przerażona.

– Co to wszystko znaczy? The Hill upada?

Na tę myśl wpadam w panikę. Rodzice otworzyli małą włoską knajpkę zaraz po ślubie. Stała się integralną częścią naszego miasteczka. Ponieważ znajduje się na plaży, latem jest miejscem lubianym zarówno przez turystów, jak i miejscowych.

Po śmierci rodziców siostra wróciła do domu, żeby przejąć restaurację. Ponieważ właśnie skończyła studia na kierunku biznesowym, wydało się to logicznym posunięciem. Dzięki temu ja mogę prowadzić mój mały sklepik artystyczny, w którym sprzedaję artykuły dla malarzy, a także moje obrazy i fotografie. I wszyscy są zadowoleni. Jako częściowa właścicielka The Hill co miesiąc dostaję procent od zysków, a jednocześnie mogę zajmować się tym co lubię.

Ale zdaje się, że sytuacja przestała wyglądać tak sielankowo.

– Tylko nie panikuj – poleca mi spokojnie Madison. – Nie ma żadnej tragedii. Po prostu tej zimy będziemy musiały trochę zacisnąć pasa. Byłoby też miło, gdybyś czasem przyszła popracować jako kelnerka. Dzięki temu

będziemy mogły ograniczyć liczbę pracowników aż do lata.

Kiwam głową.

– Oczywiście. Zrobię wszystko, co trzeba.

W liceum obydwie pomagałyśmy rodzicom. Jak latem wracałyśmy do domu z college’u też. To nic takiego. Mogę kelnerować z zamkniętymi oczami.

– Możliwe, że przez jakiś czas będziemy też brały niższe pensje – dodaje ostrożnie moja siostra. Minę ma poważną i bacznie się przygląda mojej reakcji. Bez wahania znowu kiwam głową.

– W porządku – zapewniam ją. – Utrzymam się z tego, co zarobię. – Rozglądam się po moim sklepie. Na ścianach, pod lampkami punktowymi, wiszą obrazy. Plakaty zwisają z sufitu na metalowych linach. Są modnie urządzone miejsca do siedzenia, nowoczesne oświetlenie, sztalugi i półki z wyposażeniem malarskim. Wszystko doskonale zaaranżowane. Mały, modny sklepik, taki, jak chciałam. W zimie radzi sobie dobrze. Latem bardzo dobrze, bo przyjeżdżają turyści. Znowu kiwam głową. – Tak, dam radę – potwierdzam. – A ty?

Też kiwa głową.

– Tak, spokojnie. Nie muszę płacić czynszu, więc będzie dobrze.

Wzięła na siebie prowadzenie biznesu rodziców, więc powiedziałam, że może zamieszkać w ich domu. Ja mam mieszkanie nad sklepem, więc wydawało mi się, że tak będzie dobrze. Ale przez pierwsze parę miesięcy po

śmierci rodziców i tak prawie cały czas spędzałam w domu. Dzięki temu miałam wrażenie, że w każdej chwili mogą się pojawić. „Niespodzianka! Tylko na chwilę wyjechaliśmy, ale już jesteśmy z powrotem!”

Oczywiście nigdy się tak nie stało i w końcu wróciłam do mojego mieszkania. Kocham moją siostrę, ale razem nie mieszka nam się najlepiej. Ja jestem pedantką, a przestrzeń wokół niej wygląda, jakby dopiero co przeszło tornado.

– Dziękuję, że tak spokojnie do tego podeszłaś. – Maddy uśmiecha się życzliwie. – Tak, jak mówiłam, to nie koniec świata. Wszystko będzie dobrze i latem inwestycja się zwróci. Po prostu do tego czasu pamiętaj, żeby pas był zaciśnięty.

Wywracam oczami.

– Nie noszę pasków. Ale dobrze. Zaciskam. Nie będę chodzić na zakupy.

Usatysfakcjonowana Madison kiwa głową i wraca do mojego portfola.

– Ten mi się podoba – pokazuje. – Kupię go.

Zerkam jej przez ramię. Szare zachmurzone niebo i księżyc w pełni. Wyraźnie widać fale ciemnej wody błyskające lśniąco czernią oraz wyraźne kontrasty z bielą. Idealne zdjęcie. Uśmiecham się.

– Zjawiskowe, wiem. To z tamtej nocy. Oprawię i zabierzesz, jak wpadniesz następnym razem.

Uśmiecha się szeroko.

– Albo ty mi podrzucisz, jak przyjdiesz na wieczorną

zmianę.

Wpatruję się w nią.

– Co?

– Powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko. Więc możesz wziąć jutrzejszą zmianę. Bardzo byś mi pomogła. A potem pójdziemy na drinka. Strasznie dawno już nie robiłyśmy nic, żeby się wyluzować. Pora na chillout.

Nie mam czasu zaprotestować, że musi mi o takich rzeczach mówić wcześniej ani przypomnieć jej, że nie piję, bo dzwoni mały dzwoneczek nad drzwiami. Ktoś wszedł, miotam więc tylko kilka gromów w kierunku Maddy, a potem uśmiecham się profesjonalnie i odwracam.

A potem zamieram.

Do sklepu wchodzi Pax Tate w spodniach, które wyglądają, jakby zostały uszyte specjalnie dla niego. W ręce ma sklepową torbę. Uśmiecha się na przywitanie, a w oczach błyszczą mu psotne iskry. Uśmiech jest nieśpieszny, ale marszczy od niego kąciki oczu.

Pode mną się uginają kolana.

Madison jest w szoku i patrzy na mnie, bo jakie było prawdopodobieństwo, że Pax się tu pojawi? Zaraz po tym, jak powiedziałam, że pewnie już nigdy go nie zobaczę?

– Cześć, Czerwony Kapturku – mówi, przeciągając samogłoski i stawia torbę na ladzie, tuż przede mną. – Byłem ci winien sweter.

Rozdział 6

PAX

Czerwony Kapturku? – Mila marszczy brwi, a na jej pełnych ustach czai się zapowiedź śmiechu. Kiwam głową.

– Nie wiem, dlaczego, ale tak o tobie myślę – przyznaję. – Wracałaś z plaży, całkiem sama i znalazłaś mnie właśnie wtedy, gdy cię potrzebowałem.

Wpatruję się w jej twarz. Czuję, że w sklepie jest ktoś jeszcze, ale dla mnie jesteśmy tu tylko ja i Mila. Patrzy niepewnie.

– To by znaczyło, że ty jesteś wilkiem – zwraca mi uwagę.

Śmieję się.

– Zaczynasz rozumieć!

Nie spuszcza wzroku, a oczy ma bystre i ciemne. Skręcają mi się bebechy na widok jej jasnej, rozsądnej twarzy. Jej wzrok nie jest zamglony przez narkotyki, jak zwykle bywa u moich znajomych. To miła odmiana, ale

jestem też przerażony. Nie wiem, jak się wobec niej zachowywać. Ale skoro rano się obudziłem spragniony jej towarzystwa, musiałem ją odnaleźć.

Więc jestem.

– To dla mnie? – pokazuje na torbę, a ja kiwam głową. Zagląda z ciekawością, a na widok swetrów cała się rozpromienia.

– Wszystkie są czerwone! – śmieje się. – Co do jednego!

Czuję, że wargi mi drżą od uśmiechu.

– Oczywiście, że tak. Muszę jakoś podtrzymać mit Kapturka. Nie wiedziałem, jaki lubisz styl, więc wziąłem kilka. Chciałem, żebyś była wyposażona, gdy będziesz mnie ratować następnym razem.

Widzę jej zakłopotanie. Wpatruje się we mnie; zamarła, mimowolnie porusza palcami. Nie mogę nie zauważyć, że ma figurę klepsydry. Idealne proporcje, żeby doprowadzić faceta do szału: okrągłe cycki, szczupła talia i kuszące biodra. Czuję napięcie w lędźwiach.

Kurwa. Szybko myślę o martwych szczeniętach, zakonnicach i zimnej wieprzowinie. Pomaga i mój fiut się uspokaja. Chwilowo.

Mila wciąż patrzy bacznie i badawczo.

– Potrzebujesz ratunku? – pyta cicho.

Powietrze między nami aż iskrzy, kiedy tak na siebie patrzymy. Oczy ma przepastne i głębokie. Facet może się w takich zatracić. Na zawsze. Głupieję na chwilę, nie

wiem, co powiedzieć. Szukam słów, ale druga obecna w sklepie osoba akurat odchrząkuje.

Ratunek.

Dzięki ci, Boże.

Odwracam się z wdzięcznością i widzę drugą dziewczynę, ładną blondynkę, którą skądś znam, ale nie wiem, skąd. Wyraźnie czeka, ale Mila mnie nie przedstawia.

Sam wyciągam rękę.

– Cześć – mówię. – Nazywam się Pax Tate.

Stanowczo ściska moją dłoń. Może nawet za mocno.

– Madison Hill – mówi. – Mila to moja siostra.

Aha. Ostry uścisk nabiera sensu. Starsza siostra występuje w roli obrońcy i stara się nie dopuścić do Mili wilka. Zresztą, nie winię jej.

Wpatruje się we mnie niebieskimi oczami, w ogóle niepodobnymi do oczu Mili. Właściwie w ogóle jest inna niż Mila, może kształt nosa mają podobny. Wysoka i jasnowłosa, a Mila niska i ciemna. Mila jest seksowniejsza, ale – zakładam – z jakiegoś powodu wcale tak nie uważa. Teraz milczy. Pozwoliła siostrze przejąć pałeczkę. Widać, że często oddaje jej inicjatywę.

– Lepiej się czujesz?

Madison unosi brew. Podkreśla, że jej pytanie jest niezbyt subtelnym sposobem na poinformowanie mnie, że wie o przedawkowaniu. Uważa mnie za ćpuna, który nie zasługuje na jej siostrę. Widzę to w jej lodowato błękitnych oczach. Nie wie tylko, że mam w dupie, co

sobie myśli. Nie zna mnie, a to jest coś, co mnie najbardziej wpierdala: gdy ludzie wydają opinię, nie wiedząc, o czym mówią.

– Tak, dziękuję – odpowiadam. Uśmiecham się uprzejmie. Nie będę się przed nią płaszczył. Jest walnięta, jeśli na to liczyła. – Twoja siostra uratowała mi życie.

Dosłownie.

Teraz Madison nie wie, co odpowiedzieć. Chce kontynuować wątek, ale nie umie tego zrobić tak, żeby zachować przynajmniej pozory uprzejmości. Z niezadowoleniem się odwraca i całuje Milę w policzek.

– Wracam do The Hill. Widzimy się jutro, dobrze? – Wpatruje się siostrze prosto w oczy, jakby chciała ją przede mną ostrzec. Potem patrzy na mnie. – Miło cię było poznać.

Idzie do wyjścia, a jej modne buty stukają o płytki na podłodze. Dzwonek nad drzwiami dźwięczy i już jej nie ma.

Patrzę na Milę.

– Twoja siostra chyba mnie nie polubiła.

To stwierdzenie, nie pytanie. Sam słyszę obojętność w swoim głosie. Oczywiście się tym nie przejąłem.

Mila się uśmiecha.

– Cieszę się, że nie jesteś tym zbyt zrozpaczony.

Wzruszam ramionami.

– Przyzwyczaiałem się.

Mila mi się przygląda.

– Po co tu przyszedłeś tak naprawdę? – pyta. – Nie musiałeś mi przynosić swetra. Ani nawet sześciu – chichocze. – Na święta będę wyposażona w czerwone swetry. Dziękuję – milknie i znów patrzy. Ma taką delikatną twarz. Wcześniej nie zauważyłem, jaka jest drobna. Nie wyobrażam sobie, jakim cudem mnie wyciągała z samochodu. Muszę ważyć z pięćdziesiąt kilo więcej niż ona. – Więc?

Unosi brew, a ja sobie przypominam, że nie odpowiedziałem na jej pytanie. Nie wiem, jak to ująć, więc stwierdzam, że po prostu powiem prawdę. Czuję się jak autor powieści.

– Nie mogłem sobie przypomnieć, czy ci podziękowałem. A poza tym nie mogę przestać o tobie myśleć.

Zatyka ją. Słyszę, jak w zdumieniu wciąga drobny haust powietrza, ale nie wiem, czy to dobry znak. Prawda ją przestraszyła? A może ona też o mnie myślała?

Patrzę na nią.

Przez chwilę trwamy tak zakłęci w chwili. Ona zagryza dolną wargę, a jej zielone oczy wyglądają jak woda. Lekko odwraca twarz, a łuk policzka łapie światło wpadające przez okno.

Jakby nas ktoś zaczarował.

Potem przełamuje czar.

– Myślałeś o mnie? – szepcze. – Ale dlaczego?

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Może czuję się

wobec ciebie zobowiązany.

– Niepotrzebnie – mówi szybko, stanowczo i wyraźnie. – Nie jesteś mi nic winien. Cieszę się, że mogłam pomóc, ale to był zwykły przypadek i każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

Nerwowo przesuwa papiery na ladzie. Kręczę głową i się uśmiecham.

– Nie każdy by to zrobił, Zapewniam cię.

– Dobrze, może nie każdy by ci zrobił usta usta. Chyba jednak jesteś mi coś winien. Co proponujesz?

Te prowokacyjne słowa szokują ją tak samo jak mnie. Jak tylko kończy je wypowiadać, jest zaskoczona. Ale na pewno nie tak jak ja. Czyżby flirtowała? Ze mną?

Dlaczego mam takie wielkie zęby?

Znów czuję się jak wilk, gdy się do niej uśmiecham, włączam mój czar. Mam go, ale rzadko zależy mi na tyle, żeby go używać. Nie wiem, dlaczego uruchamiam go teraz. Bo mnie sprowokowała?

– Hmm – udaję, że się zastanawiam, a przy okazji przybieram najbardziej zniewalający uśmiech. – A co byś chciała? Może kielich świeżej krwi?

Śmieje się, nerwowo, ale melodyjnie, a potem kręci głową.

– Nie, już dawno temu zrezygnowałam z krwi. Dostałam alergii.

Zanim zdołam nad tym zapanować, czuję, jak wypełnia mnie ciepło. Ma poczucie humoru. Uwielbiam tę cechę u kobiet. Odwzajemniam uśmiech.

– Dobra, będę pamiętał. Bez krwi. Więc co innego... Zauważyłem, że jesteś artystką, która lubi motyw jeziora. Tak się składa, że mam plażę z jednym z najlepszych widoków w Angel Bay. To prywatna, zaciszna plaża, nikt ci nie będzie przeszkadzał. Możesz z niej korzystać, kiedy zechcesz. Co ty na to?

Nie wiem, czemu jej to zaoferowałem. Zapada cisza i słyszę, jak wali mi serce. Czekam na jej odpowiedź. Czemu mnie w ogóle obchodzi, co powie? Ale czekam z zapartym tchem, aż się odezwie.

– To jest coś – odpowiada w końcu, nie spuszczać mnie z oka. Dużo się dzisiaj na siebie gapimy. – Mieszkaś sam? Nie chciałabym nikomu przeszkadzać.

Nie przyznaję nawet przed sobą, jak mi ulżyło. A potem zaczynam się dobrze bawić.

Ona bada grunt!

– Jesteś bardzo bezpośrednia. – Czuję, jak drżą mi wargi od tłumionego śmiechu. – Większość dziewczyn subtelniej wypytuje, czy kogoś mam. Ale nie mam. Nie jestem żonaty. Nie mam dziewczyny. Nie będziesz nikomu przeszkadzać.

Rumieni się. Delikatny róż rozlewa się z jej policzków na pierś. Podoba mi się to. Wydaje mi się delikatne, kobiece. Po raz kolejny muszę się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręki i nie pokonać kciukiem tej samej trasy co rumieniec. Kurwa, co mi odbiło? Wkładam rękę do kieszeni.

– Hmm – zamyśla się. – Szkoda takiego widoku tylko

dla jednej osoby. Założę się, że masz tam niesamowite wschody słońca. Czymś takim warto się dzielić.

Teraz śmieję się na głos. Weszła w to i pewnie nawet nie zauważyła.

– Nie musisz się tak czaić. Jeśli chcesz zobaczyć wschód słońca, pakuj rzeczy i wpadaj.

Nikt by nie przegapił aluzji w moim głosie.

Ona też nie.

Znów się rumieni, ale teraz jej policzki robią się czerwone.

– Nie o to mi chodziło – mamrocze. Zawstydziała się, a mnie się to podoba.

– Nie? – Unoszę brwi. – Szkoda, bo bez problemu mogłabyś u mnie przenocować.

– Nie wątpię – odpowiada oschle. – Ale nie skorzystam. Chociaż dziękuję za zaproszenie. – Rumieniec blednie, śmieje się. – Za to propozycja skorzystania z plaży jest bardzo miła. Mogę malować jezioro z pamięci, ale zawsze przyjemniej jest na nie popatrzeć. Nowa perspektywa bardzo się przyda. Artyści są wzrokowcami.

Uchodzi ze mnie całe powietrze, ale nie mam pojęcia dlaczego. Może z powodu myśli o niej nocującej u mnie. A może wystarczy sam ton jej głosu. Chyba mocno na mnie działa.

Robię krok w jej stronę. Jest niepewna, ale się nie cofa.

– Mężczyźni też są wzrokowcami – informuję ją

miętko, nie odrywając spojrzenia od jej oczu. – Więc bardzo dobrze cię rozumiem. Ale jest coś, co mnie martwi. Co stawia mnie na przegranej pozycji. Bardzo tego nie lubię.

– Co to takiego? – Wciąż patrzy mi w oczy.

– Widziałaś mnie w totalnym dołku. Może powinnaś mnie teraz zobaczyć na szczycie?

Moje słowa zawisają między nami, ciężkie i naładowane znaczeniem, a ja nie wiem, co, do kurwy nędzy, wyprawiam.

– A kiedy jesteś na szczycie? – pyta niepewnie. Po pełnej wysiłku minie widzę, ile ją kosztuje nieokazanie zawstydzenia. Zaimponowała mi. Jest jak kociak stojący twarzą w twarz z lwem.

– W łóżku.

Odpowiadam po prostu, ale z jej oczu sypią się iskry.

– Jesteś arogancki, wiesz o tym? – Opiera dłonie na upaprzanych farbą biodrach. – „Dziękuję za uratowanie mi życia” w zupełności by wystarczyło. Nie musisz mnie ciągnąć do łóżka, żeby okazać wdzięczność.

Przez chwilę milczę, dopiero potem zabieram się za przyglądanie jej nastroszonych piórek.

– Uspokój się – proszę cicho. – Przepraszam. Robię to odruchowo. Żartowałem. Czasem moje poczucie humoru jest jak kulą w płot. Dziękuję ci za tamtą noc. Przepraszam, że nie podziękowałem wcześniej.

Sznuruje usta i wzdycha.

– Nie ma za co. Poza tym podziękowałeś w szpitalu.

Nie musiałeś tu przychodzić. Ale cały czas się zastanawiam... – milknie.

Teraz jej pora na wpatrywanie się we mnie i robi to, z namysłem. Odwzajemniam spojrzenie i nie mrugam.

– No co? – dopytuję. – Nad czym się zastanawiasz?

– Dlaczego to robisz? – pyta ostrożnie. – Dlaczego to zrobiłeś? Wygląda na to, że masz idealne życie.

Znów mnie zaskoczyła. Jest bardzo bezpośrednia. Nie boi się mówić, co myśli. A myśli, że chciałem się zabić. Kurwa, że co?

Z jednej strony jej bezpośredniość jest przyjemna. Mam wrażenie, że ona nie uprawia żadnych gier. Z drugiej strony strasznie mnie to irytuje. Bo czasem lubię się zapętlić w gierce i nie musieć mówić szczerze.

Ale coś mi się zdaje, że Mila nie akceptuje kluczenia.

– To był wypadek – wzruszam ramionami. – Zachowałem się nieostrożnie. To się nie powtórzy.

Wciąż się we mnie wpatruje, a ja muszę się bardzo pilnować, żeby się nie skrzywić. Mam wrażenie, że zagląda do mojego wnętrza, rozkłada mnie na czynniki pierwsze i bada. A to mi się nie podoba.

– Tak? – upewnia się. – Mam nadzieję. Ale jeśli kłamiesz, mam nadzieję, że ktoś ci wtedy pomoże. Mnie tam może nie być następnym razem.

Odwraca się na pięcie i wychodzi na zaplecze. W ten oto sposób Mila, artystka o cudownym uśmiechu, znika z mojego życia.

Sam się dziwię, jak bardzo mi się to nie podoba.

Rozdział 7

MILA

Znów mam ten sen.

Idę nawą naszego kościoła. Przez okna wpadają promienie porannego słońca. Wiem, że śnię. Od śmierci rodziców byłam tu już tysiąc razy.

Sen zawsze przebiega tak samo.

Nic się nie zmienia.

W związku z tym wiem, że się nie obudzę aż do końca.

Wzdycham i patrzę w dół.

Jestem ubrana w tę samą czarną sukienkę, którą miałam na pogrzebie. Dopasowana, ale powiewa z każdym ruchem. Skromna, ale kobieca. Noszę ją w każdym ze snów. Jest niekończącym się wspomnieniem o tamtym potwornym dniu.

Stawiam jedną obutą na czarno stopę przed drugą. Przemierzam nawę. Nie panuję nad nogami. Poruszają się same. Nie mogę się zatrzymać. Prawa zapada się w

dywanie, potem lewa.

Niosą mnie naprzód.

Zanim się spostrzegę, zatrzymuję się przed dwiema trumnami rozgrzanymi od słońca. Stoją przed kościołem. Jedna jest biała i błyszcząca, druga czarna i lśni.

Dobro i zło.

Na początku, jak tylko zaczęłam miewać te sny, myślałam, że dają mi do zrozumienia, że jedno z moich rodziców było w głębi duszy złe, tylko ja o tym nie wiedziałam. Przykładałam dużą wagę do snów. Dla mnie coś znaczą. Myśl, że mama albo tata mieli coś na sumieniu, dręczyła mnie przez jakiś czas. Potem sobie uświadomiłam, że to zła interpretacja.

Bo chociaż sen dzieje się w dniu pogrzebu rodziców, ich tu nie ma. Zostali skremowani. Nie leżą w stojących przed kościołem trumnach.

Sen ich nie dotyczy.

Tylko wątpliwości, jakie się we mnie pojawiły w dniu ich śmierci. Na temat wartości życia. Jeśli w życiu o nic nie chodzi, wydaje się bezsensowne. Wszystko może się skończyć w płonącym samochodzie i zostaje tylko smutek.

Dlatego tak się uparłam przy mojej artystycznej wizji. Chciałam tworzyć piękno i niwelować brzydotę. Yin i yang. Dobre i złe.

Na jawie już o tym nie rozmyślałam. Ale widać podświadomość nadal się miota. Jeszcze się ze swoimi

problemami nie uporałam, stąd te powracające, dziwne sny. Prawdę mówiąc, jeszcze nie rozwikłałam, o co w tym chodzi.

Wiem, że życie składa się z dobra i zła, czerni i bieli. Wszystko co pomiędzy to walka jednego z drugim. Życie to bitwa.

A ja nie mogę znieść myśli, że rozmywa się w nicości. Pewnego dnia po prostu nas tu nie będzie. Nie ma uśmiechów, nie ma łez, nic już nie ma.

Puff!

Światła gasną.

Wzdycham i dotykam palcem czarnej trumny. Tej, która kryje zło. Jest piękna, chociaż zła. Przesuwam dłoń i widzę, że coś się zmieniło. Nigdy wcześniej nie zauważyłam czegoś takiego.

W miejscu, gdzie palec wskazujący łączy się z kciukiem, mam poszarpaną bliznę.

W kształcie litery x, jak Pax.

Dziwię się i wpatruję się w nią. Jest stara i rozlana jak ta jego. W słonecznym świetle wydaje się złowroga, ale nie mam pojęcia, skąd to wrażenie. To tylko blizna. Mogło ją wywołać sto różnych zdarzeń.

Tylko dlaczego ja ją mam?

Odwracam rękę w stronę światła, obracam, dziwię się, że blizna przynależy do mnie tak samo naturalnie jak do niego. Jakbym ją miała od lat. Jest mi z nią dobrze, tak jakby mnie nazaczyła.

X oznacza jakieś miejsce.

Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Tyle tylko, że coś w mojej podświadomości chce, żebym o niej myślała. Muszę coś przeanalizować, uporać się z czymś. Tylko z czym?

Kręcę głową i podchodzę do białej trumny. Wiem, że muszę to doprowadzić do końca, żeby móc się obudzić. Ostrożnie otwieram wieko i wypuszczam miliony lśniących promieni.

Wystrzeliwują i mieszają się ze światłem wpadającym przez okna. Promienie są jaskrawe, iskrzące. Stoję wśród nich, daję się obmywać ich ciepłu i rozkoszy, chłonę światło.

Wiem, że się obudzę i jeszcze przez jakiś czas będę czuła ich moc. Moja podświadomość mnie nakręca. Tak sobie radziłam z żałobą po śmierci rodziców.

Tak teraz sobie radzę z wszelkimi wątpliwościami.

A sądząc po obecności blizny na mojej dłoni, pojawienie się w Paxa postawiło moją podświadomość w stan wyjątkowy. To on wywołał sen.

Nadal nie umiem odkryć jego znaczenia, ale jedno wiem na pewno.

Pax interesuje mnie bardziej, niż chciałabym przyznać.

Wzdycham, wstaję i idę korytarzem. Już teraz nie zasnę. Jestem zła, że wpuściłam tego dziwnego mężczyznę do swojej głowy, więc tłukę wszystkim i miotam się w pizanie po kuchni. Nadal jestem zła, ale przynajmniej oprzytomniałam.

Na szczęście ranek mija szybko. Po czterech filiżankach mocnej kawy idę do sklepu i spotykam się z klientami. Kiedy ruch robi się mniejszy, zabieram się za nowy obraz. Jasny i radosny. Sztuka jak zwykle wyrывa mnie z odrętwienia.

Nucę pod nosem i wymykam się ze sklepu, bo chcę kupić kanapkę na lunch. Gdy przystaję, żeby zamknąć drzwi, widzę jakieś dwadzieścia metrów dalej samochód Paxa. Podrywam głowę i wpatruję się w niego. Palce zamierają mi na kluczu. Nie ma go w środku. Nie wiem, czy mi ulżyło, czy wręcz przeciwnie.

– Szukasz kogoś? – Stoi tuż za mną. Nie wierzę! To nie przypadek. Odwracam się powoli i stoję twarzą w twarz z mężczyzną, który nachodzi moje sny. Uśmiecha się tak, że w okolicy dziewczynom spadają majtki. – Znów mnie pani śledzi, panno Hill? – Unosi brew.

Serce mi wali jak młotem.

– Co?! – wykrztuszam. – To mój sklep!

Wzrusza ramionami.

– A to mój samochód. Gapisz się na niego, jakbyś miała nadzieję, że wysiądę.

Wstyd mi. Nie mogę powiedzieć ani słowa na swoją obronę. Wgapiam się w niego jak idiotka.

– Co tu robisz? – pytam w końcu, zmieniając temat.

– Nie gotuję – wyjaśnia. – Więc wyruszyłem na poszukiwanie jedzenia. W barze na końcu tej ulicy mają dobre burgery.

– Aha – mrużę głupio. – Ja też mam taki zamiar. –

Znów unosi brew. – To znaczy nie idę do baru – wyjaśniam szybko. – Tylko do delikatesów obok.

Pax się uśmiecha.

– Całkiem sama? Nie słyszałaś, że w Angel Bay źle się dzieje? Dopiero co jakiś gówniarz przedawkował na plaży. W dzisiejszych czasach wszędzie można się natknąć na drania. Nie powinnaś chodzić bez opieki.

Nie mogę się nie uśmiechnąć, jest beczelny.

– Naprawdę? Niedobrze. Dranie grasują po mieście? Człowiek nigdy nie wie, kiedy na jakiegoś wpadnie.

– Święta prawda – odpowiada łagodnie. Wpatruje się we mnie złotymi oczami. Słodki Jezu, jakie on ma piękne oczy. Bezdenne i takie ciepłe. Jak roztopiony karmel. Z trudem przełykam ślinę.

– Codziennie tam chodzisz na lunch? – pyta w końcu i przełamuje milczącą wymianę spojrzeń.

– Jeśli nie mam jedzenia ze sobą, to tak. A co, zamierzasz mnie nadal prześladować?

Stoimy pośrodku chodnika, ale Pax chyba się tym nie przejmuje. Uśmiecha się tylko szeroko.

– Może – odpowiada i jak dżentelmen nadstawia ramię. – Skoro już się tu przypadkiem spotkaliśmy i idziemy w tę samą stronę, odprowadzę cię. Wilki nie podejda.

Nie odrywam od niego wzroku i kładę dłoń na jego okrytym skórzaną kurtką łokciu.

– Przecież ty jesteś najgorszym ze wszystkich wilków. Uśmiecha się znów złowieszczo. Oczywiście mu

promienieją.

– To może być prawda – przyznaje. – Boisz się?

– Powinnam!

Ale się nie boję.

Doprowadza mnie pod drzwi i oddala się o krok. Natychmiast odczuwam brak jego ciepła.

– Miłego dnia, Milo – oznajmia uroczyście, a przy okazji obcina mnie wzrokiem od góry do dołu. – Uważaj na wilki.

I już go nie ma. Znika w barze, a ja łapię się na tym, że cały czas stoję przed wejściem. Kręcę głową, wzdycham i idę zamówić kanapkę. Nie mam pojęcia, co się właśnie stało, ale Pax Tate nie może mi wyjść z głowy. I mam przeczucie, że nigdzie nie pójdzie. W brzuchu trzepoczą mi motyle, okazuje się, że ta myśl mi się podoba.

PAX

Przez cały tydzień odprowadzam Milę do delikatesów. Nie mam pojęcia dlaczego.

Wiem tylko, że.... ciągnie mnie do niej. Uosabia wszystko, czego mi brakuje i to mnie cholernie kręci. Fascynuje mnie też, że mnie nie posłała do diabła. Wydaje się równie oszołomiona tą sytuacją jak ja.

Tak więc codziennie o jedenastej wstaję z łóżka, biorę prysznic i jadę do miasta. Parkuję zawsze w tym samym

miejscu i czekam, aż wyjdzie.

Ona codziennie się naśmiewa, że ją prześladowę.

A ja codziennie jej mówię, że to ona mnie prześladowuje, bo zawsze przechodzi koło mojego samochodu. Nieważne, że teraz parkuję tuż przed drzwiami jej sklepu. Wtedy ona się rumieni i chichocze, patrzy mi w oczy, a ja, przysięgam na Boga, nie mam pojęcia, co robię.

Ale brnę w to.

Wydaje mi się, że jej się to podoba.

Wczoraj wspomniała, że bierze wolny dzień, na wypadek, gdybym chciał to sobie wpisać do mojego terminarza prześladowcy. Uwielbiam laski z poczuciem humoru! I muszę przyznać, dzisiejszy dzień jest pusty, bo wiem, że jej nie zobaczę. Dawała mi powód do wstania z łóżka, miałem na co czekać.

Ale dzisiaj tego zabraknie.

Otwieram oczy wcześniej po niespokojnym śnie. Budzi mnie moje własne miotanie się po łóżku. Bezsenność zdarzała mi się od zawsze. Z tego powodu wiele lat temu zacząłem brać proszki. Zdałem sobie sprawę, jak łatwo jest połknąć pigułkę i odpłynąć w niebyt.

Po śmierci mamy chodziłem do terapeuty. Nawet nie pamiętam, jak wyglądał, ale wiem, że to on przepisał mi środki nasenne. Pomogły okiełznać koszmary.

Były potworne. Na tyle straszne, że schodziłem na dół i spałem na progu pokoju ojca. Budził się i zastawał

mnie na podłodze. Potem nie pamiętałem, co mi się śniło.

Terapeuta mówił tacie, że w ten sposób mój umysł broni się przed emocjonalną traumą. Moim zdaniem nieźle mu szło. Do dzisiaj nie pamiętam żadnych wydarzeń związanych ze śmiercią mamy.

Telefon na stoliku nocnym wibruje. Podnoszę go i widzę esemes od ojca.

„Przyjdź podpisać papiery”.

Kurwa. Już czas?

Rzucam telefon z powrotem na stolik. Toczy się po mahoniowym blacie i zatrzymuje go dopiero ściana. Co kwartał muszę podpisywać dokumenty związane z funduszem powierniczym, który jest zasilany przez rodzinny biznes matki. Jestem dziedzicem jej fortuny. Wkurwia mnie ta biurokracja, ale muszę.

Idę właśnie pod prysznic, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. Staję wpół kroku. Nikogo się nie spodziewam. Lepiej niech to nie będzie żaden nawiedzony religijny domokrążca, bo może się zdziwić, jak znajdzie wszystkie zęby w gardle.

Nie znoszę skurwysynów.

Zerkam przez szybkę w drzwiach i widzę na progu Jill, dziwkę z baru. Nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Wzdycham. Nie mam na nią nastroju, ale otwieram drzwi. Chyba robi mi się jej żal, ma tak zdesperowaną minę. Przychodzi do mnie zawsze, jak nie ma kasy na zakupy u swojego dilera.

Obciąganie za kreskę. Taki mamy cennik. To jej pomysł. A kimże ja jestem, żeby protestować?

Uśmiecha się, gdy drzwi się otwierają. Odsłania przy tym poszarzałe zęby. To znak, że bierze coś twardszego, metę albo inne gówno. Wzdrygam się. Nawet ja czegoś takiego nie tknę. To jest piekło, jak słyszałem. Wystarczy raz i nawet najsilniejszy człowiek się uzależnia. Niepotrzebne mi to.

– Masz ochotę na ssanie kutasa? – pyta przymilnie, ale nerwowo przebiera palcami po udzie. Jest pobudzona i niespokojna. Widzę, że już od dawna nie brała i źle to znosi.

– Nie bardzo – mówię szczerze. – Właśnie się obudziłem. Poza tym mój kutas jest trochę wkurwiony, że mnie zostawiłaś na plaży na śmierć. Obca osoba musiała wezwać pomoc. Ty uciekłaś jak tchórz.

Dotknąłem ją.

– Pax – zaczyna zawodzić. – Ja nie chciałam! Ale nie mogę iść do więzienia. Mam dwoje dzieci. Sama je wychowuję. Nie mogę trafić do paki.

Jest zdesperowana, zawodzi coraz głośniej, a ja się w nią wpatruję. Zaskoczyła mnie. Chociaż nie. Jestem raczej przerażony.

– Masz dwoje dzieci?

Przez wszystkie te lata nic o tym nie wiedziałem. Nigdy nic nie mówiła, ani razu o nich nie wspomniała.

Kiwa głową.

– Tak. Dziewczynkę i chłopca. Pięć i siedem lat.

Teraz czuję już tylko obrzydzenie. Kręcę głową.

– Więc co ty kurwa wyrabiasz, Jill? Czemu bierzesz to gówno, całe dni przesiadujesz w barze? Przepierdolić swoje życie to jedna sprawa, ale niszczyć je komuś innemu to coś zupełnie innego. Musisz się ogarnąć.

Zaczynam jej zamykać drzwi przed nosem, ale wdziera się do środka i wieszka się na mnie. Płacze. Jęczy. Spanikowała. Łapię ją za nadgarstki, żeby mnie nie podrapała.

– Błagam cię. Potrzebuję tego. Przestanę, Obiecuję. Ale jeszcze ten jeden raz. Tylko jedna kreska. I poszukam pomocy. Obiecuję.

Czarne od makijażu strumienie łez płyną jej po twarzy. Słońce eksponuje głębokie zmarszczki. Mrok litościwie je maskuje. Za dnia wygląda na zmęczoną i zużytą.

Bo taka właśnie jest. Znów wzdycha.

– Dobrze. Ale mam tylko trochę. Ja przez jakiś czas nie będę brał, więc dam ci to, co mi zostało, ale to chyba tylko jedna kreska. Potem musisz poszukać pomocy. Zrób coś ze sobą.

Trzęsie się, oddech więźnie jej w gardle, ale czeka, aż ją doprowadzę do źródła koki. Nie może się skupić na niczym innym, więc darowuję sobie wykład.

Idzie za mną do stołu w kuchni. Siadam i rozdrabnam ostatni okruch. Robię kreskę i patrzę, jak wciąga na dwa razy. Potem opada na krzesło i czeka, aż narkotyk zadziała. Kiedy się do mnie zwraca, jest już wyraźnie

spokojniejsza.

– To co, gotowy na lodzika?

Patrzy na mnie wyczekująco, znajomo. Na myśl o obciążaniu robię się odruchowo twardy, czuję napięcie w ciasnym rozporku, ale kręcę głową.

– Naprawdę nie jestem w nastroju.

Odwracam się i boso idę po zimnej kamiennej podłodze do salonu. Ona mnie łapie za rękę.

– Nie możesz mi tego dać tak za nic. Niedobrze się z tym czuję. Poza tym mam wyrzuty sumienia, że się wtedy zostawiłam. Pozwól mi się jakoś zrewanżować, proszę cię.

Kobieta błagająca, żeby mi obciągnąć. Co za ironia, zwłaszcza, że ja tego nie chcę. Myśli mam ostatnio zajęte Milą Hill. Od tej barowej dziwki robi mi się, prawdę mówiąc, trochę niedobrze.

Kręcę głową.

Jill też. Opiera się o mnie i przesuwa dłońmi po nagiej skórze mojej klatki piersiowej. Zjeżdża potem do rozporka i rozpina zamek. Nachyla się i liże moją brodawkę, a potem łapie mnie w rękę. Od razu robię się napalony.

Zatyka mnie, kiedy przesuwa palcami po moim sztywnym fiucie, jeszcze przez bieliznę. Kurwa, szlag by trafił mój testosteron.

– Dobrze – wzdycham. Tak jakby zgoda na laskę była jakimś wielkim poświęceniem. Spuszczam spodnie, a ona klęka przede mną i bierze mnie całego do ust.

Zatracam się w chwili, w przyjemności, jaką dają jej usta zasysające powietrze wokół mojego kutasa, przesuujące się, poruszające, ssące. Patrzę na jezioro.

Głowa Jill podskakuje, ja patrzę na fale, na przepływającą co jakiś czas żaglówkę. Patrzę na mewy w locie, na słońce. Nagle przed oczyma staje mi Mili. Jest tak różna od zniszczonej Jill, jak to tylko możliwe: świeża i niewinna. Skupiam się na niej, a potem sobie wyobrażam jej pełne piersi z różowymi brodawkami sterczącymi w kierunku słońca.

Dochodzę znacznie szybciej niż zwykle. Jęczę i tryskam Jill do ust. Nawet na nią nie patrzę. W mojej głowie to są usta Mili. To jej dłoń trzyma mnie za jajka i delikatnie je ściska, kiedy dochodzę.

Otwieram oczy i ku swojemu przerażeniu znów widzę twarz Mili.

Tym razem naprawdę.

Patrzy na mnie z plaży przed domem. Ma doskonały widok na pokój, świetnie widzi klęczącą przede mną Jill.

Na jej twarzy widzę to samo przerażenie, które czuję w środku.

Rozdział 8

MILA

O mój Boże.

Czuję się, jakby po mojej klatce piersiowej przejechał pociąg towarowy. Nie mam w sobie ani jednej cząsteczki tlenu. Nie wiem dlaczego. Przecież Pax nie jest mi nic winien, zupełnie nic. Ale jednak przychodził codziennie i wydawało mi się, że to wzajemne zainteresowanie. Codziennie przyjeżdżał do miasta tylko po to, żeby mnie odprowadzić kawałek do delikatesów. Myślę o nim cały czas. Zajął nawet moje sny!

Ale najwidoczniej się myliłam. Moja fascynacja jest jednostronna.

Laskę robi mu dziewczyna, która go porzuciła na plaży.

Nie mogę myśleć. Odwracam gwałtownie głowę, wszystko rozmazuje mi się przed oczami, tak bardzo jestem zła i skrzywdzona. Łapię swoje rzeczy, składam sztalugi i mknę do samochodu. Wydaje mi się, że mnie

woła, ale się nie odwracam. Zaczynam biec, a jak dopadam do auta, wrzucam wszystko na tylne siedzenie. Sama wsiadam za kierownicę.

Ryzykuję rzut oka we wsteczne lusterko, ale go tam nie ma.

Wypuszczam powietrze.

Nie wiem, czy jestem rozczarowana, czy nie. Pewnie jakaś chora część mnie życzyłaby sobie, żeby mu zależało na mnie choć na tyle, żeby za mną pobiec. Ale nie pobiegł. Czyli mu nie zależy. Zaraz się chyba rozpłaczę. To idiotyczne, Boże! Ale i tak płaczę.

Płaczę, bo skończyło się coś, co nie miało nawet szansy się zacząć.

A potem dlatego, że czuję strasznie głupia, bo mam tak głupie myśli.

Jestem idiotką.

Jadę do sklepu, ale przez chwilę jeszcze siedzę w aucie. Zbieram się w sobie i w końcu wchodzę. Odwracam tabliczkę na „Otwarte” i wkładam fartuch. Potem robię to, co zwykle, gdy jestem szczęśliwa, smutna, znudzona, zadowolona albo wszystko jedno jaka.

Maluję.

Gwałtownymi pociągnięciami kreślę słońce wiszące nad powierzchnią jeziora widzianego sprzed domu Paxa. Wodę robię wzburzoną, szarą, a potem słońce przerabiam na czarne. Pozwalam, żeby farba spływała do jeziora. To mroczna scena. Doskonale ilustruje, jak

się teraz czuję. Wzburzona, wściekła, mroczna. Wszystkie słowa, jakich można użyć w stosunku do obrazu, wyrażają także moje samopoczucie.

Dzwoni dzwoneczek nad drzwiami. Wzdycham. Rzadko mam nadzieję, że nie przyjdzie żaden klient, ale dzisiaj mam ochotę być sama. Odwracam się jednak z pędzlem w dłoni, gotowa na szeroki uśmiech.

Ale to Pax.

Uśmiech zamiera mi na ustach, a ja stoję jak sparaliżowana.

Widzę, że dopiero co wziął prysznic. Ma wilgotne włosy, a kiedy się zbliża, czuję zapach mydła. Jest bardzo poważny. Zaciskam zęby. Przed chwilą ktoś mu zrobił łaskę. Nie ma prawa tu przychodzić i ze mną rozmawiać.

Więc dlaczego tak się cieszę, że przyszedł?

To wbrew logice.

– Przepraszam, że to zobaczyłaś – mówi cicho, pomijając przywitanie. – Proszę cię. Naprawdę mi przykro.

Zgrzytam zębami i odwracam się do obrazu. Rozmazuję słońce tak, że wtapia się w szare niebo.

– To twoja sprawa, co robisz – mówię krótko. – Nie moja.

Pax wzdycha. Słyszę, chociaż zatrzymał się kilka kroków ode mnie.

– Mógłbym ci wmawiać, że to nie to, co myślisz, ale skłamałbym. To było dokładnie to, co myślisz.

Mógłbym wyjaśnić, ale nie zrozumiałabyś.

– Więc po co tu przyjechałeś? – szepczę, bo nic nie rozumiem. Jeśli nie chce wyjaśnić, o co chodzi? Nie patrzę na niego, tylko na ruchy mojego pędzla. Zauważam, że się trzęsie.

Nagle czuję go tuż za sobą.

Łapie mnie za rękę i stabilizuje ją. Dłoń ma ciepłą i dużą. Powinam się wyrwać, ale tego nie robię. Otacza mnie jego ciepło. Chcę, żeby mnie wchłonęło.

– Nie wiem po co – przyznaje łagodnie, a jego głos rozlega się bardzo blisko mojej szyi. – Chyba dlatego, że nie mogę przestać o tobie myśleć. I że nigdy nie pozbędę się z pamięci przerażenia na twojej twarzy. Przykro mi, że przeze mnie tak się poczułaś. Wiedz tylko, że ona nic dla mnie nie znaczy. Nalegała, a ja nie odmówiłem. Z przyzwyczajenia. Przykro mi.

Krew mi dudni w żyłach. Nie wiem, co powiedzieć. Powinam mu kazać się wynosić, ale moje zdradzieckie serce chce, żeby został. Chyba jest nienormalne, ale ma nade mną moc.

– Nawet mnie nie znasz – mówię za to i w końcu się odwracam, żeby na niego spojrzeć. Przy okazji zabieram rękę. Patrzę w orzechowe oczy i odnajduję w nich uczucie jakiego jeszcze nie widziałam. Obawę. – Po co przepraszasz kogoś prawie obcego? Nie jesteś mi nic winien.

– Nie wiem. Wiem tylko, że od samego początku chcę cię znać. Dlatego przez cały tydzień przyjeżdżałem do

miasta. Jest w tobie coś, co daje mi wiarę, że mogę być lepszy, spróbować się ogarnąć. Od bardzo dawna tego nie czułem. A poza tym jednak mi się wydaje, że jestem ci coś winien.

Boże. Jego słowa poruszają we mnie strunę i z trudem przełykam ślinę. Mówi z wahaniem, ostrożnie. Topnieje mi serce. Nic nie poradzę. Czasem ma w oczach taką bezradność... A ja, gdzieś w głębi duszy, chcę mu pomóc.

– Ale czemu? – wciąż bacznie patrzę mu w oczy. Kręci głową.

– Nie wiem. Wydajesz mi się taka dobra, zdrowa. To mnie do ciebie ciągnie. Nie umiem tego wyjaśnić.

Wybucham śmiechem. Szczerze mnie rozbawił.

Wskazuję na obraz.

– To ci się wydaje dobre i zdrowe?

Oboje się przyglądamy płótnu w kolorach wściekłej czerni i szarości. Wygląda jak coś, co mógł namalować pacjent oddziału psychiatrycznego. Pax się w końcu uśmiecha.

– Wydaje mi się, Kapturku, że jednak masz mroczną stronę. Ale różnica między nami polega na tym, że ty umiesz nad nią panować, zdrowy sposób. Ja nie.

Patrzę na niego i zastanawiam się, co powiedzieć, na ile się otworzyć. Wydaje mi się, że to dobra chwila na szczerłość, więc nie waham się dłużej.

– Chyba nie jest zbyt zdrowe, że mi się podobasz – przyznaję. – Nigdy dotąd nie podobał mi się

niegrzeczny chłopczyk.

Stoi tak blisko, że szumi mi w głowie. Od patrzenia na niego i czekania na odpowiedź, robię się niemal pijana. Wyczuwam też emanujące z niego zło. Jest namacalne, iskrzące, fascynujące.

Przez chwilę się namyśla. Na szczęście ma jednodniowy zarost.

– Ja nigdy dotąd nie chciałem być dobry, więc to dla nas obojga pierwszy raz.

Patrzemy sobie w oczy przez mniej więcej wieczność.

Nie wiem, czy powinnam mu wierzyć, ale wydaje się szczery. Na pewno chcę mu wierzyć, choć wiem, że to głupie.

Brakuje mi słów i jemu chyba też.

Schyla głowę i mnie całuje.

Nie spodziewałam się tego zupełnie, ale jest cudownie.

Usta ma miękkie, o smaku mięty. Zniknął aromat popielniczki i wymiocin. Nie ma bezwładnego ciała z tamtej nocy, które w konwulsjach miało się po chodniku. Jest za to ktoś elektryzujący, żywy, kto smakowicie pachnie i jest obezwładniająco seksowny.

Ktoś, kto nie jest dla mnie dobry.

Jego język ostrożnie wdzierają się do moich ust i muszę się pohamować, żeby nie westchnąć. Obejmuje mnie i nawet nie wiem, kiedy jego dłonie znajdują się na moich plecach, ale rozluźniam się w jego ramionach i chwytam go w pasie. Rozkoszuję się doznaniem jego palców na

mojej skórze, naciskiem jego ciała na mnie i obecnością czegoś twardego na moich biodrach. Kręci mi się w głowie.

Kiedy muszę już zaczerpnąć tchu, odsuwa się.

Trzęsę się cała od tego pocałunku i od jego nieprzyjemnej nieobecności. Oraz na myśl o tym, jak bardzo za bardzo mi się to podobało.

Spoglądam na niego.

On patrzy na mnie z góry.

Czeka na moją reakcję, ale ja nie wiem, co robić. Pocałunek był doskonały. Pax jest cholernie seksowny. Ale jest też zupełnie inny niż ja. I przed chwilą ktoś inny zrobił mu laskę. Przypominam sobie tę straszną dziewczynę klęczącą przed nim i aż się wzdrygam. Wiem, że jeśli dam mu szansę, skrzywdzi mnie. A ja już doznałam w życiu dość bólu. Więcej mi nie trzeba.

– To chyba nie jest dobry pomysł – odzywam się w końcu niechętnie. Bardzo trudno mi przychodzi wypowiedzenie tych słów.

Ciepło w jego oczach gaśnie. Widzę w nich rozczarowanie i odrzucenie, dopiero potem jego twarz lodowacieje i zamiera. Chce mi się płakać.

– Wielka szkoda, że tak sądzisz – mówi spokojnie. – Bo według mnie to świetny pomysł. Najlepszy, na jaki wpadłem od bardzo, bardzo dawna.

Odwraca się i wychodzi.

Zostawia mnie.

Nic nie dodaje.

Patrzę na jego szerokie ramiona, gdy znikają mi z oczu.

Padam na kolana pośrodku sklepu. Ręce mi się trzęsą, kręci mi się w głowie.

Co ja zrobiłam?

Oszalałam?! Poznałam kogoś, dzięki komu zaczęłam coś czuć, po raz pierwszy od dwóch lat, od śmierci rodziców. I nagle się okazuje, że za bardzo się boję?

Jestem żałosna.

Biorę telefon i dzwonię do siostry. Odzywam się, zanim ona zdąży powiedzieć „halo”.

– Chodźmy dzisiaj na tego drinka.

Rozdział 9

PAX

Pieprzyć ją.

Kręci mi się w głowie, gdy sztywny jak kołek wychodzę z jej sklepu i idę do auta. Nie wierzę, że to się stało. Po raz pierwszy w życiu się przed kimś odśloniłem, a ona ma to gdzieś. Nie wiem już, na kogo jestem bardziej wściekły: na nią za odrzucenie czy na siebie, że się na to naraziłem.

Ale tak czy siak: pieprzyć ją.

Przekręcam kluczyk w stacyjce i pogłaśniam radio. Rozlega się ryk ostrego rocka, basy dudnią mi w piersi. Wycofuję z miejsca parkingowego i jadę w kierunku autostrady do Chicago. Skoro już i tak mam spieprzony nastrój, mogę się równie dobrze dobić.

Nitka autostrady rozciąga się przede mną, a głośna muzyka uspokaja. Zatracam się w niej. Pozwalam, by mnie znieczuliła, pochłoneła negatywne myśli. Już mam sięgnąć po fiolkę, którą cały czas noszę w kieszeni

kurtki, ale się powstrzymuję. Obiecałem sobie, że nie wezmę, na pewno nie przez jakiś czas. I nie wezmę. Nie jestem słaby. Nie jestem miękka pizdą.

We wstecznym lusterku widzę umykające kilometry. Niebo połyka drogę przede mną i wkrótce wjeżdżam już na most do Chicago, a potem na Skyway.

Kiedy docieram do biura taty, jestem już spokojny. Twarz Mili zepchnąłem gdzieś daleko.

Pieprzyć ją.

Miałbym ochotę walnąć w ścianę, ale tego nie robię. Jadę na osiemnaste piętro, recepcjonistka daje znać ojcu, że jestem. Siadam wygodnie w poczekalni, biorę ze słoja miętówkę i wrzucam do ust.

Ojciec pojawia się dwadzieścia minut później, gdy akurat mam zamknięte oczy.

– Nie trzymaj nóg na meblach.

Mówi zmęczonym głosem. Otwieram oczy. Postarzał się od zeszłego kwartału. Czarne włosy siwieją na skroniach, wokół oczu ma zmarszczki. I koło ust też. Granatowy garnitur na nim wisi. Schudł, ale nie miał czasu wymienić garderoby. Patrzę na niego i nagle zdumiewa mnie myśl, że ojciec się starzeje.

Ściągam nogi ze stolika.

– Przepraszam – mamroczę.

Kiwa głową i prowadzi mnie do gabinetu.

Siadam przed nim w fotelu i czekam. Przesuwa po blacie biurka jakieś papiery.

Nawet ich nie czytam, po prostu podpisuję. Ufam mu.

– Zawsze czytaj przed podpisaniem – upomina mnie chyba po raz setny w tej samej sytuacji.

– Czytam, jak mam do czynienia z kimś obcym. A ty nie jesteś. Wierzę, że mnie nie zrobisz w chuja.

Tata znowu wzdycha.

– Przynajmniej panuj nad językiem. To wyraz szacunku.

– Przepraszam – mruczę znowu.

Na litość boską. Zachowuje się, jakbym był dzieckiem. Ale w końcu to część naszego problemu. Nasza relacja zawsze będzie w jego głowie sprowadzała się do czasów, kiedy on był dorosłym, a ja dzieckiem. Nie pojmuje, że już obaj jesteśmy dorośli.

– Alexander Holdings miało wyjątkowo dobry kwartał – zauważa tata, a potem zbiera papiery i układa.

– Tym razem twoje przychody wzrosły. Naprawdę powinieneś pomyśleć o inwestycjach. Masz dwadzieścia cztery lata. Pora zbudować portfolio. A najlepiej także się zainteresować rodzinną firmą. Zgłosił się do mnie twój dziadek z pytaniem, jak się z tobą skontaktować. To już starszy człowiek. Nie pożyje długo. Chciałby się upewnić, że jego firma jest w dobrych rękach.

Patrzę na niego i powstrzymuję się przed skrzywieniem.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z jego firmą – informuję ojca. – Nie zgadzam się z ich założeniami. Jak dziadek w końcu odwali kite, wynajmę prezesa, żeby ją prowadził. A to, że dziadek jest sam, to wyłącznie

jego wina. Jak się wyprowadziliśmy, praktycznie się mnie wyrzekł. Niech ma pretensje do siebie.

Ojciec odrywa ode mnie wzrok i patrzy w okno

– Po śmierci twojej matki nie był już tym samym człowiekiem. Zresztą, żaden z nas nie był. Nie możesz mieć mu tego za złe. Gdy się wyprowadziliśmy, poczuł, jakby ciebie też stracił, a byłeś ostatnim ogniwem łączącym go z mamą. Babcia umarła tak dawno temu, że ty i Susanna byliście dla niego wszystkim. Stracił ją, a potem ciebie. Nic mu nie zostało.

– Mnie nie musiał tracić – syczę. – Stracił mnie przez swój pieprzony charakter. Wolał się wściekać i zerwać z nami kontakty. Przecież ja byłem dzieckiem. To nie ja zadecydowałem o wyprowadzce, tylko ty. Ale ja oberwałem. Jeśli o mnie chodzi, to niech zdycha.

Tata patrzy na mnie z namysłem. Opiera łokcie na biurku i styka koniuszki palców. Wreszcie kiwa głową.

– Rozumiem twoje uczucia. Dziadek jest wybitnym człowiekiem. Ale i upartym. Czasem twoją mamę doprowadzał do szału.

Teraz już naprawdę odpływa gdzieś wzrokiem, z myślami o mamie zatapia się w przeszłości. Jeśli ktokolwiek z nas nie pogodził się nigdy z jej śmiercią, to jest nim mój ojciec.

– Wyglądasz, jakbyś za mało jadł, tato – wyrywam go z zamyślenia i przywracam do rzeczywistości. Nie wygląda na zadowolonego. Chyba wolałby żyć w świecie wspomnień.

Kręci głową i macha ręką.

– Nic mi nie jest. Trochę stresów związanych z dużymi sprawami. A jak ty się masz? Wzięłeś się za siebie?

– Chodzi ci o to, czy nadal ćpam? – Patrzę na niego ostro. Kurwa. Jak chce o coś spytać, to niech pyta. A nie krąży wokół tematu. Ze znużeniem kiwa głową.

– Dobrze. Tak, o to mi chodzi. Czy nadal ćpasz? – pyta niechętnie, jakby słowa miały gorzki smak. Widzę też, że tak naprawdę nie chce poznać odpowiedzi. Myśli, że jestem pieprzonym ćpunem, który nie umie rzucić.

Wkurwia mnie to.

– Nie, nie ćpam – informuję, a potem wywracam oczami. – Przecież powiedziałem, że nie będę brał, więc nie biorę. Przynajmniej twardego towaru. Nie jestem uzależniony, naprawdę. Biorę, bo lubię. Nie dlatego, że muszę.

Patrzy na mnie wystudiowanym miążdżącym wzrokiem adwokata.

– Skoro tak twierdzisz – wzdycha. Odpycha się od biurka i wstaje. – Miło było cię widzieć. Do zobaczenia za trzy miesiące.

Umykam przed jego karcącym spojrzeniem i wątpliwościami. Nie rozumie jednego: jeśli cały czas się po kimś spodziewamy najgorszego, prawdopodobnie spełni nasze oczekiwania. Powinien się już nauczyć. Pokazywałem mu to wystarczająco wiele razy.

Jadę z powrotem w stronę Skyway, ale po drodze

postanawiam zboczyć do małej spelunki, którą znam skądinąd. Zaglądałem tam nieraz po nerwowych wizytach u staruszka. Barman mnie zna i wita głośno, kiedy wchodzę. Nigdy nie pamiętam, jak ma na imię. Dave? Dan?

Idę przez obskurną salę, rozglądam się po popękanych siedzeniach i ciemnych ścianach. To miejsce nigdy się nie zmienia. Przy stole bilardowym stale jest ta sama dziura w ścianie, którą ktoś zrobił pięścią. Zawsze pachnie szczykami i starym tłuszczem. Nie jest to ekskluzywne miejsce, ale świetne, żeby zapić, kurwa.

Kiwam na barmana.

– Poproszę jacka.

Kiwa głową i napełnia szklaneczkę w kolorze ciemnego złota. Następnie przesuwają ją po barze. Trochę się rozlewa, ale jemu to nie przeszkadza. Widocznie czystość nie jest jego najwyższym priorytetem. Widać choćby po jego zaplamionej koszuli i tłustych włosach. Ale mnie to nie rusza. Whisky i tak będzie smakowała jak whisky, bez względu na nawyki higieniczne barmana.

Nie może ze mną pogadać, bo musi się zająć innym klientem, brudnym starszym gościem, który wyraźnie wypił już za dużo. Z zainteresowaniem przyglądam się, jak usiłuje go spławić, ale potem macha ręką i nalewa mu jeszcze jednego.

– Cześć, koleżko. Jestem Amber.

Zerkam w dół i widzę kobietę z wielkim biustem,

która siada właśnie obok mnie. Całą sobą pokazuje, że jest barową dziwką. Od ekstremalnie ciasnych džinsów, które wznajają jej się w wargi sromowe, po jaskrawy, mocny makijaż. Cycki prawie jej wyskakują z koszulki, bo jest o jakieś trzy numery za mała.

Unoszę brwi i biorę łyk whisky.

– Koleżko? Tak się mówiło w latach czterdziestych. Powinno zostać w tamtej epoce.

Amber odrzuca głowę pełną tlenionych włosów i śmieje się, jakbym powiedział najlepszy żart, jaki w życiu słyszała.

– Jestem z Iowa. Tam ciągle tak mówimy.

– Uroczo. – Piję do dna i sugestywnie wskazuję na szklanekę. Patrzę na Amber. – Chcesz?

Wydaje mi się, że wymaga tego uprzejmość, chociaż nie mam ochoty na towarzystwo. Kiwa głową.

– Bardzo chętnie. – Patrzy na barmana. – Dan, nalejesz jeszcze jedną?

Czyli Dan. Muszę zapamiętać.

Chociaż wiem, że na pewno nie dam rady.

Amber przesuwa ręką w górę mojego uda.

– Dzięki za drinka. Ale jeśli nie chcesz, żebym do ciebie mówiła „koleżko”, musisz powiedzieć, jak masz na imię.

Patrzę na nią. Źrenice ma rozszerzone, bo już i tak za dużo wypła.

– Muszę?

Przygląda mi się przez moment, a potem wybucha

śmiechem. Śmieje się jak dziwka. Sztucznie. Mam ochotę się wzdrygnąć, ale tego nie robię. Nie wiem, co jest ze mną nie tak. To łatwa zdobycz, wystarczy wziąć. Gdybym ją chciał, oczywiście, bo okazuje się, że wcale nie chcę. I chyba wiem dlaczego.

W głowie mam pełno Mili Hill, zdrowej i słodkiej. Ale niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę jej się wpięprzać w moje życie, skoro ona mnie w ogóle nie chce.

Opróżniam kolejną szklankę jacka, a potem jeszcze następną.

Zaczyna mnie ogarniać rozkoszny spokój, znajoma obojętność, którą tak kocham. Gdy wszystko inne zawodzi, można liczyć na mrok. Prawie się śmieję ze swoich głębokich przemyśleń, ale zamiast tego wyciągam rękę i łapię Amber za udo. Przyjemnie czuć w palcach jej ciało. Jeśli ta laska mnie chce, to będzie miała.

Potem robię to, co zwykle. Z pomocą kobiet (albo prochów) wyłączam logiczne myślenie. Tym razem wystarcza barowa dziwka i jack daniels.

– Chodź ze mną – szepczę jej do ucha. Amber uśmiecha się porozumiewawczo i kiwa głową. Trzyma się mojej ręki i idziemy przez cuchnący bar do damskiej toalety.

Wygląda tak, jak sobie wyobrażałem: obrzydliwie. Z żółtego sufitu zwisa pojedyncza żarówka, rzuca wątpliwe światło na niewielkie pomieszczenie. W

sedesie witać ślady rzygów, kafelki są brudne, a ściany wyglądają jak niemyte od 1969 roku. Ale to nieważne. Zamykam drzwi i odwracam się do Amber.

Bierze mnie za rękę, a ja nie protestuję. Przesuwa ją po swoim udzie. Potem wjeżdżam pod jej obcisłą koszulkę i łapię za otłuszczony cycek. Ściskam mocno, a ona jęczy.

Ściskam jeszcze mocniej, kolejny jęk.

Mam ochotę przewrócić oczami, przecież to idiotyczne. Wiem, co się wydarzy, bo przerabiałem to już tysiąc razy. Ona będzie udawać, że sprawiam jej przyjemność, a ja będę udawał, że to nie ściema.

Ale co za różnica? Cipka to cipka.

Wyciągam z portfela gumkę i rozrywam opakowanie zębami, ale wtedy natrafiam na problem. Nie stanął mi.

– Ssij – polecam. Po czym uśmiejam się czarująco.

Odwzajemnia uśmiech i bez wahania pada na kolana na brudnej podłodze. Głowa zaczyna jej podskakiwać. Bardzo szybko robię się na tyle twardy, żeby nałożyć prezerwatywę. Wbrew sobie. Wsuwam ją, pomagam Amber wstać, a potem odwracam ją tyłem do mnie. Następnie wchodzę w nią od tyłu, bez przygotowania, bez gry wstępnej.

Ale jej to chyba nie przeszkadza.

Jęczy, jakby mój kutas był najcudowniejszym, co ją spotkało w życiu. Zamykam oczy i przypominam sobie wszystkie pornosy, jakie widziałem, wszystkie cycki, dupy, masturbacje i sceny pod prysznicem. Ale coś jest

nie tak. Cuchnie tu zgnilizną, a ja jestem zmęczony, wściekły. Dziś nic nie idzie mi łatwo i wiem, że z orgazmem też tak będzie, zwłaszcza, że wypięłem.

Wyobrażam więc sobie Milę.

Od razu czuję falę ciepła. Przywołuję widok jej wąskiej talii, ponętnych ud, pełnych ust, ślicznych cyczków. Jej kobiecy zapach, świeży i kwiatowy. W mojego kutasa od razu wstępuje nowe życie i wracam do gry.

Z Milą przed oczami posuwam Amber ostro. Uderza czołem w brudne płytki na ścianach. Pozwala na to, bo czuje, że nie zasługuje na nic więcej. Zresztą tak samo jak ja. Plugawe pieprzenie w brudnym barowym kiblu.

Żałosne dla nas obojga.

Znów myślę o Mili, ale z jakiegoś powodu już nie działa. Wydaje się nie w porządku. Amber to nie Mila. Samo myślenie o Mili, gdy znajduję się w tym żalonym miejscu z tą żalowaną laską, wydaje się po stokroć niewłaściwe.

Wychodzę z niej, a Amber odwraca się do mnie zdziwiona. Makijaż jej się rozmazał od potu. Czuję zapach tego potu i powstrzymuję się, żeby się nie wzdrygnąć.

– Nie twoja wina, to ja – uspokajam. – Alkoholowy kutas.

Kłamię, ale co za różnica. Kiwa ze zrozumieniem głową, jakby bez przerwy miała do czynienia z tym problemem. Ze współczuciem klepie mnie po ramieniu,

jakby mnie w ogóle obchodziło, co sobie pomyśli.

Uśmiecham się z wdzięcznością za jej wyrozumiałość.

Wrzucam gumkę do śmieci i wychodzę.

Wręczam Danowi dwudziestaka.

– To za jej drinki do końca wieczoru.

Dan się uśmiecha.

– Jasne. Do zobaczenia!

Kiwam głową, wychodzę i wsiadam do Danglera. Mój samochód jest wygodny i znajomy. Uspokajam się w nim. Opieram głowę o siedzenie i wciągam zapach skóry i świeżego powietrza. Jest tu milion razy lepiej niż w tym zaduchu w barze. Z otwartymi oknami i ryczącą na cały głos muzyką wracam do domu.

Szosa jest czarna i długa, frunie mi pod kołami, ale dojeżdżam do domu stanowczo za szybko. Nie jestem jeszcze gotowy. Stoję na podjeździe, patrzę na ciemny budynek i po raz pierwszy w życiu czuję, że nie mam ochoty tam wejść, bo jest za pusto.

Mieszkanie samemu jest rewelacyjne, ale czasami człowiek jest kurewsko sam.

Stoję tak przez chwilę, ręce mi zwisają wzdłuż boków, a potem wracam do auta. Jeszcze nie czas.

Nie wiem, czemu zmierzam akurat do Bear's Den, małego barku w mieście. Wiem, że będzie tam pewnie Jill i jej koleżanki, a gdybym chciał spędzić z nimi czas, wystarczyłoby, żebym zadzwonił. Nie chcę, żeby mi się narzucały, kiedy nie jestem w nastroju.

A zdecydowanie nie jestem. Chcę tam po prostu wejść, usiąść przy barze i pobyć wśród ludzi, nie musząc z nimi rozmawiać. Czy to tak wiele? Nie mam dzisiaj ochoty na barowe dziwki.

Parkuję, trzaskam drzwiami, głęboko wciągam haust nocnego powietrza i wchodzę do środka. Ostatni powiew świeżości zanim przekroczę próg zadymionego baru.

Usiłuję coś zobaczyć poprzez chmurę dymu, która unosi się w powietrzu. Miejscowi siedzą i rozmawiają. Inni grają w bilard albo rzutki bardziej z tyłu. Znam ich twarze, ale imion nie. Nie jestem bardzo towarzyski.

Tak, jak się spodziewałem, jest i Jill. Z tyłu, przycupnęła na stoliku i półnagim tyłkiem świeci w twarz innego naiwniaka. To by było na tyle, jeśli chodzi o jej obietnicę, że poszuka pomocy. Prawdę mówiąc, odkąd wiem, że ma dzieciaki, czuję do niej obrzydzenie. Co za strata tlenu.

Zauważa, że na nią patrzę i jej wypacykowana twarz się rozpromienia. Zrywa się prawie ze stolika i rusza w moją stronę.

Kręcę głową i przekazuję jej bezgłośnie słowo „nie”.

Najpierw jest zdziwiona, potem dotknięta, ale staje jak wryta. Odwracam się tyłem i idę do baru. Siadam na stołku, a kątem oka widzę, że ona też wróciła. Czuję na sobie jej pełne urazy spojrzenie, ale nie patrzę. Mój czas z nią chyba dobiegł końca. Niech ktoś inny będzie teraz zaopatrzeniowcem i dba o jej zmarnowane życie.

Znam imię tutejszego barmana, bo ma je wypisane na plakietce przy koszuli. To bardzo ułatwia zapamiętanie go pijanym gościom. Albo takim, którzy mają to w dupie. Jak ja.

– Cześć, Mickey – witam go. – Poproszę jacka. Podwójnego.

Mickey kiwa głową. To żylasty facet, który lepsze dni ma już wyraźnie za sobą. A barowych bijatyk zaliczył więcej niż trzeba. Ma bliznę biegnącą od ucha na policzek. Nigdy nie pytałem, jak ją zdobył, a on się nie kwapił do zwierzeń.

– Jak tam, Tate? – pyta i stawia przede mną szklanę. Podnoszę ją, wypijam jednym haustem i odstawiam.

– Już lepiej – odpowiadam. – Daj jeszcze jedną. Dolewaj mi cały wieczór.

Kiwa głową, dolewa, a potem przechodzi do innego klienta. Upijam mały łyk, odstawiam szklanę i zamykam oczy. Dobrze być wśród ludzi, ale nie wyróżniać się. Nie podejdzie do mnie nikt, poza Jill, a jej już wybiłem to z głowy. Jestem sam, ale to lepsza samotność niż domu.

Nagle wpada mi w ucho damski chichot i gwałtownie otwieram oczy.

Znam ten śmiech.

Odwracam się i widzę Milę z siostrą zataczające się w kierunku toalety. Wygląda na to, że jedna drugą podtrzymuje i aż wywracam oczami. Chyba jakieś jaja! Nawet tu musiałem na nią wpaść? To ostatnie miejsce, w

którym spodziewałbym się ją spotkać. Ona i jej siostra wyglądają, jakby przyleciały z innego kosmosu.

Mila podnosi wzrok i się zatrzymuje. Gdy mnie poznaje, śmiech jej zamiera na ustach. Otwiera szeroko oczy i wygląda, jakby chciała podejść i coś powiedzieć, ale siostra ciągnie ją za rękę i chociaż Mila patrzy przez ramię, pozwala się wyprowadzić. Jestem pewien, że Madison ją ciągnie specjalnie i zaciskam zęby. Mila jest dorosła. Może podejmować własne decyzje.

Choć nie twierdzę, że jej decyzje są zawsze mądre.

Dociera to do mnie bardzo szybko, gdy wracają i dołączają do paru miejscowych chłopaków, którzy grają w rzutki.

Oczywiście nie w rzutkach problem, tylko w chłopakach.

Co ona sobie myśli? Każdy z tych gości zjadłby ją na śniadanie. Pewnie jej się wydaje, że jest bezpieczna, bo zna ich całe życie. Ale to gady. Widywałem ich w tym barze z różnymi kobietami. Z żadną dwa razy.

Wzdycham, osuszam szklankę i gestem proszę o następną. To nie moja sprawa. Jasno powiedziała, że to nie jest dobry pomysł.

Więc pieprzyć ją.

Odwracam się, gdy jeden z nich kładzie mięsistą łapę na jej smukłej talii i przyciąga, rzekomo, żeby pokazać, jak prawidłowo rzucać... Chce mi się rzygać, więc siadam plecami do nich.

Robię wszystko, żeby nie zwracać na nich uwagi.

Gadam coś bez sensu z Mickeyem, Zerkam na sport w telewizorze wiszącym nad moją głową. Zamykam oczy i słucham otaczających mnie rozmów. Ale chociaż wiem, że znacznie prościej byłoby po prostu wstać i wyjść, coś każe mi zostać. Czuję, że powinienem.

Nie umiem tego wyjaśnić.

Nagle do mnie dociera. Jestem tu, bo myślę, że ona może mnie potrzebować.

Boże, co ze mnie za kretyn? Z hukiem odstawiam szklanekę i rzucając na bar banknoty. Idę się jeszcze odlać, ale potem spadam. Wyraźnie powiedziała, czego chce. I to nie jestem ja.

Kiedy wracam z klopa, Madison akurat wychodzi z jednym z tych kolesi. Opiera się na nim i śmieje mu się do ucha. Jest bardzo pijana. Kręcę głową i tłumię w sobie odruch skomentowania tego.

Co innego, gdy barowe dziwki wychodzą z przypadkowymi mężczyznami. One świetnie wiedzą, co robią. Coś dają, żeby coś dostać, Prochy, wódę albo przynajmniej zainteresowanie. To ich świadoma decyzja. Ale Madison nie jest barową dziewczynką i ten duppek to wykorzystuje. Ale to nie moja sprawa, nie będę się wtrącał.

Tak postanawiam, ale to się zmienia, gdy widzę, że Mila bierze torebkę i zmierza do drzwi. Koleś wlecze się za nią, a ona się odwraca, żeby się go przytrzymać, bo chwije się na nogach. On się śmieje, a gdy pomaga jej złapać równowagę, przejeżdża ręką po jej idealnym

tyłku.

Krew się we mnie gotuje. Ponieważ jestem już w połowie drogi do drzwi, muszę za nimi wyjść, co skutkuje jeszcze większą wściekłością. Pieprzyć to.

Wytaczają się, a ja nawet przytrzymuję Mili otwarte drzwi, gdy zaczepia kurtką o klamkę. Patrzy mi w oczy nieskupionym, rozmytym wzrokiem. W takim stanie się nie wybiera partnera do łóżka. Bebechy mi się wywracają, ale trzymam gębę na kłódkę.

Wybrała.

Wybrała.

Wybrała.

Powtarzam w głowie, jakby to miało coś ułatwić. Ale nie ułatwia. Jeszcze bardziej rozwściecza. Wychodzę wreszcie na zewnątrz i idę do samochodu.

Słyszę za plecami ich głosy, coraz cichsze im bardziej się oddalam. Mila się śmieje, on coś do niej mówi niskim dudniącym głosem. Otwierając drzwiczki, zerkam w ich stronę. Stoją przy jego samochodzie, jak sądzę, bo otworzył drzwi po stronie pasażera, ale Mila kręci głową.

Co jest?

Zatrzymuję się i patrzę. Ona średnio panuje nad słowami, ale z całą pewnością próbuje strząsnąć z siebie jego rękę i się pożegnać.

Nic nie poradzę, że czuję satysfakcję.

Ale szybko mi mijają, gdy facet uśmiecha się jak pirania, popycha Milę na samochód i wtyka jej język do

gardła. Obmacuje ją, a ona się szamocze i usiłuje go odepchnąć.

– Nie! – krzyczy w końcu.

Przed oczami wybucha mi coś czerwonego i trzema susami pokonuję dzielącą nas przestrzeń.

Odrywam go od niej i rzucam na ziemię. Bez namysłu, bez choćby jednego oddechu, staję mu na ręce, którą wyciąga w kierunku mojej nogi. Słyszę trzask kości, a on kuli się z bólu i przyciąga do piersi złamaną kończynę.

Mila wydaje zduszony okrzyk i przywiera do samochodu. Gdy na nią patrzę, facet kopie mnie w kolano.

Kurwa. Bólu nie czuję, dzięki buzującej we mnie adrenalinie.

Kopie jeszcze raz, ale jestem już przygotowany i uskakuję. Trafia w powietrze.

– Kurwa! – syczy. – Ty chuju! To nie twoja sprawa! Złamałeś mi rękę.

Gramoli się, żeby wstać, więc stawiam mu nogę na piersi.

– Ciesz się, że złamałem ci tylko rękę. Kiedy następnym razem kobieta powie ci „nie”, odpieprz się. Jedź do domu i się prześpij. A do Mili więcej się nie zbliżaj, bo złamię ci kutasa i wepchnę do gardła.

Patrzy na mnie z wściekłością.

– Jaki masz kurwa problem? Nie wiesz, czego ona chce!

Odwracam się do Mili, nie cofając nogi.

– Milo, chcesz jeszcze kiedyś się z nim spotkać?

Kręci głową.

– Nie.

– Sam widzisz – mówię spokojnie i cofam stopę. – W takim razie spierdalaj.

– Wal się! – mamrocze i gramoli się na nogi. – I ona też. Pierdolić tę dziwkę.

Wtedy obrywa.

Mocno. W bok głowy. Pada na ziemię jak worek kości. Milla znów tłumi krzyk, a ja kręcę głową i pochylam się nad nim, żeby sprawdzić, czy oddycha.

Oddycha, więc odwracam się do niej.

– Chodź. Odwiozę cię do domu.

– Czemu to zrobiłeś? – szepcze i nie może oderwać wzroku od nieprzytomnego gościa na chodniku. – Nie chciał mi nic zrobić. Po prostu jest pijany. Znam go od dawna.

Podchodzę do niej, nie odrywając wzroku.

– Nie masz pojęcia, czego on chciał. Ale zaufaj mi. To nie było nic dobrego.

Łapię ją za rękę i prowadzę do samochodu. Otwieram drzwiczki i sadzam ją na przednim siedzeniu, a potem zapinam pas.

Siadam za kierownicą, a ona przeszukuje torebkę. Podnosi wzrok.

– Kurczę – stwierdza cicho. – Nie mogę znaleźć kluczy. Zawieziesz mnie do Maddy?

Na tym etapie mówi już bardzo niewyraźnie. Brzmi to mniej więcej jak: Nie moe naść uczy. Zwiesz e do Addy?

– Jesteś ostro nawalona – orzekam. – Niedługo zaczniesz rzygać. Moim zdaniem twoja siostra nie pojechała do domu. Podjedziemy do mnie.

Otwiera szerzej oczy i kręci głową.

– Nie. To zły pomysł. Nie ufam sobie w twoim towarzystwie. – Słowa zlewają się w jedno, ale jakoś udaje mi się je rozszyfrować.

Patrzę na nią zdziwiony.

– Nie ufasz sobie w moim towarzystwie?

Kręci żałośnie głową, a potem opiera czoło o zimną szybę.

– Nie. Nie możesz mi złamać serca. Już i tak niewiele mi go zostało.

Znów mi się ściska żołądek. Gdy ona jest obok, zdarza się to strasznie często. Wkładam kluczyk do stacyjki.

– Nie bój się. Nie złamię ci dzisiaj serca. Prześpisz się w moim łóżku, a ja pójdę na kanapę.

Kiwa głową. Przytula twarz do chłodnej szyby i wiem, że niedługo już zabawi w tej rzeczywistości. I mam rację. Pięć minut później, gdy się zatrzymuję pod domem, urywa jej się film.

Patrzę na nią przez minutę. Na lśniące, ciemne włosy, obcisłe dzinsy i okrągłe piersi, których tak naprawdę prawie nie widzę, bo ma na sobie kurtkę. Pełne usta

wydymają się z każdym wydechem. Jutro tego pożałuje. Gdyby nie była taka głupia, to sam bym jej żałował.

Wyciągam ją z samochodu i niosę do domu. Staram się nie skupiać na tym, jak miękko opiera się na mnie i jak dobrze jej głowa pasuje do mojego ramienia. Waży nie więcej niż czterdzieści pięć kilo.

Układam ją na moim łóżku, zdejmuję jej buty i przykrywam. Na wszelki wypadek stawiam przy łóżku łazienkowy kosz na śmieci, a potem siadam na krześle i na nią patrzę. Nie wiem, czy się obudzi i będzie wymiotować, czy padła na dobre.

Leży cicho i spokojnie, co jakiś czas cicho pochrapując. Nie mogę się nie uśmiechnąć. Pewnie byłaby bardzo zawstydzona na wieść, że chrapie, ale jak dla mnie jest to cholernie urocze.

Wzdycha.

Jestem kurewsko zmęczony i mógłbym tu po prostu zasnąć, ale wiem, że jeśli się obudzi i mnie tu zobaczy, może się przestraszyć, zwłaszcza po ciemku. Idę więc na dół i po raz kolejny odkrywam, że nie jestem gotowy do snu. Nakręciłem się tą całą akcją w barze i tym, że Mila leży właśnie w moim łóżku. Sama.

A ja jestem na dole. Sam.

I do tego boli mnie ręka.

Kurwa mać.

Biorę torebkę z lodem, żeby owinąć rękę oraz butelkę whisky z garażu i wychodzę na plażę za domem. Siadam na fotelu i patrzę na gwiazdy. Słucham rytmicznego

szumu fal. Łykam płynnego ognia. Czuję ciepło w brzuchu, więc biorę jeszcze jeden łyk.

Zasypiam, nucąc piosenkę, do której nie znam słów i nawet nie wiem, skąd ją wziąłem. Ostatnia świadoma myśl, jaką pamiętam, to że noc jest bardzo, bardzo czarna.

Coś mnie budzi kilka minut później. Albo dni, a może lat. Czas jest taki dziwny.

– Pax – dobiega mnie słodki szept i zawisa nad moim snem.

Przez sekundę, marną sekundę, wydaje mi się, że to może mama. Przez sen ma taki sam głos. Niemożliwe. Nawet teraz. Między jawą a snem. Nie mama. Wiem zanim jeszcze otworzę oczy.

Ale i tak zaskakuje mnie, gdy widzę przed sobą Milę.

Jest zakłopotana, ale kurewsko piękna w porannym słońcu. Promienieje. Nie wygląda, jakby miała kaca. Ciemne, rozpuszczone włosy powiewają w porannym wietrze, który przynosi mi jej zapach. Wciągam powietrze i patrzę na nią.

– Co ty tu robisz? – bełkoczę pijacko. Mrużę oczy, a potem pocieram czoło. Przy okazji się krzywię, bo boli mnie ręka. Dociera do mnie, że musiałem tu zasnąć. Nocne chłodne powietrze wyziębiło mi gardło, więc muszę odchrząknąć, a potem jeszcze raz. – Jak się czujesz?

Patrzę na ziemię i widzę na piasku moją butelkę whisky. Jej zawartość wyciekła na piasek. Mam nadzieję.

Zdecydowanie mam nadzieję, że nie wypięłem całej. Jeśli tak, poczuję to później, tak jak Mila.

Jest jeszcze bardziej zakłopotana.

– No... – Nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Patrzą na nią i unoszą brwi. – Dobrze się czuję. W większości. W ustach mam sucho i boli mnie głowa. Ale chyba nie... Nie pamiętam, co się wczoraj stało. Tylko że walnąłeś Jareda i przywiozłeś mnie tutaj. Chyba mu złamałeś rękę.

– Właśnie to się stało. Często nawalasz się Bear's Den i wracasz do domu z dupkami?

Wyszło trochę brutalniej, niż zamierzałem i Mila się krzywi.

– Nie – zapewnia szybko. – Tak naprawdę rzadko w ogóle piję, chyba że wino do kolacji. Ale Maddy mnie dręczyła, żebyśmy poszły zluzować i w końcu, po wczorajszym, poczułam, że mnie też się przyda.

Teraz przyglądam jej się z zainteresowaniem, a od tłumionego śmiechu drżą mi wargi.

– Chyba wyluzować? Co się stało wczoraj? Chodzi o to, że dałaś mi kosza?

Rumieni się i patrzy w piasek.

– Tak.

– Więc się zdenerwowałaś. Pomyślałaś może, że popełniłaś błąd? Nie powinnaś mnie odtrącać? Jednak dać nam szansę? – Wpatruję się w nią i usiłuję zmusić, żeby na mnie spojrzała. – No? Myślałaś?

Podnosi głowę, a jej zielone oczy błyszczą.

– Odkąd wczoraj wyszedłeś, myślę tylko o tym – przyznaje. – Myślę wyłącznie o tobie. Nawet, jak byłam wczoraj z Madison i Jaredem. A jak już cię zobaczyłam w barze, skupiałam się tylko na tym, żeby nie podbiec i nie wskoczyć ci na kolana.

Przekrzywiam głowę.

– Dlaczego nie podbiegłaś? Pewnie by mi się spodobało.

Rumieni się znowu. Policzki i szyja ślicznie jej różowieją.

– Mogłoby to być uznane za nieeleganckie – ucina stanowczo. – Dziękuję, że mnie wczoraj uratowałeś. Teraz jesteśmy kwita. Ja uratowałam cię, ty uratowałeś mnie. – Milknie, patrzy chwilę w ziemię, a potem znów podnosi wzrok i zagląda mi w oczy. – Myślę o tobie. To pewnie nie jest rozsądne ani nawet dobre dla mnie, ale nie mogę ostatnio robić nic innego. Tylko o tobie myśleć. Czy twoje wczorajsze przeprosiny są jeszcze aktualne? Bo jeśli tak, to możliwe, że masz rację. Może warto zaryzykować.

Nerwowo wyłamuje palce.

Unoszę brew i celowo udaję kretyna.

– Z czym warto zaryzykować? Możesz sprecyzować?

Nie odpowiada. Tylko bez wahania się pochyła i całuje mnie prosto w usta.

Usta, o których wczoraj marzyłem, dotykają teraz moich warg. Wiem, że smakuję whisky i fajkami, ale mam to gdzieś i Mila chyba też. Ona za to smakuje

niebem.

W końcu się odsuwa i widzę, że brakuje jej tchu.

– Czy to znaczy „tak”? – pyta niepewnie.

Kręcę głową, zdumiony, i uśmiecham się do niej. Jest tu i to kurewsko niesamowite. I zaskakujące. Pierś aż mi rozdyma od tej niesamowitości i sam nie mogę uwierzyć w to, co po chwili mówię:

– To znaczy „tak”. Moje przeprosiny są wciąż aktualne. Ale jestem ci chyba winien jeszcze jedno.

Rozdział 10

MILA

Przypatruję mu się.

Jest zjawiskowy, ale nie mogę nie zauważyć, że wygląda na zmęczonego, jakby miał ciężką noc. Ma dwudniowy zarost i jest ubrany w to samo co dwa dni temu. Oczy ma zaczerwienione, jakby niewiele spał. Albo za dużo wypił. Albo robił za dużo czego innego.

Mrużę oczy.

– Za co chcesz mnie teraz przeproszać? – pytam ostrożnie. Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę wiedzieć. On wygląda, jakby nie był pewien, czy chce mi powiedzieć. Cofam się o kilka kroków. Nie może mnie spotkać nic gorszego niż widok Jill robiącej mu laskę, prawda?

Podnosi rękę.

– Poczekaj. Posłuchaj mnie.

Patrzy na mnie.

A ja na niego.

Wzdycha.

Czekam.

– Tak? – pytam w końcu i słyszę wahanie w swoim głosie. Przełykam ślinę. Na chwilę spuszcza głowę, ale potem odwzajemnia spojrzenie.

– Myślę, że między nami może się wydarzyć coś dobrego i nie chcę tego spieprzyć, zaczynając od kłamstw.

Nic nie rozumiem. Już zdążył mnie okłamać? Kręci głową, jakby słyszał moje myśli.

– Nie, jeszcze cię nie okłamałem – wyjaśnia. – Ale jeśli ci nie powiem, co wczoraj zrobiłem, nie będziesz wiedziała, kim jestem. I to będzie największe kłamstwo.

– Kim jesteś? – szepczę. – Dobierałeś się do mnie wczoraj? – Poranny wiatr zwiewa mi włosy na twarz, więc niecierpliwie je odgarniam i wkładam za uszy. Muszę to usłyszeć, nawet, jeśli to nie będzie przyjemne.

Waha się, zastanawia. Patrzą na niego i czuję, jak wielki ciężar przygniata mi serce, bo wiem, że cokolwiek chce mi powiedzieć, nie będzie to nic miłego. Może nie powinnam była się otwierać. Boże, trzeba było to przewidzieć! Mam ochotę iść sobie, ale powstrzymuję ten odruch i wbijam stopy w piasek.

Pax wciąż na mnie patrzy, a potem zadziera głowę i ciężko wzdycha.

– Jak się wścieknę, tracę głowę i robię głupoty, żeby zapomnieć o gniewie. Albo o tym, że mi przykro. Nie umiem rozwiązywać problemów w zdrowy sposób.

Rozwiązuję je gównianie, dzięki narkotykom albo kobietom. Albo whisky. Wczoraj postawiłem na whisky i kobietę. Ale to nie byłaś ty. Nie wykorzystałem twojego stanu.

Patrzy na mnie, a mnie powietrze więźnie w gardle. Czuję się, jakby mi przywalił w brzuch. Wczoraj cały dzień się zdręczałam, a on po prostu przespał się z jakąś panną? Nie pragnął mnie na tyle mocno, żeby wykorzystać fakt, że leżę w jego łóżku?

Jestem w szoku i robię jedyną rzecz, która pozostała szanującej się kobiecie w takiej sytuacji.

Odchodzę.

– Spadam stąd – mruczę.

Stawiam jedną stopę przed drugą i brnę plażą, choć zapadam się w piasku. Moje serce też się zapada, bardziej z każdym krokiem. Skupiam się na piasku przede mną i ignoruję ostry ból dochodzący z serca. Wiem, że to paranoja, martwić się, że mnie nie wykorzystał. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, jest mi przykro. Nie byłaby to przemoc, przecież ja też go pragnę.

Dlatego to tak strasznie boli.

– Zaczekaj! – woła za mną. Słyszę jego kroki i zatrzymuję się, gdy łapie mnie za rękę. – Proszę cię. Muszę ci coś wyjaśnić. Później, jak będziesz chciała, odejdziesz.

Odwracam się powoli i patrzę. Jest przejęty, ma zaciśnięte usta. Kiwam głową.

– Gdybym chciała, poszłabym już teraz. Nie potrzebuję twojego pozwolenia. Ale cię wysłucham.

Usta mu drżą, jakby widział w tej manifestacji niezależności coś zabawnego. Ja nie widzę. Zaciskam usta, opieram ręce na biodrach i czekam.

A on chyba się stara nie parsknąć śmiechem.

– Oczywiście, możesz iść teraz. Ale musiałybyś faktycznie iść piechotą, bo twój samochód jest w mieście.

Zamieram. To by było tyle, jeśli chodzi o moją przebojowość. Jestem na jego łasce.

Wszelkie oznaki rozbawienia znikają z jego twarzy.

– Musisz coś o mnie wiedzieć – powtarza cierpliwie. – Możemy wrócić i usiąść? – Patrzę na plażowe fotele, gdzie najwyraźniej spędził noc. Kiwam głową i idę za nim. Siadam, a on, zamiast usiąść na drugim krześle, wciska się na moje. Czekam. Chwilę trwa, zanim zaczyna. – Nigdy nikomu o tym nie mówiłem – uśmiecha się gorzko. Bądź wyrozumiała, dobrze?

Znów kiwam głową bez słowa. Czekam.

– Jestem popsuty – mówi wreszcie beznamiętnie, a ja nie mogę powstrzymać uśmiešku.

– No tak, to dobry początek – przyznaję. On też się uśmiecha, ale smutno. Serce mi pęka.

– Wiem. Chcę być z tobą całkiem szczerzy. Jestem naprawdę popsuty. Nigdy nie byłem z kimś naprawdę. Spotykałem się tylko z barowymi dziwkami, wybacz brutalność, i nie wiem, jak to jest, być w normalnym

związku z normalną kobietą. Wczoraj, gdy powiedziałaś, że my to nie jest dobry pomysł, zabolalo. Kiepsko znoszę odmowy. Potem musiałem jechać do Chicago, załatwić coś z ojcem i generalnie dzień okazał się gówniany. Zatrzymałem się w małym barze i skończyło się na seksie z kobietą stamtąd. Bo ja tak działałem. Wypieram ból albo wściekłość przy użyciu kobiet albo prochów.

Milknij, a ja wpatruję się w niego niemal obojętnie.

– Znałeś ją chociaż? – szepczę.

Kręci głową.

– Nie, nie znalazłem. Ale najdziwniejsze jest to, że nie mogłem skończyć. W głowie widziałem tylko ciebie. Nagle poczułem, że ta speluna mnie miażdży i uciekłem. Całą drogę do domu o tobie myślałem. A jak cię potem zobaczyłem w barze, prawie nie mogłem oddychać. Byłaś z kimś innym i powiedziałaś, że mnie nie chcesz. Kiedy ten gość cię przycisnął do samochodu, wpadłem w furję. Po raz pierwszy od bardzo dawna przejąłem się kimś innym niż ja sam. To ważna informacja o mnie. I o tobie. Już wiem, że jesteś dla mnie dobra. Że staranie o ciebie jest warte mojego wysiłku i czasu, który może upłynąć, zanim ty też będziesz gotowa na bycie ze mną.

Milknij, ale wciąż się we mnie wpatruje. Czeka na... odpowiedź, reakcję, kolejne odrzucenie.

Serce mi bije ospale, jakby obojętność emocji objęła także klatkę piersiową. W jego oczach znów widzę małego, skrzywdzonego chłopca. I znów chcę naprawić

krzywdę. Naprawić jego.

Chociaż dopiero co uprawiał z kimś seks w jakimś zapłutym barze.

Cholera. Dopiero co uprawiał z kimś seks w jakimś zapłutym barze!

Z trudem przełykam ślinę i się w niego wpatruję. Może i to, co zrobił, było paskudne, ale w tej chwili jest piękny. W jego oczach lśni kruchość. Żołądek skręca mi się w supeł. Wbrew złym przeczuciom, wierzę mu. Wierzę, że to nie miało dla niego znaczenia. Nie wiem, może to oznacza, że jestem równie pokręcona jak on. To wszystko jakieś szaleństwo i nie wiem, co powiedzieć. Wiem tylko, co czuję.

A czuję, że chcę zaryzykować.

Serce tak mi wali, jak gdyby miało zamilknąć, gdybym podjęła inną decyzję.

– Zabezpieczyłeś się chociaż? – pytam z wahaniem. – Z tą dziewczyną.

Kiwa głową.

– Oczywiście.

– Nie wiem, chyba oszalałam. Nawet się jeszcze nie spotykamy, a ty już mnie zdradziłeś. Ale ciągnie mnie do ciebie tak, że to aż niemożliwe. Kiedy nie jestem z tobą, myślę o tobie. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie czułam. To musi coś znaczyć, prawda? Więc może powinniśmy sprawdzić, dokąd nas to zaprowadzi. Ale musisz mi dać słowo, że kiedy będziesz ze mną, nie będziesz z nikim innym. Tego nie zaakceptuję. Będziesz

musiał znaleźć inny sposób rozwiązywania swoich problemów. Boję się, naprawdę. Nie wiem, jak się zachować wobec twoich zwyczajów.

Patrzy na mnie. W świetle poranka oczy ma bardziej złote niż zielone. Powoli kiwa głową.

– Będę się bardzo starał, żeby cię nie skrzywdzić – oznajmia. – Ale jestem popsuty. Nie mogę obiecać, że nie skrzywdzę. Ale obiecuję, że się postaram.

– Dobrze – szepczę. – Ale staraj się bardzo.

Pax się śmieje, nisko i chrapliwie, a ja czuję rozlewające mi się w brzuchu ciepło.

– Poza tym wcale cię nie zdradziłem. Nie byliśmy razem. Odrzuciłaś mnie wtedy, pamiętasz?

Pochyla się i znów mnie całuje. Tym razem w pocałunku czai się obietnica. Tego, co nas czeka, co się może wydarzyć. Budzi się we mnie nadzieja i ze zdumieniem zauważam, że po raz pierwszy od dłuższego czasu naprawdę mam na coś nadzieję. To jest coś. Przez sekundę myślę, że może wcale nie oszalałam, że tak jest dobrze.

Pax się odsuwa, ale cały czas jest blisko. Patrzy na mnie i widzę w jego oczach ciepło. Czyli to możliwe. Nie wyobraziłam sobie tego.

– Pamiętam – przyznaję. – To dlatego, że słuchałam wtedy głowy, a nie serca. Zwykle głowa bywa z tej dwójki mądrzejsza. Ale tym razem zaszaleję.

Uśmiecha się szeroko.

– Ja szalałem tyle razy, że nawet nie umiem policzyć.

Zwykle źle się to dla mnie kończyło. Więc zaufaj mi, wiem, co to jest szaleństwo. Na pewno nie to. To jest natura. Mężczyznę i kobietę do siebie ciągnie, chociaż na zdrowy rozum nie powinno, bo są swoimi przeciwieństwami. Ale przeciwieństwa się przyciągają, więc to całkowicie logiczne.

Mówi to tak poważnie, jakby prowadził wykład. Wybucham śmiechem.

– Dobrze, panie profesorze. Będziemy udawać, że tak ma być i zobaczymy, co będzie dalej.

– A co powinniśmy teraz zrobić? Jak to się robi w normalnych związkach? – pyta niechętnie. – Ja naprawdę nie wiem.

Widzę, że nie wie. Jest zagubiony i nie ukrywa tego. Jest w tym coś zachwycającego, więc się nie śmieję.

Po prostu tłumaczę:

– Zaczynamy od pierwszej randki. Potem będzie druga i trzecia. Nie śpieszymy się. Nie wskoczę ci dzisiaj do łóżka. To miałam na myśli, jak mówiłam, że nie chcę, żebyś mi złamał serce. Będę potrzebowała czasu, żebyś mi udowodnił, że tego nie zrobisz.

– Dobrze, może być – zgadza się z rozbawieniem. – Zdaje mi się, że warto na ciebie czekać.

Uśmiecham się, a potem przytulam się do jego ramienia i patrzę na jezioro. Na spienione fale wślizgujące się na brzeg i wycofujące się z niego. Słońce odbija się od powierzchni w milionach promieni. Patrzę na niego.

– Założę się, że już dawno nie byłeś tak wcześniej na nogach.

Śmieje się.

– Bardzo możliwe. Ale pewien nie jestem. W przeciwieństwie do pewności, że potrzebuję prysznic. Desperacko. Podrzucę cię do twojego auta i wrócę się wykapać. Kiedy będę mógł cię znowu zobaczyć?

Kiedy będę mógł cię znowu zobaczyć?

Mówi to w taki sposób, że na sercu znów zaciska mi się supeł. Te słowa są bezbronne i łagodne jak on. Tak jakby gdzieś głęboko, pod fasadą bezdusznego twardziela, był naprawdę kruchy. Nie mówię tego jednak, bo jestem pewna, że akurat tym słowem nie chciałby zostać opisany. Mówię za to:

– Dzisiaj mam zmianę w The Hill, naszej rodzinnej restauracji. Prowadzi ją moja siostra, ale zimą jej pomagam. Gdybyś miał ochotę wpaść pod koniec mojej zmiany, możemy przy okazji odbyć pierwszą randkę. Lubisz włoskie jedzenie?

Uśmiecha się.

– Uwielbiam. Czyli idziemy na randkę.

Prowadzi mnie do samochodu, a potem znów mnie całuje. Opiera mnie o zimne metalowe drzwiczki i spleta nasze języki, aż od jego bliskości miękną mi kolana. W końcu odnajduję zdrowy rozsądek, odsuwam się i patrzę, jak okrąża auto, żeby wsiąść za kierownicę. Patrzę na mięśnie jego pleców. Wzdycham.

Jest zjawiskowy. Zraniony i seksowny. Nie mam

pojęcia, w co się pakuję.

Zapomniałam już, jakie trudne jest kelnerowanie. Jestem tu od pięciu godzin, a wydaje mi się, że od miliona. Przystaję przy drzwiach do kuchni i pocieram kostkę, którą przywaliłam w nogę od stołu.

– Już masz dość? – pyta Maddy z szerokim uśmiechem. Akurat mnie mija. Zatrzymuje się przy mnie z tacą pełną jedzenia. – Nie przejmuj się, wieczór już się prawie kończy.

– Ale pęcherze zostaną na cały tydzień. Niewiarygodne, co ja dla ciebie robię.

Chichocze i idzie do stolika. Jedzenie wciąż paruje, a ona po mistrzowsku manewruje ciężką tacą. Chociaż przyszłyśmy równocześnie, ona wciąż wygląda nienagannie. Kucyk cały czas sterczy, makijaż nierozmazany. W życiu bym nie pomyślała, że ma kaca. Nie wiem, jak ona to robi, ale wkurza mnie.

Opadam na krzesło, żeby dać chwilę odpoczynku nogom.

– Zajęte?

Nie muszę patrzeć, moje serce wie, że ten zachrypnięty głos należy do Paxa.

Odwracam się i widzę, że stoi za mną. Umyty i ubrany w wizytowe spodnie i koszulę. Boże. Wygląda cudownie. Nie spodziewałam się, że ubierze się elegancko i od razu czuję się jeszcze gorzej. Ja jestem spocona i

śmierdzą czosnkiem. Czemu nie mogę zawsze wyglądać idealnie, tak jak Madison?

– Cześć – mówię czule. – Widać, że brałeś prysznic!

Uśmiecha się olśniewająco i radośnie.

– Dziękuję. Jestem za wcześnie?

– Troszkę. Może usiądziesz przy barze i czegoś się napijesz, a ja dokończę?

Kiwa głową, więc prowadzę go i przedstawiam naszemu barmanowi z grzywą lwa. Gęste czarne włosy Tony'ego sterczą w najróżniejszych kierunkach.

– Pax, to jest Tony. Pracuje z nami od lat, jeszcze wtedy żyli moi rodzice. Tony, to jest Pax. Dotrzymasz mu towarzystwa do końca mojej zmiany?

Tony, czterdziestoletni rodowity Włoch, wydaje się zainteresowany czekającym go zadaniem. Jeszcze nie odeszłam, a już zaczyna Paxa przepytwać.

Odwracam się i wołam:

– Przepraszam cię! Zaraz będę gotowa.

Pax przyjaźnie wywraca oczami i wraca do rozmowy z Tonym. Ja ruszam dalej, ale wpadam prosto na Maddy.

– Co ty robisz, siostrzyczko? – pyta surowo.- Albo inaczej: co on tu robi?

Mrużę oczy. Ma minę groźnej starszej siostry.

– Umówiliśmy się na randkę. Wczoraj mnie uratował. Jak pójdziesz ze mną, żebyśmy się przebrała, możemy porozmawiać.

– Oczywiście, że pójde!

Woła do innej kelnerki, żeby miała oko na salę, a

sama rusza za mną długim korytarzem do biura, gdzie zostawiłam torbę.

Zdejmuję przesiąkniętą zapachem czosnku koszulkę i nakładam nową warstwę dezodorantu. Maddy zaczyna bombardowanie pytaniami. Z każdym słowem coraz bardziej współczuję Paxowi, który podlega temu samemu przesłuchaniu z ust Tony'ego.

Wkładam miękką białą koszulkę z długimi rękawami, džinsy, a potem spryskuję szyję perfumami. W końcu patrzę na siostrę.

– Posłuchaj. Wiem, że się o mnie martwisz. Ja sama nie jestem pewna, czy powinnam się w to pakować, ale wiem, że przy nim czuję się tak, jak się nie czułam od dawna. Odżyłam i znów mam nadzieję, że życie może się okazać niesamowite, jeśli tylko wystarczająco bardzo się postaram. Wczoraj uratował mnie przed zalaniem w trupa Jaredem. Więc proszę cię. Pozwól mi spróbować, co z tego będzie. To tylko randka, na litość boską. Nie uciekamy zagranicę!

Madison wzdycha, głośno i przeciągle.

– Moim skromnym zdaniem oszalałaś. Ten koleś ma problem z narkotykami. Nie licząc innych jego problemów. Nie powinnaś mu poświęcać nawet minuty, nie mówiąc już o kilku godzinach.

Patrzę na nią wściekle.

– A ty nie powinnaś oceniać kogoś, kogo nie znasz. Nie wydaje mi się, żeby miał problem z narkotykami. Myślę, że tylko je bierze. I mam nadzieję, że przestanie.

Tamtej nocy przez pomyłkę wziął za dużo. Jak już mówiłam, mam nadzieję, że przestanie i że to się więcej nie powtórzy. Ale ma w sobie tyle prawdy i szczerości, że nie mogę się powstrzymać, chcę go poznać lepiej. Musi w nim być coś dobrego. Uratował mnie. A nie musiał.

Patrzę na Maddy. Ona jeszcze raz ciężko wzdycha i nerwowo bębni czerwonymi paznokciami w blat biurka.

– Muszę ci o czymś przypomnieć. Nasza mama to zawsze mówiła. Nie da się zmienić drugiego człowieka. Człowiek będzie zawsze taki, jaki jest. Nie łudź się, że go odmienisz i dobre cechy przeważą nad złymi. To tak nie działa. Nawet go nie znasz.

W milczeniu się czeszę i spinam włosy w kucyk, nisko nad karkiem.

– Ty też nie. Ale poznam go, bo jestem dorosła i sama podejmuję decyzje. Czy możemy już zmienić temat?

Toczymy wojnę psychologiczną. Ona wpatruje się w moje zielone oczy, a ja w jej niebieskie. W końcu wzdycha i odwraca wzrok. Uśmiecham się, bo wygrałam.

– Dziękuję – mówię i nachylam się, żeby ją pocałować w policzek. – Bądź dla niego miła, dobrze? Nie każę ci się z nim od razu przyjaźnić.

Krzywi się, ale nie daję jej szansy na negocjacje, bo szybko wychodzę, żeby ocalić Paxa ze szponów Tony’ego. Jednak kiedy przychodzę, nie wygląda na kogoś, kto oczekuje ratunku. Tony się zaśmiewa z

czegoś, co Pax powiedział, a on jest zupełnie wyluzowany.

Więc ja też się odprężam.

W każdym razie do chwili, gdy Pax się odwraca i do mnie uśmiecha. Ma dołek w policzku, jakimś cudem nie zauważyłam tego wcześniej. Złote oczy migocą.

Ziemia zaczyna się obracać szybciej, serce mi wali w szalonym rytmie i obija się o żebra. Prawdopodobnie straciłam rozum, ale chwilowo mam to gdzieś.

Rozdział 11

PAX

Nie widziałem nigdy istoty tak pięknej, jak Mila, kiedy tak idzie w moją stronę przez salę jadalnianą. I nie chodzi wcale o to, że jest zjawiskowa. Ważne, że idzie do mnie. Żeby być ze mną. Nawet jeśli tylko dzisiaj albo tylko teraz.

Przełykam trzymany w ustach napój i uśmiecham się do niej szeroko.

Odwzajemnia uśmiech i nagle wszystko wydaje się być w porządku. Rzadko zdarza mi się takie uczucie.

Gdy jest w połowie drogi, Tom mówi cicho:

– Nie zrób tej dziewczynie krzywdy albo będziesz miał ze mną do czynienia.

Patrzę na niego. Jest poważny, spięty. Zniknął gdzieś wyluzowany barman, którym był jeszcze przed chwilą. Ale rozumiem. Dba o Milę i szanuję go za to. Kiwam głową.

– Postaram się.

Wraca do wycierania szklanek.

– Dobrze ci radzę.

Mila siada obok mnie i przełamuje to niespodziewane napięcie.

– Cześć – mruczy i kładzie mi na ramieniu smukłą dłoń. Walczę z sobą, żeby jej nie podnieść do ust i nie pocałować. Co za dziwny odruch. Ale ona budzi we mnie uczucia, o które bym się nie podejrzewał.

– Cześć – odpowiadam. – Gotowa na randkę?

Znów się uśmiecha.

– Jasne! Złożmy zamówienia, zanim kuchnia przestanie działać, a potem otworzymy wino. Pokażę ci najlepszy stolik.

Łapie mnie za rękę i prowadzi przez cichą salę do jeszcze cichszego stolika dla dwóch osób, przy oknie. Cały tył restauracji wychodzi na jezioro, które świetnie widać przez okna. Po lewej stronie jest patio we włoskim stylu, pewnie otwarte latem. Teraz jest za zimno, żeby tam jeść.

– W porządku, monsieur? – pyta z ostentacyjnym akcentem i się śmieje. Odwzajemniam uśmiech.

– Francuski? Myślałem, że to modna włoska knajpka?

Mila chichocze i podaje mi menu. Dociera do mnie wtedy zapach jej perfum i wciągam go łapczywie. Pachnie niebem. Tak samo smakują jej usta.

– Nie chcemy być modni. Zależy nam, żeby tu było jak we Włoszech. Dopiero co skończył się remont. Teraz jest jeszcze bardziej po włosku.

Rozglądam się, patrzę na pokryte chropowatym tynkiem ściany, włoskie obrazki i elementy budujące rustykalny efekt. Faktycznie, jest jak w Europie. Mówię jej to, a ona cała się rozpromienia. O to im widocznie chodziło.

– Zjadłbym lasagne – mówię. – Macie dobrą?

Patrzy z oburzeniem.

– Wszystko mamy dobre! Pamiętaj powiedzieć o tym przyjaciołom.

Śmieję się.

– Nie mam wielu przyjaciół. Ale na pewno będę was reklamował. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko gościom wyjętym prosto z baru?

Miażdży mnie wzrokiem i odchodzi, pewnie, żeby zamówić. Wraca po chwili z butelką wina i siada naprzeciwko mnie. Płomień świeczki płonącej przy naszym stoliku rzuca na jej twarz miękkie światło.

– Wina? – pyta i od razu nalewa mi do kieliszka czerwony strumień. Dobrze, że i tak miałem ochotę.

– Dziękuję. Piękny dzisiaj wieczór, prawda?

Zerkam przez okno na ciemne i spokojne jezioro. Miła towarzyszy mi wzrokiem.

– Kocham to jezioro – mówi cicho. – Pewnie większość mieszkańców miasteczka je lubi, ale ja je uwielbiam. Zawsze mnie uspokaja. Bez względu na to, co się dzieje w moim życiu, zawsze jest takie samo.

Muszę na nią popatrzeć, bo czuję dokładnie tak jak ona. Między innymi dlatego wybrałem to, a nie inne

miejsce na dom, który zawisł niemal nad samym brzegiem. Jezioro jest dla mnie symbolem trwałości. To kojące.

Patrzy na mnie z namysłem, a ja dostrzegam, że jej oczy mają kolor najdelikatniejszej zieleni, niemal jak jadeit.

– Opowiedz mi o sobie – poleca ostrożnie i upija wina. Niemal pięści palcami kieliszek i łapię się na tym, że mu zazdroszczę. Zauważam też, że ma na środkowym palcu obrączkę w odcieniu głębokiej czerwieni, idealnie w kolorze wina. Oddycham.

– No dobrze. Nazywam się Pax Alexander Tate. Wiesz, gdzie mieszkam, ale nie wiesz pewnie, że wychowałem się w Connecticut, a do Chicago się wynieśliśmy, jak miałem siedem lat. Mój ojciec wciąż tam mieszka. Jest prawnikiem. Ja zamieszkałem tutaj kilka lat temu. Tak jak ty kocham jezioro. Spokój, ciszę i odosobnienie. Nie jestem bardzo towarzyski, a wiedziałem, że ludzie w takich miejscowościach mają w zwyczaju dawać innym spokój. Wiedzą, że czasem inni przyjeżdżają tu właśnie z tego powodu: żeby побыć samemu, z dala od miejskiego zgiełku. To dlatego znalazłem się w Angel Bay.

Mila się uśmiecha, żeby mi dodać odwagi. Tak, jakby wiedziała, że trudno mi mówić o sobie. W sumie nie wiem dlaczego. Przecież na razie recytuję fakty. Nie wdaję się w żadne głęboko osobiste wyznania.

– A co z twoją mamą? – pyta zaciekawiona. – Twoi

rodzice się rozwiedli? Dlatego się przeprowadziliście do Chicago?

Wkraczamy na terytorium osobiste. Oddycham głęboko i dociera do mnie, że mocno zaciskam rękę na udzie. Rozluźniam palce. To tylko rozmowa. Nic takiego.

– Mama umarła wiele lat temu. Jak miałem siedem lat. Wyprowadziliśmy się z tatą do Chicago, żeby uciec przed wspomnieniami.

Mila zamiera, ale nie odrywa ode mnie pięknych, zielonych oczu.

– Nie wiedziałam... – udaje jej się w końcu powiedzieć. – Przykro mi. Nic nie mówiłeś w szpitalu, gdy ja opowiadałam o swoich rodzicach.

Ja też na nią patrzę.

– Wiem. Rzadko o tym mówię.

– Była chora? Miałeś szansę się pożegnać? Dla mnie to chyba najgorsza rzecz związana ze śmiercią rodziców. Że nie mogłam się pożegnać. To się stało tak nagle i było takie szokujące. Ten szok był najstraszniejszy.

Próbuję cofnąć się pamięcią do śmierci mamy, ale jak zwykle natrafiam na wielką pustkę. Jedyne, co pamiętam, gdy o tym myślę, to mnóstwo dziwnej bieli. Żadnych wspomnień.

– Zdarza ci się kojarzyć wydarzenia z kolorami? – pytam, unikając odpowiedzi. – Jak byłem mały, wyparłem chyba wspomnienia związane ze śmiercią

mamy. Umarła nagle, w wypadku samochodowym, jak twoi rodzice. ale ja nic nie pamiętam. Widzę tylko biel, prawie jak pusta strona w przeglądarce.

Mila jest wstrząśnięta.

– Ja też to robię – szepcze. – Prawie ze wszystkim wiązę jakieś kolory. To chyba dlatego, że maluję obrazy, tak zarabiam na życie, więc odruchowo widzę świat poprzez kolory. Nie wiem, jak to wyjaśnić w twoim przypadku.

Uśmiecham się.

– Nikt nie wie, jak wyjaśnić mój przypadek – stwierdzam sucho.

– Byłeś małym chłopcem, gdy twoja mama umarła – powtarza Mila powoli. – To musiało być dla ciebie potworne. Nic dziwnego, że wyparłeś wspomnienia. A jak to zniósł twój tata? Masz jeszcze jakąś rodzinę?

Normalnie bym się wściekł, że ktoś się wtrąca w moje prywatne sprawy, ale wiem, że Mila nie ma nic złego na myśli. Próbuje mnie po prostu rozgryźć, dowiedzieć się, dlaczego jestem taki kolczasty. Chce mi się śmiać, bo wydaje mi się, że to niemożliwe.

– Byłem wtedy mały – potwierdzam. – Musiało być ciężko, ale tak, jak ci mówię, nie mam prawie żadnych wspomnień. Do dziewiątego roku życia nie pamiętałem w ogóle nic. Mój dawny terapeuta, ten z czasów dzieciństwa, powiedział, że w ten sposób mój mózg bronił się przed traumą. Mój tata też źle zniósł to wszystko. Między innymi dlatego się wyprowadziliśmy.

Zmienił się i już nigdy nie był taki sam. Mama jak umarła, zabrała z sobą kawałek niego. Nie mam żadnej innej rodziny. Dziadek, ojciec mamy, żyje, ale wściekł się, jak się wyprowadziliśmy i przestał ze mną rozmawiać. Prowadzi firmę naftową, dzięki temu mam z czego żyć. Odziedziczyłem udziały mamy.

I tak po prostu powiedziałem Mili więcej niż komukolwiek od bardzo dawna. Chyba nawet nie zdawałem sobie sprawy, w jakim żyję odosobnieniu. To smutne. Nigdy nikogo nie potrzebowałem. Aż do teraz.

Patrzę na nią.

– Znasz już historię mojego życia. Teraz ty. Już wiem, że twoi rodzice nie żyją. Co jeszcze powinienem wiedzieć?

Sięgam po butelkę i znów napełniam kieliszki. Coś czuję, że przed końcem wieczoru oboje będziemy potrzebowali wsparcia. Rozglądam się. W restauracji jest prawie całkiem pusto, słuchać tylko szcęk naczyń z kuchni.

– Ja się ciągle nie mogę nadziwić, że mamy więcej wspólnego, niż myślałam – przyznaje Milla. Policzki ma zarumienione od wina.

– Tak, należymy do elitarnego klubu. Wiemy, jak to jest stracić rodzica w młodym wieku. Farciarze z nas!

– Ty byłeś znacznie młodszy niż ja – przypomina poważnie. – Ja byłam dorosła, studiowałam. Nawet sobie nie wyobrażam, co to znaczy dla małego chłopca wychowywać się bez matki. Żyła wtedy twoja babcia?

Była w twoim życiu jakaś kobieta?

Kręcę głową.

– Nie. Babcia umarła przed moim urodzeniem. I nie, nie znałem w dzieciństwie żadnych kobiet, nie licząc nauczycielek.

Nagle dociera do mnie, że Mila mimochodem zwróciła uwagę na coś, o czym sam nigdy nie pomyślałem. Czy to, że nie miałem matki ani nie stykałem się z żadnymi innymi kobietami, wpłynęło na mnie bardziej, niż mógłbym przypuszczać? Czy stąd mój paskudny stosunek do kobiet?

Sądząc po minie Mili, zastanawia się nad tym samym. Ale nic nie mówi. Widzę za to w jej oczach współczucie, którego nienawidzę.

– Nie żałuj mnie – ostrzegam. – Na świecie są miliony ludzi, którym umarła matka. Tobie przecież też. Nie ma we mnie nic wyjątkowego. Wszyscy dajemy sobie z tym radę najlepiej, jak potrafimy i tyle.

Znów przypatruje mi się z namysłem.

– Czyli nie wydaje ci się znaczący fakt, że dorastałeś bez matki?

Wywracam oczami.

– Chcesz jakoś usprawiedliwić to, że jestem dupkiem? Jestem dupkiem dlatego, że jestem dupkiem. Są takie sprawy, których nie da się wyjaśnić i koniec. Tęcza jest ładna. Kocięta są słodkie. Babska literatura jest łzawa. Po prostu tak jest, nie ma przyczyn.

Wywraca oczami.

– Po prostu tak jest, ale nie bez powodu. Kocięta są słodkie, bo są małymi futrzanymi kulkami o zatroskanych pyszczkach. Tęcza jest ładna, bo zawiera w sobie wszystkie kolory wstępujące na świecie i powstaje z załamującego się światła. Babska literatura jest łzawa, bo babki czasem muszą się wypłakać. A dupek jest dupkiem z jakiegoś powodu.

Patrzy z determinacją i widzę, że ma ochotę rozebrać mnie na części i sprawdzić, czemu się jeżę. Pod jej spojrzeniem czuję się nagi. Ale całe szczęście właśnie w tej chwili przybywa jedzenie i prawie oddycham z ulgą.

Madison, jej siostra, stawia przed nami talerze. Lasagne dla mnie, penne dla Mili. Pośrodku stołu koszyk z pieczywem.

– Myślę, że wszystko macie – mówi, patrząc na Milę, nie na mnie. – Gdybyście mogli po jedzeniu odnieść talerze do kuchni, byłoby świetnie. Zaraz wszyscy wychodzimy. Wszystko w porządku?

Unosi brwi i wiem, że tak naprawdę pyta Milę, czy jest pewna, że chce ze mną zostać.

Walczę z odruchem zmiążdżenia jej wzrokiem. Wczoraj to ona zostawiła swoją małą siostrzyczkę z pijanym draniem. Nie ja.

Mila z uśmiechem kiwa głową.

– Wszystko dobrze. Do zobaczenia jutro.

Madison kiwa głową i odchodzi, nawet na mnie nie patrząc. Zerkam na Milę.

– Twoja siostra jest zimną suką – zauważam

uprzejmie.

Ona odrzuca głowę do tyłu i się śmieje.

– Powiedz, co myślisz naprawdę! – chichocze znowu, a potem dodaje: – Ona się o mnie po prostu troszczy. Mam tylko ją i ona traktuje swoją rolę poważnie.

Unoszę brwi.

– Wczoraj jakoś nie traktowała, jak cię zostawiła samą z tym dupkiem Jaredem.

– Ma wyrzuty sumienia. Kiepsko znosi alkohol i popełniła błąd.

Kręcę głową, ale odpuszczam, bo bierzemy się za jedzenie.

– Bardzo dobre – stwierdzam. – Nic dziwnego, że w sezonie turystycznym macie komplet.

Uśmiecha się.

– Dziękuję. To było marzenie moich rodziców. Madison podtrzymuje je dla nich.

Jemy w świetle świec, a milczenie jest zaskakująco niekłopotliwe. Jeszcze nigdy nie doświadczyłem ciszy, której nie chciałem natychmiast przerwać, żeby nie było niezręcznie. Z Milą nic się nie wydaje niezręcznie. Jest swobodna, więc i ja się odprężam.

Po kolacji odnosimy talerze do kuchni. Miła odwraca się do mnie i kładzie mi szczupłą dłoń na piersi. Patrzę na nią zdziwiony.

– Jeszcze nie jestem gotowa na rozstanie – mówi łagodnie. – Może chciałbyś się przejść po plaży?

Kiwam głową.

– Jasne. Tylko włożmy kurtki.

Pomagam jej się ubrać i wychodzę za nią na zewnątrz. Idziemy nad wodę. Mila bierze mnie za rękę i wydaje mi się to bardzo intymne.

– Bawiłam się na tej plaży, jak byłam mała. – Rozgląda się wokół, patrzy na zamrożnięte trawy i szarą wodę. – Ganiałyśmy z Maddy po tym kawałku piasku, a rodzice pracowali. A gdzie ty się bawiłeś?

Zastanawiam się nad tym, a przy okazji prowadzę ją wokół wyrzuconego przez wodę kawałka drewna.

– Nie pamiętam – przyznaję. – Mam jakieś przebłyski z domu dziadka. Myślę, że mama mnie tam co jakiś czas zabierała. I kojarzę jakieś święta. Ale nic poza tym.

Znów patrzy na mnie ze współczuciem, ale nie komentuje. Coś czuję, że wie, że nie podobałoby mi się to.

– Myślisz, że Bóg istnieje? – zmienia temat. Nie wiem, skąd wzięła ten pomysł.

– Co to za pytanie? Całkiem od czapy.

Uśmiecham się i idziemy dalej. Czuję, jak mokry piasek wnika w skórę moich eleganckich butów. Żałuję, że nie włożyłem codziennych buciorów, ale wyglądałyby zupełnie bez sensu do eleganckich spodni.

Mila wzdycha.

– Nie wiem. Nie jest takie od czapy. Czasem się nad tym zastanawiam. Ty nie? Nie myślałam o tym nigdy, dopiero jak umarli rodzice. Teraz co jakiś czas wpada mi to do głowy. Nic na to nie poradzę. Poruszaliśmy już

dzisiaj takie poważne tematy, więc stwierdziłam, że zapytam. Staram się lepiej cię poznać.

Uśmiecha się i ściska mnie za rękę, a mnie od razu mięknie serce. Ona ma w sobie coś takiego, że mogłaby zapytać o wszystko, a ja bym odpowiedział.

– Nie wiem. Nie wiem, jak jest z Bogiem. Myślę, że gdzieś jest. Gdzieś tam. Pewnie na nas patrzy i zastanawia się, dlaczego jesteśmy tacy pojebani. Ale jeśli jest tutaj, to o mnie już dawno zapomniał.

– Czemu tak mówisz? – pyta cicho.

Kręcę głową.

– Nie wiem. Czegoś mi brakuje. Nie mam jakiegoś kawałka i nawet nie wiem, czy kiedykolwiek miałem. Jestem pewien, że Bóg się z takimi wybrakowańcami nie zadaje.

Czuję, że mam kluchę w gardle, dlaczego? Przełykam ślinę i patrzę na piękną, delikatną dziewczynę, która idzie ze mną. Każdy inni podwinąłby ogon i uciekł. Ale nie ona. Stoi twardo na piasku i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

Podnosi rękę. Dotyka mojej piersi, a potem twarzy.

– Głupoty gadasz – mówi łagodnie. – Ja cię widzę zupełnie inaczej niż ty siebie. Gdybyś patrzył moimi oczami, wiedziałbyś, że niczego ci nie brakuje. Myślę tylko, że używałeś narkotyków, żeby nie musieć odpowiadać na pytania dotyczące siebie, strachu albo niepewności. Nie wiem, dlaczego tak było. Ale jestem pewna, że są sprawy, z którymi się nigdy nie zmierzyłeś

ani o których nie myślałeś. I pewnie dlatego odczuwasz jakąś pustkę. Ale jeśli tylko odkryjesz, z czym się musisz uporać, znów poczujesz się kompletny. Nie będzie dziur ani pustki. Tak sobie myślę.

Płonącymi oczami wpatruję się w tę niesamowicie przenikliwą kobietę. Jest mnóstwo gówna, o którym nigdy nie chciało mi się myśleć: Więcej, bardzo wielu rzeczy się wyparłem, żeby nie musieć tego robić. I może tak naprawdę to mi najbardziej zaszkodziło, a nie te głupoty, które robiłem.

– Znasz mnie chyba lepiej, niż powinnaś – burczę. Uśmiecha się delikatnie.

– W ogóle cię nie znam. A już na pewno nie tak, jakbym chciała – zaprzecza i obejmuje mnie za szyję. – Ale to się zmieni.

Potem mnie całuje. A wtedy wszystko jest dobrze. Jak zawsze, kiedy trzymam ją w ramionach. Czuję się, jakbym trzymał promień słońca. Całuję ją, aż nie możemy oddychać, a kiedy się w końcu rozdzielamy, zaczerpujemy tylko tchu i całujemy się dalej.

Gwiazdy nad naszymi głowami migoczą, jezioro po naszej lewej jest spokojne i ciche, a ja po raz pierwszy odkąd pamiętam, czuję się jak w domu.

Rozdział 12

Pierwszy raz od tygodnia budzę się z chciwą na kokainę.

Nie wiem, czemu, przecież wczorajszy wieczór był doskonały. Spacerowaliśmy z Milą po plaży, aż oboje się zmęczyliśmy. Trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy się, a potem znowu szliśmy za rękę. Odprowadziłem ją do samochodu i znów się całowaliśmy. Nie zaprosiłem jej do siebie, ona mnie też nie.

To jest zbyt dobre, żeby to spierdolić. Nawet taki dupek jak ja o tym wie. Jeśli ona nie chce się śpieszyć, nie będę się śpieszyć. Przecież od czegoś mam rękę i nie zawaham się jej użyć.

Na myśl o słowie „użyć” przypominam sobie o kokainie. O tym, że chcę zanurzyć w niej nos, żeby zapłonał, a potem czekać, aż wypełni mnie zubożeniem.

Ale myślę, że to po prostu odruch, bo po raz pierwszy odkąd pamiętam, nie chcę być obojętny. Dzięki Mili chcę czuć. Z nią i dla niej. Chcę być lepszym człowiekiem, tylko po to, żeby móc przy niej przebywać.

Odrzucam kołdrę i robię coś kompletnie spontanicznego.

Otwieram moją fiolkę i wszystkie pigułki, jakie w niej są, wrzucam do toalety, a potem spuszczam wodę. Jednak kiedy patrzę, jak znikają w wodnym wirze, dopada mnie panika.

Co ja kurwa robię?!

Prawie zanurzam rękę w toalecie, żeby je wyciągnąć.

Ale potem przypominam sobie twarz Mili i znów jestem spokojny.

Robię to, co trzeba. Właśnie tak. I mogę to zrobić, nie jestem miękką pizdą.

Idę do kuchni i wyciągam zapasowe prochy z zamrażalnika, a potem wrzucam je do zlewu, do otworu mielącego śmieci, i włączam. Słucham, jak miażdży i mieli moją ewakuację od rzeczywistości.

Wyrzucam nawet pigułki nasenne. Pozbywam się wszystkiego, co dotąd służyło mi do ucieczki. Z wyjątkiem trzech butelek whisky, które mam w kuchni. Staram się rozpocząć nowy rozdział, ale jeszcze nie oszalałem.

Dzwoni komórka i widzę na wyświetlaczu imię Mili. Uśmiecham się i odbieram.

– Cześć, skarbie.

Milknie na sekundę, tak jakby moja poufałość zbiła ją z tropu, ale nie. Słyszę w jej głosie uśmiech, gdy w końcu odpowiada:

– Cześć. Dzwonię, żeby powiedzieć dzień dobry. I

podziękować za wczorajszy wieczór. Było bardzo miło. Fantastycznie się bawiłam. Co robisz? Obudziłam cię?

Śmieję się.

– Nie. Nie obudziłaś. Ale nie uwierzysz, co właśnie robię.

Kolejna chwila ciszy.

Potem ona wybucha śmiechem.

– Powiesz mi, czy naprawdę chcesz, żeby zgadywała?

– Chcę, żebyś zgadywała. Ale skoro nie masz pomysłu, to ci powiem. Zaczynam nowy rozdział. Nie będę cię zanudzał szczegółami, ale myślę, że sama zauważysz zmianę.

Znów przez chwilę milczy.

– Co to znaczy „nowy rozdział”? O jakiej zmianie mówisz? Bo jeśli chodzi o coś znaczącego, to nie rób nic tylko dlatego, że myślisz, że ja tego chcę. To się nie uda. Zmiany udają się tylko wtedy, kiedy sami ich chcemy.

Śmieję się.

– Taka młoda, a taka mądra! Ale ja chcę zmiany. Wczoraj miałaś rację. Brałem narkotyki, żeby zamaskowały uczucia. Żeby mnie ich pozbawiły. Ale tak robią tylko pizdy. Ja sobie dam radę ze wszystkim, co mi zafunduje życie. Nie potrzebuję asekuracji.

– Dobra. Ale po pierwsze: jestem niewiele młodsza od ciebie. Mam dwadzieścia trzy lata. Po drugie: bardzo się cieszę. To niesamowite! Pomogę ci, jak tylko będę potrafiła. Jeśli chcesz, mogę ci polecić terapeutę.

Chodziłam do niego po śmierci rodziców. Bardzo mi pomógł uporać się z żałobą, ale jestem pewna, że tobie też pomoże zerwać z nałogiem.

– Pierdolę terapeutę – mówię odruchowo. – Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak brutalnie zabrzmiało. Chodzi mi o to, że nie jestem uzależniony. Nie potrzebuję pomocy przy zrywaniu z nałogiem. Naprawdę. Ale dzięki za propozycję.

Cisza.

Dłuższa cisza.

– No dobrze – mówi w końcu. – Szanuję to. Ale daj mi znać, gdybym mogła jakoś ci pomóc. Mogę cię wysłuchać, gdybyś chciał pogadać, zająć ci czas albo co będzie trzeba. A tak przy okazji: miałbyś ochotę na drugą randkę dzisiaj wieczorem? Mam pewien pomysł.

– Tak? – Unoszę brew, chociaż tego nie widzi. – A co takiego?

– W grę wchodzi mój sklep i malowanie. Ponieważ lepiej się poznajemy, pomyślałam, że może chciałbyś zobaczyć, czym się zajmuję.

Zaintrygowała mnie, więc jej to mówię i umawiamy się u niej na dziewiętnastą. Mam wziąć jakieś jedzenie na wynos.

W drodze pod przyszczyć się uśmiecham. Jeśli tak wygląda bycie w związku, myślę, że dam sobie radę.

MILA

Podobno nie powinno się poganiać czasu i chcieć, żeby życie płynęło szybciej, ale cały dzień nie mogę się doczekać dziewiętnastej.

Zamykam sklep o osiemnastej i pędzę do siebie na górę, żeby wziąć prysznic. Potem ubieram się w dopasowane dżinsy i miękki czerwony sweter, który od niego dostałam. Ten akurat ma głęboki dekolt, a ja nie zakładam podkoszulka. Widzę w lustrze przedziałek między piersiami i rumienię się sama do siebie.

– Boże, co za żenada – mówię sobie i przy okazji się perfumuję. – Jesteś dorosła. Możesz się ubierać seksownie, jeśli tylko zechcesz. I to nie będzie znaczyć, że jesteś łatwa.

Super, a teraz jeszcze do siebie mówię!

O siódmej schodzę z powrotem na dół i udaję, że jestem spokojna. Pax przychodzi punktualnie, dzięki Bogu. Patrzą, jak idzie chodnikiem i prawdę mówiąc, zapiera mi dech w piersi.

Znów jest świeżo po prysznicu. Ma na sobie dżinsy i czarną obcisłą podkoszulkę. Na to kurtka. Mam ochotę się przytulić do jego szczupłego ciała, więc dla odwrócenia uwagi przenoszę wzrok na twarz. Mruga do mnie.

Otwieram drzwi, a serce mi trzepocze.

– Cześć – mówię cicho. Do środka wpada zimowe powietrze i jego zapach. Wciągam go głęboko, a potem wspinam się na palce, żeby sięgnąć do jego policzka.

– Cześć – odpowiada. – To wszystko, co dla nie masz?

– szczerzy zęby.

Kręcę głowa i wywracam oczami.

– Na razie tak. Cierpliwości.

– Tego mi nie brakuje – deklaruje. – Zaufaj mi.

Zatrzymuje się pośrodku sklepu i rozgląda. Jest wielki, ale nie wygląda jak słoń pośród delikatnych mebli, sztalug i farb.

– Jaki mamy plan? Co robimy?

– Po pierwsze daj płaszcz. A potem mam dwie propozycje. Mogę cię nauczyć malować i będziemy to robić razem albo ja namaluję ciebie. Będziesz moim modelem. Jedno i drugie powinno być fajne.

Patrzy na mnie z namysłem i widzę, że naprawdę się zastanawia.

– Marny ze mnie artysta – stwierdza w końcu. – Wątpię, żebyś zdołała mnie czegokolwiek nauczyć. Nie mam talentu.

– Jestem pewna, że bym mogła – zapewniam. – Ale jeśli będziesz się dzięki temu czuł bezpieczniej, chętnie cię namaluję. W trakcie możemy pogadać.

– Nigdy jeszcze nikt mnie nie malował. Mogę wybrać scenerię i pozycję?

Jestem zaskoczona, że mu na tym zależy, ale kiwam głową.

– Oczywiście. Robimy to dla zabawy, namaluję cię tak, żeby ci się podobało.

– Cały się rozpromienia.

– Super! To chcę być nago.

Jestem w szoku. Dostrzegam w jego oczach psotne iskierki. Już widzę, jak łatwo dałam się wprowadzić w pułapkę.

– Wkręciłeś mnie!

Wzrusza niewinnie ramionami i wydaje się bardzo z siebie zadowolony.

– Bardzo mi przykro, mogłaś się wykazać większą czujnością – mówi, ale widzę, że nie jest mu ani trochę przykro. – Ale już się zgodziłaś. Czyli malujesz mnie nago. – Mruży oczy. – A co? Boisz się, że nad sobą nie zapanujesz, gdy doświadczysz mojego oszałamiającego seksapilu?

Porusza wymownie brwiami, a ja chichoczę.

– Postaram się jakoś opamiętać – zapewniam. Ale czuję, że to może być trudne. Nie wierzę, że się w to wpakowałam. Oddycham głęboko i rozglądam się wokoło, żeby uspokoić skołatane nerwy. – Chodźmy lepiej do mojego studia z tyłu. Chyba nie chcesz świecić golizną na ulicę. Chociaż, może i chcesz, w końcu jesteś ekshibicjonistą.

Śmieję się, bo przypomniałam sobie gigantyczne okna, które go nie zrażają do chodzenia nago po domu. Następnie widzę w wyobraźni laskę, która zrobiła mu Jill i to mnie otrzeźwia. Rumienię się.

– Co się stało? Przeszkadza ci to, że jestem świrem?

Nie wiem, jak głęboko mam wryty w pamięć ten obraz. Kręcę powoli głową i mam nadzieję, że ta wizja też zniknie.

– Oczywiście, że nie – podłapuję konwencję. –
Całkiem mi się to podoba.

Zdziwiłam go. Odwracam się na pięcie i prowadzę go na zaplecze, do mojego studia. Wchodzę i wdycham znajomy zapach: farba olejna, akrylowa oraz drewniana podłoga. Odwracam się do Paxa.

– Tutaj udzielam lekcji prywatnych i maluję.

Rozgląda się z podziwem.

– Pięknie. Wyobrażam sobie, jak się tu zatracasz w pracy.

Wskazuje na wiszący na ścianie obraz, przedstawiający kobietę ze spuszczoną głową. To abstrakcja, nie widać szczegółów jej twarzy. Nikt by nie zgadł, że to moja siostra. Ma spuszczoną głowę, bo płacze na pogrzebie rodziców. Ta chwila zapisała mi się w sercu i wiedziałam, że muszę ją namalować. Obraz wisi tutaj, bo jest zbyt osobisty, żeby pójść na sprzedaż.

– To Madison? – pyta Pax z zainteresowaniem. Zaskoczył mnie.

– Skąd wiesz? – dopytuję. – Przecież tu nic nie widać.

Podchodzi bliżej do obrazu.

– Widzę delikatne rysy, jak jej. Jasne włosy. Poza tym jest w tym coś bardzo osobistego, przejmującego. Stwierdziłem, że to musi być ona. Piękne.

– Dziękuję – mruczę.

Przesuwa palcem po dolnej krawędzi ramy i nadal się przygląda.

– Ona płacze, prawda? – zgaduje. Kiwam głową.

– Cierpiałas w życiu, wiem o tym. I przysięgam ci na wszystko, co dla mnie ważne, że postaram się cię nie skrzywdzić.

Wpatruję się w niego i wkładam fartuch roboczy.

– Na wszystko, co dla ciebie ważne? – Chce zażartować, żeby przegonić ten poważny ton. Nie jestem w nastroju na taką głębię. – Czyli na co konkretnie? Na jacka danielsa? – śmieję się i w końcu on też wybucha śmiechem. Pozwala mi przekierować rozmowę na inne tory. Jestem mu wdzięczna.

– Żebyś wiedziała, mądralo, że jack pomógł mi w wielu trudnych chwilach. I z niego na szczęście nie zamierzam rezygnować. Więc może i tak, może i jest dla mnie ważny.

Uśmiecha się figlarnie i prowokuje, żebym coś na to powiedziała. Unoszę brew.

– Możesz się już rozbierać.

Szczęka mu opada.

– Już?

Śmieję się, taki jest wstrząśnięty.

– To ty chciałeś być nago na portrecie, świrze. Więc musisz tym celu zdjąć ubranie.

Szybko się opamiętuje i posyła mi czarujący uśmieszek.

– Skoro myślisz, że jesteś na to gotowa.

Rozpina spodnie. Opadają mu do kostek. Wychodzi z nich, a potem ściąga majtki. Mam ochotę spojrzeć, ale walczę z sobą. Szcherzy się w uśmiechu.

– Przecież widzę, że chcesz! – kusi i zdejmuje koszulkę. – No dalej. Zerknij. W końcu przecież i tak będziesz musiała.

Patrzę na jego pierś i muszę przełknąć ślinę. Na każdym mięśniu piersiowym ma tatuaż. Na bicepsach też. Na prawym boku widzę wytatuowane jakieś słowa. Wszystkie malunki wyglądają obłudnie na jego doskonale wyrzeźbionym ciele. Boże drogi.

Nie zerkam poniżej pasa, chociaż mnie kusi. Nie dam mu tej satysfakcji, bo widzę, że czeka na to spojrzenie. Uśmiecham się.

– Wszystko w swoim czasie, panie Tate. Podejź tu i stań w świetle.

Oddalam się od sztalug na bezpieczną odległość. Bez wahania idzie tam, gdzie mu wskazuję. Trochę mnie zatyka, bo tył ma równie idealny co przód. Jak to w ogóle możliwe?

– Jak mnie chcesz? – pyta i staje przodem do mnie. Ręce spuścił wzdłuż boków. Pytanie pełne ukrytego sensu.

Już nie wytrzymuję, zerkam poniżej pasa i szybko patrzę z powrotem w oczy. Ubawiłam go. Od razu robię się czerwona.

– Odwróć się trochę i patrz przed siebie, jakby w dal.

– Jak sobie życzysz. – Mięśnie na plecach falują, a ja widzę napis na boku. Czarne, wyraźne litery biegnące po żebrach. Czytam na głos.

– „W hałasie i pędzie idź spokojnie”. – Nie mogę

uwierzyć. – Czy to nie z *Dezyderaty*?

Kiwa głową, a ja trwam w szoku. Chyba to zauważa, bo się śmieje.

– No co? Myślałaś, że jestem analfabetą?

Unosi figlarnie brew, a ja wybucham śmiechem.

– Nie. Po prostu się tego nie spodziewałam. W następnym wersie jest coś o spokoju?

Kiwa głową.

– Tak. „I pamiętaj, jaki spokój jest w ciszy”. To też chciałem wytatuować, ale w końcu stwierdziłem, że nie. Wystarczy, że ja to będę wiedział. Pax znaczy po łacinie pokój, więc wszystko pasuje.

Przysuwam sobie sztalugi i zaczynam malować jego sylwetkę. Decyduję się na styl abstrakcyjny, jak przy obrazie Madison.

– Ja chyba o tym nie wiedziałam. To ciekawe. A tatuaż jest piękny. Dziwię się tylko, że coś takiego wybrałaś. To dużo o tobie mówi.

Przygląda mi się z uwagą.

– Dlaczego? Bo to głębokie? Ja jestem głęboki. Czasem. Ale przez większość czasu robię wszystko, żeby się znieczulić na rzeczywistość, przyznaję ci rację. Choć w tym też jest spokój.

Podnoszę na chwilę wzrok, a potem maluję linię pośladka i uda.

– Może. Ale to nie prawdziwy spokój. Tylko złudzenie, wywołanie zapomnieniem i zaprzeczeniem. To nie prawda.

Znów zerkam i widzę, że się zastanawia.

– Pewnie masz rację – przyznaje cicho. – Ale jednak jakiś tam spokój. Lepszy taki niż żaden.

– Za nisko sobie zawieszasz poprzeczkę. Celuj wyżej.

Maluję teraz pierś, a potem zjeżdżam na żebra.

– Będę – odpowiada poważnie. – Z tobą. – Patrzę mu w oczy, a on odpowiada wzrokiem tak intensywnym, że mam gęsią skórkę. Orzechowe oczy błyszczą, a ja nie mogę już rozsądnie myśleć. – A tak w ogóle – uśmiecha się i znów robi się beztrąsko – znosisz sytuację lepiej, niż myślałem. Konfrontacja z takim ciałem jest zwykle obezwładniająca, ale ty jesteś twardą zawodniczką. Proponuję, żebyśmy podwyższyli stawkę.

Spoglądam na niego niechętnie, a ręka zawisa mi nad płótnem.

– Chyba się boję zapytać. O co teraz chodzi?

Przegląda mi się, wyprostowany i dumny, mimo nagości.

– O to, żebyś była naga, malując mnie. Będę się czuł znacznie swobodniej. Przecież teraz jestem kłębkim nerwów.

Patrzę na niego z niedowierzaniem i otwieram usta. W życiu nie widziałam kogoś tak dalekiego od bycia kłębkim nerwów. Jest dumny ze swojej nagości. A wręcz zawadiacki. Śmieje się z mojej miny.

– Pękasz, Kapturku?

Serce wali mi tak głośno, że niemal je słyszę.

Spogląda na mnie, a w oczach ma wyzwanie. Może

tego pożałuję, ale odkładam pędzel i rozpinam spodnie.

– Dobrze – oznajmiam. – Skoro myślisz, że to zniesiesz, będę malować nago. Chociaż to nie jest typowe zachowanie dla drugiej randki. Przypominam ci tylko, że masz się nie ruszać. Ani jedna część twojego ciała nie może nawet drgnąć. Dasz radę?

Z nieskończoną fascynacją patrzy, jak dżinsy zsuwają mi się na podłogę. Wychodzę z nich i kopię na bok. Potem czarne koronkowe majtki, sweter i stanik. Twarz ma niewzruszoną, jakby to nie robiło na nim wrażenia, ale ruch poniżej pasa mówi mi, jak jest naprawdę.

Parskam.

– I jak tam z tym nieruszaniem się?

Usta mu drgają.

– Jeśli chcesz podnieść temperaturę, Kapturku, musisz uważać, żeby się nie poparzyć.

Wpatruję się w jego orzechowe oczy, w złote płomienie w nich błyskające, i mam niepokojące przecucie, że bardzo, ale to bardzo się poparzę.

Rozdział 13

PAX

Nie pamiętam, kiedy ostatnio mój kutas był taki twardy. Wiem, że Mila też to widzi. Nie mogę przestać na nią patrzeć. Jest piękna.

Spogląda na mnie zza płótna i widzę linię jej piersi. Są kremowobiałe i miękkie, a ja siłą się powstrzymuję, żeby nie przebiec przez pokój i ich nie dotknąć, nie wziąć brodawki do ust i ssać, aż zrobi się twarda jak kamyk. Przy każdym ruchu ramienia widzę też łuk biodra i udo. Jej nogi mają idealną długość, żeby mnie opleść w pasie.

Sztywnieję jeszcze bardziej.

Martwe szczenięta, zakonnice, zimna ryba... Wyobrażam to sobie, ale nie działa. Cholera. Mój kutas aż pulsuje.

Mila się uśmiecha.

– Nie spalisz mnie – mówi pewnie i porusza ręką na płótnie. – Już obiecałeś.

Przełykam ślinę.

– Obiecałem, że spróbuję – koryguję. – Ale nie jestem tak doskonały jak ty.

Znów się uśmiecha, wpatrzona w obraz. Widzę tylko zarys jej boku i smukłą rękę. Chciałbym więcej.

– Nie jestem idealna – mówi. – Daleko mi do ideału.

Przewracam oczami i przestępuję z nogi na nogę. Okazuje się, że trudno się stoi całkiem bez ruchu.

– Jakoś w to wątpię.

Zerka na mnie surowo.

– Miałeś się nie ruszać – przywołuje mnie do porządku. – Chcę cię w jednej pozycji.

– Ciekawe jakiej – zastanawiam się, próbując się nie uśmiechnąć. – Misjonarskiej? Na pieska? Może wypożyczymy z biblioteki *Kamasutrę*?

– Nie trzeba. – Wychodzi zza sztalug i zbliża się do mnie, absolutnie zjawiskowa w swojej nagości. – Mam egzemplarz przy łóżku.

Aż mnie zatyka. Patrzę na nią, a ona się śmieje z mojej miny.

– Żartowałam – oznajmia w końcu. Zatrzymuje się przede mną i porusza moją ręką. Chociaż ledwie mnie dotyka, staję w płomieniach. Nachyla się, bardzo delikatnie, ale napiera piersiami na moją pierś. Są miękkie i ciepłe. Kutas jest twardy jak skała i sterczy pionowo w górę. Powstrzymuję się, żeby jej nie złapać i nie wsadzić języka do gardła.

– Bardzo zabawne – komentuję oschle. Ale potem coś

mi wpada do głowy.

Przebiegły plan.

– Zmieniłem zdanie – oświadczam. Stoi tak blisko, że czuję ciepło bijące od jej nagiego ciała. Brodawki ma właśnie takie, jak sobie wyobrażałem. Różowe i skierowane w górę. Jęczę w duchu. Jest seksowniejsza, niż zezwalają przepisy.

– Tak? – pyta niewinnie i poprawia mi drugą rękę. Kiwam głową.

– Tak. Teraz ja chcę malować.

Dziwi się.

– Przecież mówiłeś, że nie masz talentu.

Uśmiecham się od ucha do ucha. Znów wabię ją w sidła, a ona się daje.

– Myślę, że jednak mam. Tylko potrzebuję odpowiedniego płótna.

Nadal nie rozumie. Psuję pozycję, biorę Milę za rękę i prowadzę z powrotem do jej sztalug i małego stoliczka, na którym trzyma farby. Patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc. Jedną brew ma uniesioną i czeka na wyjaśnienia.

Patrzę jej w oczy, co jest cholernie trudne, bo jest naga. Powinienem dostać jakiś order za opanowanie.

– Wiem, że nie chcesz się śpieszyć i szanuję to. Obiecuję przestać, gdy tylko mi każesz, dobrze? – Jest skołowana, a ja dokonuję cudów, żeby znów nie spojrzeć na jej cycki. – Obiecuję – zapewniam. – Ale przyszło mi do głowy coś fajnego. Tylko że będę

musiał cię dotykać. Nie masz nie przeciwko temu?

Widzę, że się waha, ale kręci głową. Ufa mi. Nie wiem jakim cudem i dlaczego, ale tak jest. Ta świadomość ściska mi bebechy jak w imadle.

– Nie – mówi cicho. – Nie mam nic przeciwko temu.

Uśmiecham się i próbuję trochę rozluźnić mięśnie brzucha.

– To dobrze. Będziesz musiała stać bez ruchu. Artysta musi się skupić.

Przewraca oczami, ale zamiera. Ręce zwisają jej przy doskonale zaokrąglonych biodrach. Z trudem przełykam ślinę. Mój kutas jest tak kurewsko twardy, że mógłby ciąć szkło.

Sięgam ręką i nabieram na palce trochę czerwonej farby. Potem, bez wahania, dotykam jej i rozmazuję smugę karmazynu na jej skórze. Wygląda jak czerwony ptak, taki w kształcie litery V, ze skrzydłami rozpostartymi na jej piersi.

Pod wpływem mojego dotyku wzdycha i patrzy mi w oczy.

– Malowanie palcami – udaje jej się wykrztusić. – Ciekawe. Robiłam to z dziećmiakami w przedszkolu.

– To nie będzie takie coś jak w przedszkolu – protestuję zdecydowane i jadę po jej boku w kierunku biodra. – Gwarantuję ci.

Ma minę, jakby połknęła język, gdy obrysowuję pośladek, a potem zjeżdżam po smukłym udzie. Klękam i całuję tył jej kolana. Ona wciąga powietrze i słyszę, że

się trzęsie.

Uśmiecham się.

Teraz sięgam po czarną farbę i rysuję zygzaki i pętle na plecach i ramionach. Nie mam w głowie żadnego projektu, po prostu nakładam kolor na jej idealną skórę. Dotykanie jej jest przyjemne i nic nie poradzę, że chciałbym ją do siebie przygarnąć.

Sięgam do przodu i przyciągam ją. Kładę dłonie płasko na jej brzuchu i całuję gładkie plecy. Chowam twarz we wgłębieniu nad pupą. Jej kobiecy zapach wypełnia mój nos i wdycham ją głęboko.

– Pax? – szepcze.

– Mam przestać? – pytam cicho, ale cały jestem błaganiem, żeby zaprzeczyła.

– Nie – odpowiada i znów wzdycha. – Lubię czuć twoje ręce.

Mówi cicho, łagodnie i aż zamykam oczy.

Przesuwam dłonie po jej biodrach i czuję pod palcami puls. Zerkam na swoje dzieło i widzę odciski moich palców na jej brzuchu.

– Naznaczyłem cię – zauważam i śmieję się cicho. – Jesteś teraz moja.

I to prawda. Jest moja. Może o tym nie wie, ale tak jest.

Przełyka ślinę. Słyszę w jej ustach ruch wilgotnego języka i marzę, żeby znalazł się w moich. Odwraca się do mnie i patrzy mi prosto w oczy. Przesuwam palce do szyi i przytrzymuję jej brodę, kiedy zbliżam usta.

Powoli.

Niežnośnie powoli.

Usta ma ciepłe i miękkie. Przyciska je mocno do moich, odwraca się i po chwili przylega do mnie cała, naga i miękka. Moje życzenie się spełnia. Jej język wsuwa się do moich ust, szybki i wygłodniały.

Wtapia się we mnie, a ja kładę jej dłonie na plecach i przyciągam ją do siebie. Trzymam mocno.

Jęczy. Mój kutas przywiera do niej, twardy i rozgrzany.

Kurwa.

Tego nie przewidziałem. Będę musiał wziąć bardzo zimny prysznic. Ale to nie koniec. Jeszcze nie. Mam ją tutaj, blisko. Nagą. Nie mogę stracić takiej okazji. Chcę, żeby zdała sobie sprawę, że ona też mnie chce.

Zsuwam rękę, nisko, aż natrafiam na miękką skórę uda. Głaszczę ją tam, ledwie dotykając palcami, aż widzę, że zamknęła oczy. Oddycha szybko, ale łagodnie. Uśmiecha się.

– Podoba ci się? – pytam cicho. – Moja forma sztuki?

Kiwa głową.

– Jesteś bardzo... kreatywny. – Szept jest ledwie słyszalny.

Śmieję się, a potem przesuwam rękę do środka, między uda. Wzdycha, kiedy rozsuwam jej nogi i zaczynam dotykać okrężnymi ruchami jej najwrażliwszego miejsca. Opiera się o mnie, zdaje się na mnie w czasie pieszczoty.

Pochylam głowę i biorę do ust jej różową brodawkę, wsysam głęboko jej miękkość, a potem wypuszczam z ust. Smakuje tak słodko, jak myślałem. Dotykam jej miękkiej skóry, chłonę jej zapach i ciepło, ale palce drugiej ręki wciąż się poruszają.

Jęczy i prawie nie wytrzymuję. Nigdy jeszcze nie chciałem niczego tak bardzo, jak w nią teraz wejść. Z trudem przełykam ślinę. Nie mogę. Ale mogę sprawić, żeby ona chciała mnie tak bardzo, że kiedy to się w końcu stanie, oboje wybuchniemy.

Odchylam ją lekko i wyznaczam ustami kontur jej szyi, a potem znów ją całuję, ostro i głęboko, bo ruchy palców drugiej dłoni przyśpieszyły. Jest cała mokra, a ja zanurzam się w niej, masuję, pocieram i popycham ją nad krawędź przepaści.

Jęczy.

– Chcę cię – mówi bez tchu prosto w moje usta. – Proszę cię. Chcę cię.

Spinam się, bo wiem, że nie mogę się poddać.

– Nie hamuj się już – mówię za to. – Teraz. Chcę poczuć, jak dochodzisz na moich palcach.

Otwiera oczy i patrzy na mnie. W jej oczach widzę zachwyty pełen zawstydzienia, jakby jeszcze nikt tak do niej nie mówił. Później dociera do mnie, że pewnie nie mówił. Wzdycham głęboko i całuję ją. Czuję w ustach jej słodki język. Wsuwam palce i wysuwam, coraz szybciej, mocniej, a ona wzdycha, wygina się w łuk i naciera na mnie.

Wstrzymuję oddech, gdy tak drży. Dochodzi ostro i to jest kurewsko seksowne.

Jest mokra, rozedrgana, więc trzymam ją mocno przed sobą, stabilizuję, aż otworzy oczy.

Oboje jesteśmy wymazani w farbie. Kiedy się lekko odsuwa, żeby na mnie spojrzeć, ma zarumienione policzki i jest trochę zawstydzona. Uśmiecham się.

– I jak ci się podobał mój projekt? Moim zdaniem to dzieło sztuki.

Przewraca oczami i lekko się uśmiecha, a potem się schyla, żeby pozbierać z podłogi rozsypane akcesoria malarskie. Patrzę na jej pupę, która tak idealnie pręży się przede mną.

– Czemu mnie nie zerżnąłeś, kiedy cię prosiłam?

Dźwięk tego słowa w jej słodkich ustach na nowo ożywia mojego kutasa i ona to zauważa. Unosi brwi.

Uśmiecham się.

– Bo jeszcze nie jesteś gotowa. Ale będziesz. A jak już będziesz, oszalejesz.

– Nie wątpię – stwierdza łagodnie i znów się schyla po porzucony fartuch. – Ale to niesprawiedliwe. Ty nic z tego nie miałeś. Źle się z tym czuję.

Patrzę na nią z niedowierzaniem. Serio? Ta chwila będzie siłą napędową moich porannych pryszniców od teraz do nieskończoności.

– Zaufaj mi – zapewniam. Miałem z tego całkiem dużo. Tym się nie przejmuj.

Patrzy z powątpiewaniem.

– Jakoś nie wierzę. Ale mamy większy problem. Jak po czymś takim powinna wyglądać kolejna randka?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Ty jesteś specjalistką od normalnych randek.

Uśmiecha się i rumieni.

– To nie była normalna randka. Informuję cię na wszelki wypadek.

Szczerzę do niej zęby, a ona podnosi ubranie i zwraca się do mnie:

– Chyba powinniśmy wziąć prysznic.

Szczerzę się jeszcze szerzej, a ona znów się rumieni.

– Osobno – dodaje szybko. – Bo nie ręczę za siebie.

Śmieję się i idę za nią, gdy wychodzi ze studia. Znów wpatruję się w jej doskonałą pupę.

– Racja – stwierdzam. – Okazało się, że w takich sytuacjach nie myślisz jasno.

Odwraca się.

– No tak, jasne. Wszystko moja wina!

– To ty wymyśliłaś, żebym malował – przypominam, a ona wybucha śmiechem. Stwierdzam, że jej śmiech jest moim ulubionym dźwiękiem na świecie.

– Racja – przyznaje. – Chociaż to nie było do końca to, co miałam na myśli. – Zerka na mnie zalotnie. – Było lepsze.

Po prysznicu muszę przyznać Mili, że zapomniałem o

chińszczyźnie na wynos.

– Przepraszam – kajam się z uśmiechem. – Ale umiem się skupiać tylko na jednym zadaniu naraz. Tym razem koncentrowałem się, żeby się nie spóźnić.

Uśmiecha się i sięga po telefon.

– Nie szkodzi, mam ich w pamięci telefonu.

Gdy jedzenie przyjeżdża, uczę ją używać pałeczek i śmieję się z nieudanych prób. W końcu sięga po widelec, ale jak niezadowolone dziecko wydyma dolną wargę.

– Nauczę się – oświadcza. – Kiedyś...

Uśmiecham się, gadamy, a potem namawia mnie na obejrzenie dziewczynskiego filmu. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale zaczynam dochodzić do wniosku, że niczego jej nie odmówię.

Film kończy się dobrze po północy. Leżymy przytuleni na kanapie, nakryci kocami.

– Nie chce mi się wstawać – mówi, kiedy ruszają napisy końcowe. – Chcę tu z tobą zostać. Możemy tak spać?

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby prosiła o coś niemożliwego do spełnienia. Obejmuję ją, a ona leży plecami do mnie, ciasno przytulona. Uśmiecham się do niej.

– Śpij, Kapturku. Będę tu rano.

Uśmiecha się i zamyka oczy. Ja też zasypiam. Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze.

A potem mam sen.

Znowu o mamie i chociaż śnię, zastanawiam się, o co w tym, kurwa, chodzi. Rzadko o niej myślę, bo to zbyt bolesne. Ale mimo to znowu o niej śnię. I nie mogę się zmusić do przebudzenia.

Jestem w jakimś ciemnym miejscu. Boję się. Nie wiem dlaczego i nic nie widzę, ale słyszę głos mamy. Błaga o coś. Potem pada moje imię.

Próbuję otworzyć oczy i obudzić się, żeby nie słuchać już jej głosu, ale nie mogę. Gdzieś w środku czuję dotkliwą panikę, ale nie wiem dlaczego.

– Nie on! – krzyczy mama. Wiem, że to ona, bo nigdy nie zapomnę brzmienia jej głosu. – Nie on!

Później widzę jej wyciągające się ręce, sięga do mnie. Łapie mnie, chociaż nic nie widzę. Wszędzie jest ciemno, a ja nigdy w życiu nie bałem się tak jak teraz. Płacę, ona płacze i nagle jej ramiona zmieniają się w objęcia Mili.

Podnoszę wzrok i znów mogę widzieć. Milla skąpana w świetle, w tysiącu lśniących promieni. Uśmiecha się do mnie.

– Pax – szepcze. – Jestem tu. Wszystko jest dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Otwieram oczy, budzę się i okazuje się, że Milla naprawdę tu jest i naprawdę do mnie szepcze. – Już dobrze – ćwierka i odgarnia mi włosy z czoła. Zdaję sobie sprawę, że jestem cały mokry. – Wszystko jest dobrze.

Patrzę na nią, na jej czułą twarz, i skręca mnie w brzuchu. Śniło mi się, że moja mama zamieniła się w

Milę. Jestem ostro pojebany.

– Wiesz, skarbie – chrypię, kiedy wreszcie odzyskuję głos, a ścisk w bebeczach rozluźnia się na tyle, że znów mogę mówić. – Chyba jednak wezmę od ciebie namiary na tego terapeutę.

Rozdział 14

Nie śpię i patrzę na mój namalowany przez Milę portret. Dokończyła kilka dni po tym, jak zaczęła, a ja wziąłem go do domu, żeby powiesić przy łóżku. Jest piękny, ale zbyt osobisty, żeby go wieszać w salonie. Chociaż to abstrakcja, można się dopatrzeć, że jestem nagi.

Moje ciało, w brązach i złocie, składa się z wyrzeźbionych mięśni, mocno napiętych. Tatuaze są jak gejzery koloru, raczej symboliczne niż realistyczne. Mam zamknięte oczy i przechyloną głowę, jakbym myślał. Jest niesamowity, a ja jestem niesamowicie wzruszony, że go dokończyła. Nikt jeszcze nigdy nie zrobił dla mnie czegoś takiego.

Przyglądam się Namalowanemu Mnie i zastanawiam się, o czym myśli.

Bo prawdziwy ja myśli, że jest kurewsko głodny.

Wstaję z łóżka i idę do kuchni po kawałek zimnej pizzy z wczoraj. Zamówiliśmy ją z Milą po trzeciej oficjalnej randce. Tym razem oglądaliśmy film u mnie i to ja wybierałem. Żadnych komedii romantycznych.

Tylko strzały i krew. Męski film. Mila oglądała dzielnie, bębniąc pięściami w pierś i drapiąc się po wyimaginowanych jajach.

Śmieję się na samo wspomnienie, kiedy dzwoni telefon. Mam pełne usta pizzy, ale odbieram, bo widzę, że to Mila.

– Cześć – mówi trochę jakby bez tchu. Wyobrażam sobie, że oddycha mi tak do ucha, z nogami zaplecionymi wokół mojego pasa. Od razu mi staje.

– Cześć – odpowiadam i poprawiam spodnie, które robią się niewygodne. – Dzień dobry.

Uśmiecham się do telefonu, nic na to nie poradzę. Przy tej dziewczynie szczerzę się jak kretyn.

– Dzwonię, żeby ci przypomnieć, że idziesz dzisiaj do terapeuty – mówi. – Na wypadek, gdybyś zapomniał. Albo zmienił zdanie.

Milknie.

Kurwa.

Ma rację. Nie chcę iść. Ale pójdę, z dwóch powodów. Po pierwsze: chcę przestać śnić o mojej matce, bo dostaję od tego pierdolca. Po drugie: myślę, że Mila się dzięki temu uspokoi. Wiem, że się stresuje naszymi spotkaniami. Myśli, że złamię jej serce. Prawdę mówiąc, ja też się boję, że niechcący to zrobię. Więc pójdę na terapię. Dam radę. Nie jestem pizdą.

– Jezu – jęczę i przewracam oczami. – Trochę wiary! Nie zapomniałem. Jestem już wyprysznicowany i w ogóle.

Śmieje się.

– Tak? A nie stoisz przypadkiem w kuchni, w bieliźnie, rozczochrany, i nie jesz wczorajszej pizzy?

Patrzę w dół i widzę Milę na podjeździe. Podnosi białą papierową torbę i szczyrzy zęby.

– Przyniosłam ci pączki – mówi do telefonu. – Otwórz mi.

Kręcę głową, ale tak naprawdę się cieszę, że przyszła. Boże, jestem zachwycony! Rozczarowała mnie, że wczoraj nie chciała zostać na noc, przytulona do mnie na kanapie. Bała się, że nie wytrzyma i sprzeniewierzy się swojemu założeniu powolnego rozwoju akcji.

Nie wiem, może jestem pizdą, ale jest moją pierwszą myślą codziennie po obudzeniu i ostatnią przed zaśnięciem. Chociaż oczywiście nikomu bym się do tego nie przyznał.

Staram się nie przewrócić i nie skreścić karku, gdy lecę do drzwi, żeby jej otworzyć. Zanim Mila zdąży się odezwać, chwytam ją i mocno całuję, przyciskając do piersi. Słyszę, jak gniciemy między sobą papierową torebkę. Podnosi ręce, obejmuje mnie i przytula mocniej. Pachnie kwiatami i wanilią. I zimą.

– Tęskniłam za tobą – mruczy mi w szyję. Ma zimną skórę od stania na dworze. Wciągam ją do środka.

– Widziałaś mnie wczoraj wieczorem – przypominam i skubię ją w wargę. Uśmiecha się, a ja dodaję: – Ale ja też za tobą tęskniłem.

Bo naprawdę tęskniłem.

I to mnie naprawdę przeraża.

Ale oczywiście tego też nie mówię. Ciągnę ją do kuchni, gdzie siadamy na wysokich krzesłach i jemy zgniecione pączki.

– Powinny smakować tak samo – wzrusza ramionami.
– Chociaż je zmiążdżyłeś.

Bierze duży kęs tego z posypką czekoladową, a potem oblizuje palce, od czego ściska mnie w brzuchu.

– O której mam wizytę? – Odwracam wzrok od jej języka i zerkam na zegar.

– Za pół godziny. U doktora Nate’a Tylera. Wysłałam ci adres esemesem.

Kiwam głową.

– Tak, mam. Nie martw się. Tylko się umyję i już jadę.

– Przyjechałam życzyć ci powodzenia. Jestem z ciebie dumna, że się zdecydowałeś. Wiem, że nie lubisz gadać o sobie.

– Święta racja – mruczę i obracam się razem z krzesłem. Całuję ją w policzek. – Muszę się zbierać. Idziesz ze mną pod prysznic?

Uśmiecha się szelmowsko.

– Poszłabym, gdyby było dwa miesiące później. Ale ponieważ nie jest... – Wzrusza ramionami. – To nie.

Unoszę brwi.

– Czyli możesz być naga na moich oczach, ale nie możesz wziąć ze mną prysznic?

Obrywam lekko w ramię, a ona przewraca oczami.

– Zaczynasz rozumieć.

Uśmiecham się.

– Super. Wciąż ogarniam te wszystkie randkowe zasady. Są skomplikowane.

Mila też się uśmiecha, szeroko i pięknie.

– To nie takie trudne. Lubię popatrzeć, nawet, jeśli jeszcze nie jestem gotowa, żeby dotknąć. Ale cierpliwość popłaca.

Kręcę głową i ruszam do łazienki.

– Mam nadzieję! – wołam przez ramię. – Bo mam już przemęczoną rękę.

Jeszcze pod prysznicem słyszę jej śmiech. A to nie do końca był żart. Naprawdę mam już nadwerężone ramię. Ale to mnie oczywiście nie powstrzyma od używania go...

– Opowiedz o narkotykach – mówi doktor Tyler. Używa powolnego, monotonnego głosu, który zawsze mi się kojarzył z psychiatrami. Tak, jakby myśleli, że mówiąc w ten sposób, powstrzymają psychopatów przed atakiem szału.

Przenoszę ciężar ciała z jednego półdupka na drugi. Siedzę na kurewsko brzydkim fotelu-uszaku, niebieskim. Doktor to starszy mężczyzna, siwiejących na skroniach. Na nosie ma okulary do czytania, chociaż wcale nie czyta. Wzdycham. Tak naprawdę wcale nie chcę tu być. Czuję się jak owad leżący na szkiełku pod mikroskopem, a ciemne ściany gabinetu zdają się na

mnie walić.

– Narkotyki to nie problem – przypominam mu. – Problemem są moje sny. Są pojebane. Przepraszam – poprawiam się szybko. – Niezrozumiałe.

Uśmiecha się lekko i notuje coś na kartce.

– Dlaczego uważasz je za niezrozumiałe? – sonduje, wpatrując się we mnie ciemnymi oczami. – Miałeś je już wcześniej?

Kręcę głową.

– To sny o mojej matce. Nie śniła mi się od dzieciństwa. Odkąd jestem dorosły, nie myślę o niej. Przyznaję, że staram się unikać bolesnych tematów.

Kiwa głową i znów coś notuje.

– To nie takie dziwne – informuje mnie. – Unik jest częścią ludzkiej natury. Ale wróćmy do snów.

No więc wracam. Mówię mu, że moja matka błaga. A ja się boję, ale nic nie widzę, a potem ona zmienia się w Milę.

Lekarz znów mi się przygląda.

– Wygląda na to, że na jakiś poziomie utożsamiasz Milę ze swoją matką. Czy są w jakiś sposób podobne?

Zastanawiam się. Chociaż nie widziałem go od bardzo dawna, wciąż pamiętam uśmiech mamy.

– Mama miała bardzo ładny uśmiech. Bardzo ciepły, taki jak Mili. Może o to chodzi.

Doktor notuje.

– Coś jeszcze?

– Nie wiem... – zamyślam się. – Mila jest łagodna i

pełna wdzięku. Myślę, że mama też taka była. Tańczyła w balecie, zakończyła karierę, gdy zaszła ze mną w ciążę. Mila też jest artystką. Może mają podobną wrażliwość.

Gryzmoli na kartce.

– Czy mama cię całkowicie akceptowała? Kochała cię bezwarunkowo?

Patrzę na niego.

– Miałem siedem lat, kiedy umarła. Ale myślę, że tak, że tak było.

– Czy Mila akceptuje cię w podobnym stopniu? – pyta cicho, a koniuszek długopisu zawisa nad kartką. Chyba na coś trafił.

– Tak – przyznaję. – Z jakiegoś powodu jest wobec mnie bardzo wyrozumiała.

– Jak twoja matka – precyzuje.

– Tak – znów się zgadzam, a serce mi wali jak wściekłe, choć nie rozumiem dlaczego. Pocał mi się też rękę. Wycieram je o dzinsy.

– Opowiedz o narkotykach – mówi znów, ale na mnie nie patrzy. Wzdycham.

– Nie odpuści pan tego tematu, prawda?

Uśmiecha się i kręci głową.

– Ludzie zażywają narkotyki z różnych powodów. Chciałbym poznać twój.

Staram się nie okazywać zniecierpliwienia. Chciałabym dociec przyczyn problemu, z którym przyszedłem, a nie grzebać się w wątkach pobocznych.

Ale robię co w mojej mocy, żeby go zadowolić.

– Zacząłem brać proszki nasenne, jak byłem mały, po jej śmierci. Przepisał mi je terapeuta, bo jak zasypiałem, miałem koszmary. Mijały lata i coraz bardziej mi się podobało, że wystarczy coś połknąć, żeby się wymiksować z rzeczywistości. Zacząłem używać różnych środków i przestałem dopiero niedawno.

Przestaje notować i patrzy na mnie.

– Przestałeś? Dlaczego?

Kiwam głową.

– W zeszłym tygodniu pozbyłem się wszystkich. Teraz akurat nie zależy mi na obojętności. Wszystkim powtarzam, że nie jestem uzależniony. To nic takiego.

Odkłada długopis i przygląda mi się.

– Nie uważasz zażywania narkotyków za istotną sprawę?

Wzdycham i bawię się palcami.

– Oczywiście, wiem, że to nielegalne i niezdrowe, ale chodzi mi o to, że nigdy się nie uzależniłem. Odkąd wszystko spuściłem w kiblu, ani razu nie miałem na to ochoty.

Kiwa głową.

– Niektórzy ludzie są bardziej skłonni do nałogów niż inni. Pewnie trudniej się uzależniasz i masz w związku z tym wielkie szczęście. Ale chciałbym się dowiedzieć, czemu tak długo je brałeś, skoro nie byłeś uzależniony. Powiedziałeś przed chwilą, że wiesz, że to niezdrowe. Więc po co faszerować ciało czymś tak niekorzystnym,

skoro mogłeś w każdej chwili przestać?

Gapię się w podłogę, we wzorzysty dywan pod stopami.

– Nie wiem. Pewnie dlatego, żeby się znieczulić. Łatwiej wyprzeć problem, niż się z nim mierzyć. Moja dziecięca rzeczywistość nie była fajna. Mama umarła, ojciec równie dobrze też mógł nie żyć, bo po jej śmierci całkiem się oddalił.

Kiwa głową.

– Jesteś chyba na niego zły za to, jak się zachował.

Zastanawiam się.

– Tak, jestem zły. Miał małe dziecko, a mało, że prawie mnie porzucił i cały czas spędzał w pracy, to jeszcze wyrwał mnie z korzeniami z mojego życia i przywiózł na drugi koniec kraju do miejsca, w którym nikogo nie znałem. Nie mógł się zachować gorzej. Potrzebowałem normalności. Chciałem być wśród ludzi, którzy mnie znali i kochali. A zamiast tego dostałem pustkę.

– Więc zacząłeś sobie radzić dzięki lekom?

– Chyba tak. Chociaż to brzmi jak wykręt.

Spogląda na mnie.

– To nie wykręt. Każdy ma swój powód. Ten jest twój?

– Chyba tak – przyznaję. I czuję, że tym samym dokonałem czegoś wielkiego. Chociaż nie wiem dlaczego. Ale kiedy wypowiadam to na głos, czuje się w jakiś sposób uwolniony. – Brałem narkotyki, żeby sobie

poradzić z pustką, którą odczuwam.

Jeżu, chyba jednak jestem miękką pizdą.

Doktor Tyler wygląda na zainteresowanego.

– Pomagały? Wypełniały pustkę?

Wpatruję się w swoje dłonie.

– Tak.

– A kiedy przestawały działać, pustka powracała?

– Tak – odpowiadam cicho.

– Ciągle ją odczuwasz? – Teraz jest już bardzo ciekawy i wpatruje się we mnie bacznie. Ja odwracam wzrok, patrzę na ścianę, na zegar.

– Tak – potwierdzam krótko.

Zapada cisza, słychać tylko skrobanie jego długopisu po kartce. Mam ochotę mu go wyrwać i złamać na pół. Ale oczywiście tego nie zrobię. To by było szaleństwo, a nie mam żadnego powodu. Nie wiem, skąd ta nagła wściekłość. Napiera palcami na kolano.

– Nie podoba ci się rozmowa ze mną, prawda? – zauważa, nawet nie podnosząc wzroku.

– Nie.

– Więc czemu przyszedłeś?

Zastanawiam się, żeby zaproponować mu w miarę uprzejmą odpowiedź.

– Bo Mila mnie poprosiła. I dlatego, że mam dość tych snów.

Patrzy na mnie przyjaźnie.

– Co najbardziej cię w nich niepokoi? To musi być coś znaczącego, skoro zdecydowałeś się na wizytę u

mnie.

Nerwowo podryguję nogą.

– Nie wiem. Chyba chodzi o to, że moja mama czegoś chce, a ja nie jestem w stanie jej tego dać. A to się wydaje ważne. Poza tym nie mogę znieść, że zamienia się w Milę.

Uśmiecha się.

– Tym akurat bym się nie przejmował. Wiele osób utożsamia z sobą w snach różnych ludzi i zwykle nie ma to większego znaczenia, w każdym razie dla tej osoby. Symbolika tego utożsamienia leży gdzie indziej. Gdybym miał na tym etapie strzelać, choć jest jeszcze bardzo wcześnie, ale gdybym musiał, powiedziałbym, że twoja matka zmienia się w Milę dlatego, że gdzieś w głębi bardzo się boisz, że Mila też cię zostawi, tak jak mama.

Jestem w takim szoku, że aż mnie zatyka. O tym nie pomyślałem.

– Ale mama mnie nie zostawiła – zdobywam się na polemikę. – Ona umarła. To co innego.

– Prawda. Ale dla siedmioletniego chłopca, który stracił wszystko, co znał, nie ma wielkiej różnicy. Ta koncepcja powstała wówczas, kiedy miałeś siedem lat. W twojej głowie. Że cię zostawiła. I nic dziwnego, że się o to wściekałeś. To jeden z naturalnych etapów żałoby. Ale ponieważ ty wyparłeś rozpacz, nigdy nie przeszedłeś przez wszystkie jej stadia. Możliwe, że wciąż tkwisz na etapie gniewu.

– Kurwa – syczę.

– W rzeczy samej – przyznaje doktor. – Przed tobą sporo pracy.

Gryzmoli coś jeszcze, a ja wachluję się kołnierzykiem, bo w gabinecie robi się coraz goręcej. Wkrótce, na szczęście, mija moja godzina.

Już mam wychodzić, gdy doktor wypisuje coś na niedużej kartce i mi podaje.

– To recepta na xanax. Gdybyś miał ochotę coś znowu zażyć, żeby się pozbyć stresu albo gniewu, weź to.

– Powiedziałem panu. Nie potrzebuję. – Próbuję mu zwrócić receptę, ale podnosi rękę.

– Weź – namawia. – Na wszelki wypadek.

Wywracam oczami.

– Dobra, co za różnica. – Zwijam ją i wciskam do portfela. – Do zobaczenia za tydzień.

Rozdział 15

MILA

Czemu na litość boską zgodziłam się pomagać w The Hill w godzinach szczytu? Po pierwsze: nie ma godzin szczytu, nie o tej porze roku. A po drugie, powinnam była przewidzieć, że Maddy chce się ze mną widzieć tylko po to, żeby mi palnąć kazanie.

– Nie podoba mi się to – oznajmia i oczywiście ma na myśli Paxa. I to, że wczoraj znów się widzieliśmy. – Nie jest dla ciebie dobry. Złamie ci serce, a ja będę musiała zbierać kawałki.

Wpatruję się w nią.

– Już to przerabialiśmy. Wzięłam pod uwagę twoje zdanie. Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze?

Stoję przed jej biurkiem z rękami opartymi na biodrach i zdecydowaną – mam nadzieję – miną.

Madison sznuruje usta, a potem kręci głową.

– Nie.

– Dobrze. Skończę to, co zaczęłam, a potem idę.

– Przyjdiesz pomóc dziś wieczorem?

– Nie. Nie ustaliliśmy tego wcześniej, mam już plany.
Łypie na mnie wściekle.

– Randka z twoim ulubionym dilerem?

Patrzę z równą wściekłością.

– Nie jest dilerem, a moje plany to nie twoja sprawa.

– Jesteś moją siostrą, więc sprawa jest moja –
odparowuje ze złością.

Nie odpowiadam, idę do jadalni. Tony gwizdże przy
barze. Podchodzę i siadam na stołku.

Uśmiecham się do jego piosenki.

– Zawsze jesteś szczęśliwy, Tony. Jak ty to robisz?

Zerka na mnie znad limonek, które właśnie kroi.

– A czemu miałbym nie być szczęśliwy? Mam
wszystko, czego mi trzeba, a w domu śliczną żonkę. To
dobre życie.

Kiwam głową.

– Racja. Najlepsze są proste rzeczy, prawda?

Kiwa głową i przygląda mi się uważnie. Nóż zamiera
w połowie owocu.

– Skąd ta smutna mina, *mia bella*? Mam komuś
połamać nogi?

Patrzę zdziwiona, a on wybucha śmiechem.

– Chodzi ci o Paxa? – dopytuję. – Maddy próbowała
cię przeciągnąć na swoją stronę?

– Chmurzy się.

– Jestem po twojej stronie. I po jej stronie. Połamię
nogi każdemu, kto zrobi którejś z was przykrość.

Koniec. Nieważne, czy to ten dzieciak, czy ktoś inny.

Patrzę na niego i widzę że mówi poważnie. Wyobrażam sobie wielkiego, nachmurzonego Tony'ego wywijającego batem i aż się wzdrygam.

– A co myślisz o tym „dzieciaku”? Rozmawiałeś z nim niedawno. Jakie zrobił na tobie wrażenie?

Zastanawia się, a potem się opiera na barze.

– Trudno powiedzieć. Wydawał się miły, uprzejmy. Dobrze wychowany. To już coś mówi. I dzinsy nie wisały mu dupie jak innym gnojkom w jego wieku. Ale swoje przeżył. Już o tym wiesz. Zawsze cię ciągnęło do istot, które wymagają ratunku. Pamiętasz tego starego bezpieczeństwa psa, którego tu przyprowadziłaś, jak byłaś mała? – Patrzy na mnie i nie zmieniając tonu głosu, dodaje: – A tak w ogóle, dzieciak przyszedł.

– Co? – Odwracam się i widzę, że Pax wchodzi do restauracji. Nie wiem, skąd wiedział, że tu jestem.

Tony się uśmiecha, nuci dalej i zaczyna wycierać drewniany bar, a ja idę do Paxa.

– Cześć – mówię i staję przed nim. Wpatruję się w jego twarz i usiłuję wywnioskować, w jakim jest nastroju. Jak poszła sesja? Nie jestem pewna, czy powinnam pytać.

– Cześć – odpowiada, potem się uśmiecha. Jest zmęczony, ale poza tym chyba wszystko w porządku.

– Przyszedłeś na lunch? – pytam.

Kręci głową.

– Nie. Przyszedłem po ciebie.

– Po mnie? – Pytanie wychodzi mi trochę piskliwie i Pax się uśmiecha.

– Tak, po ciebie. Chcę na chwilę zniknąć z miasta, żeby przewietrzyć głowę. Wchodzisz w to?

Wpatruję się w jego orzechowe oczy. Jest stropiony i zmęczony.

– Potrzebujesz towarzystwa?

– Twojego tak.

Mojego tak. Ściska mnie w gardle.

Kiwam głową i wiem, że w tej chwili zgodziłabym się absolutnie na wszystko.

– A gdzie chcesz jechać? – pytam, chociaż to nie ma żadnego znaczenia.

– Jezioro jeszcze nie zaczęło zamarzać. Pomyślałem, że możemy wziąć moją łódkę i przepłynąć się ostatni raz w sezonie.

Kiwam głową i bez namysłu ruszam do drzwi.

Łapie mnie za łokieć.

– Może weźmiesz kurtkę?

Śmieje się i ja też muszę się roześmiać. Kretynka ze mnie. Na zewnątrz jest zimno, a na jeziorze jeszcze zimniej. Idę na zaplecze i puszczam mimo uszu utyskiwania Maddy na nieskończoną pracę.

Wracam do Paxa i biorę go pod rękę. Nie mogę nie zauważyć, jak doskonale moje palce pasują do zgięcia jego łokcia.

Zostawiam samochód pod The Hill i autem Paxa jedziemy do przystani.

Obwąchuję wnętrze.

– Smród wymiocin wywietrzał. – Pachnie skórą i sosnowym odświeżaczem powietrza. Pax kręci głową.

– Fajnie, że o tym mówisz. Nigdy mi tego nie zapomnisz, co?

– Raczej nie – odpowiadam w zamyśleniu i patrzę przez okno. Łyse zimowe drzewa rozmywają się za szybą, a The Hill zostaje daleko za nami.

Po kilku minutach jesteśmy przy przystani. Deptak o tej porze roku jest całkiem opustoszały. Większość łodzi została zabrana na zimę. Miejsce wygląda na bezludne.

Pax otwiera bagażnik i grzebie tam chwilę, a potem wyciąga ciężką niebieską parkę.

– Na wodzie będzie zimno – mówi, jakbym nie wiedziała. – Owiń się tym.

Pomaga mi ją włożyć, a gdy już wyglądam jak bałwan z koszmaru, idziemy w stronę dużej łodzi motorowej.

Musiała kosztować tysiące tysięcy dolarów, ale nic nie mówię. Pax pomaga mi wsiąść. Siadam na podłodze, tam jestem bardziej osłonięta od wiatru, a on włącza silnik. Ryk przerywa ciszę, a my oddalamy się od brzegu.

Wkrótce twarz Paxa jest cała czerwona od wiatru. Zima jest póki co łagodna, ale na jeziorze panują arktyczne temperatury.

– Lepiej nie wypływajmy za daleko – krzyczę do niego. – Zamarzniesz na śmierć!

Przewraca oczami i dalej pruje przed siebie, mija wielkie boje wyznaczające wejście do zatoki. Kiedy jesteśmy już na otwartych wodach, wreszcie gasi silnik i zapada wielka cisza.

Siada obok mnie na podłodze.

– Miałaś rację. – Przytula się. – Zimno jak skurwysyn.

Śmieję się, a on wtyka mi ręce do kieszeni, żeby się rozgrzać.

– Chyba nam odbiło, żeby dzisiaj wypływać. Zamarzniemy na śmierć.

Uśmiecha się szeroko.

– Mnie odbiło na punkcie czego innego.

Jestem przemarznięta, ale na dźwięk tych słów rozgrzewa mi się serce. Czuję się jak mięczak. Wielki, przemarznięty mięczak.

Przytulał się do niego i rozkoszuję wyobrażeniem, że jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie. Kołyszemy się na falach. Zimne powietrze kłuje mnie w płuca, ale i tak oddycham głęboko i cieszę się jego rzeźkością.

– Często tu przyływasz? – pytam.

Kiwa głową.

– Zawsze jak mam ochotę uciec od świata. Nikt mnie tu nie znajdzie. Chociaż umówmy się, że prawie nikt nie szuka.

Śmieję się i wtulam w niego, a on mnie obejmuje.

– Powinam była wziąć z restauracji gorącą czekoladę – jęczę i próbuję rozgrzać czerwone palce. – Wydaje mi się, że odpadną mi ręce alb palce u nóg.

Pax wywraca oczami.

– Ktoś tu jest w nastroju melodramatycznym?

– Mów za siebie. Ja jestem przywiązana do swoich palców. – Mocniej go ściskam za ramię, a potem na niego patrzę.

– Jak było dzisiaj u terapeuty? Dobrze poszło?

Zamiera i zaciska szczęki. Przyglądam mu się i zastanawiam, jak wybrnąć z tej delikatniej sytuacji.

Nadal nic nie mówi, więc ja się odzywam.

– Pójdiesz tam jeszcze?

Wzdycha.

– Sam nie wiem. Prawdę mówiąc, nie widzę sensu. On się skupia na narkotykach, a ja chcę się zająć snami. To trochę stresujące, jak człowiekowi się ciągle śni zmarła matka.

– Może on uważa, że te sprawy się jakoś łączą? – sugeruję beztrąsko, ale tak naprawdę umieram z ciekawości, co mógł powiedzieć doktor.

– Wątpię – mówi Pax. – Jedyna korelacja, jaką zdołał wysnuć, to między tobą a moją mamą.

To mnie szokuje. Gapię się na niego

– Co? Porównał mnie do twojej mamy?!

Z jakiegoś powodu mnie to przeraża. Nie mam ochoty być porównywana z jego mamą. Kręci głową.

– Nie wiem. Ma dziwne pomysły.

– Ale przecież te sny zaczęły się dopiero, jak mnie poznałeś? – pytam ostrożnie, ale przecież znam odpowiedź.

– No tak. Ale to nic nie znaczy.

– Dobrze. – Tutaj, pod warstwą włókna szklanego, mój głos jest stłumiony. Pax mnie do siebie przyciąga.

– Nie przejmuj się. To ja jestem pojebany, nie ty. Uwierz mi, nie traktuję cię jak matki, jeśli się tym przejęłaś.

Uśmiecham się, bo czuję ulgę, a on się śmieje.

– Naprawdę się tym martwiłaś? Może jestem walnięty, ale nie aż tak!

Odprężam się i znów opieram o niego, a on rozciera mi dłonie, żeby je rozgrzać. Widzę nasze oddechy. Białe chmurki ulatujące w powietrzu, gdy rozmawiamy.

Przez co najmniej godzinę gadamy o pierdołach: o liceum, rodzinie, zwierzętach. On się śmieje, bo przez jakiś czas byłam cheerleaderką. Potem ja się śmieję, bo on ma wszystkie części *Gwiezdnych wojen*.

– No co? – dopytuje urażony. – To dobre filmy!

Udaję, że moje stopy nie zmieniły się w bryły lodu. Oraz że nie słyszę jego telefonu. Esemes przychodzi co kilka minut od co najmniej godziny. Zerknął na wyświetlacz raz, ale potem schował komórkę do tylnej kieszeni spodni i więcej nie wyjął.

– Nie chcesz sprawdzić? – pytam, gdy znów słyszę bzyczenie. – Ten ktoś jest chyba bardzo zdeterminowany?

Kręci głową, jest zirytowany.

– Nie. Nie ma się czym przejmować.

Umieram z ciekawości, ale nie dociekam. Widocznie

nie chce o tym mówić. Ale zdaję sobie sprawę, że kiedy on się tak zachowuje, staje się tajemniczy i zamknięty w sobie, ja się robię zdenerwowana. O czym jeszcze nie wiem?

Chyba zapadła cisza, bo po jakimś czasie Pax trąca mnie w nogę.

– Czemu milczysz, coś się stało?

Naprawdę chcę powiedzieć, że nie, że się nie zdenerwowałam, ale nie zamierzam kłamać. Z kłamstwa nigdy nie wychodzi nic dobrego, a nasza sytuacja już i tak jest trudna.

– Stresuję się, kiedy widzę, że coś ukrywasz – wyznaję w końcu z ociąganiem. – Nie chcę myśleć nic złego na twój temat, ale kiedy nie wiem, co się dzieje...

– Od razu zakładasz najgorsze? – przerywa i mruży oczy. – Automatycznie przyjmujesz, że coś ukrywam, skoro nie chcę o tym mówić? Nie sądzisz, że to trochę nieuczciwe?

Jest wściekły, widzę to, bo zaciska zęby. Zauważyłam już, że zawsze to robi, gdy jest zły. Drga mu mięsień na policzku. Przełykam ślinę.

– Nie chcę cię osądzać – przekonuję delikatnie. – Chodzi tylko o to, że nasza znajomość zaczęła się niezręcznie i zależy mi na zbudowaniu zaufania. Jestem trochę spięta, czuję się tu niepewnie.

Gwałtownie wydziera mi rękę spod pleców i wstaje. Łódź się kołysze, desperacko chwytam się burty.

– Jeśli nie chcesz tu ze mną być – oznajmia zimno –

po prostu powiedz. Skoro nie ufasz mi wystarczająco, mów od razu. Staram się dla ciebie zmienić, ale nie będę tracił czasu, jeśli ty i tak nie umiesz przeboleć mojej przeszłości.

Jestem zmartwiała. Nie z zimna, tylko pod wpływem jego słów, jego wściekłej miny. Ma w sobie gotowość do zostawienia mnie, jakbym nie była warta choćby rozmowy. To wystarczy, żeby zabrakło mi tchu.

– I już? Koniec? – Nie mogę w to uwierzyć. – Nie powiedziałam, że ci nie ufam. Ale twój telefon urywa się od godziny, a ty nie chcesz z tym nic zrobić ani powiedzieć mi kto to. Twoja przeszłość nie jest wcale tak odległa, więc musisz zrozumieć, że czuję się trochę niepewnie. I nie zmieniam się dla mnie. Powinieneś się zmienić dla siebie.

Wpatruje się we mnie, ale oczy ma zimne, jak za pierwszym razem. Nie ma w nich ani śladu ciepła i aż się wzdrygam. Nie mogę znieść tej miny i tej rozmowy. Nie mam pojęcia, jakim cudem to się tak szybko popsuło.

– Nie złość się – proszę. – Chciałam to z tobą przegadać. Tak robią ludzie, jak są w związkach.

– Atakują się wzajemnie? – pyta podniesionym głosem. – Bo ja się czuję przez ciebie atakowany. Nie wiesz, kto do mnie pisze, więc się niepokoisz. I nagle twój niepokój robi się moim problemem!

Wściekł się nie na żarty. Zaciska dłonie tak mocno, że bieleją mu kostki palców. Przełykam ślinę i zastanawiam

się, jak załagodzić sytuację. Nie znoszę kłótni, ale jeszcze bardziej mnie dobija, że mnie nie zrozumiał.

– Nie atakuję cię – zaczynam. – Byłam tylko ciekawa, kto chce się z tobą skontaktować.

Unosi wściekle brwi.

– Serio? Skoro byłaś taka ciekawa, to dlaczego nie poprosiłaś, żebym ci pokazał telefon?

Jestem oszołomiona i zastanawiam się, co mogłabym powiedzieć. Wiatr zwiewa mi włosy na twarz.

– Bo w związku opartym na zaufaniu ludzie nie chcą oglądać swoich telefonów.

– A jednak ty chciałaś mój zobaczyć, co? – dopytuje, a z oczu sypią mu się iskry. – Bo mi nie ufasz.

Wyciąga telefon z kieszeni i podtyka mi pod nos. Pięćdziesiąt siedem nieprzeczytanych wiadomości.

– Proszę bardzo. Oglądaj.

– Jezu – sapię. – Widziałeś, ile ich jest? – Wszystkie z tego samego numeru. – Od kogo to? – pytam niepewnie, bo boję się, że znowu się wydrze. Kręci głową.

– Od Jill. Powiedziałem jej, że nie będę się z nią więcej widywał i finansował jej ćpania, ale zdaje się, że jest zdesperowana i mnie błaga.

– Ale nie masz co jej dać, prawda? – upewniam się ostrożnie. Twierdził, że wszystko wyrzucił.

Patrzy ostro.

– Nie okłamałem cię – wypala. – Skoro powiedziałem, że wyrzuciłem, to wyrzuciłem.

– A widziałeś się z nią od czasu tamtej rozmowy? –

To nienormalne, że ktoś, kto został odrzucony, jest tak namolny. Chyba, że oszalał. – To wariatka?

Znów kręci głową.

– Nie, nie wariatka. Jest zdesperowaną ćpункą, która potrzebuje pomocy. Trzeba było już dawno temu przestać się z nią zadawać, ale miałem wszystko w dupie i się nie przejąłem. I nie, nie widziałem się z nią.

Gdy to mówi, telefon znów się rozświecila. Kolejny esemes. Pięćdziesiąty ósmy. Wywraca oczami, a ja patrzę niepewnie.

– Może jej odpowiedz?

– Nie ma sensu, ona jest w amoku. Nie myśli logicznie, nie zwróci uwagi na to, co powiem. Widziałem ją już w tym stanie. Wpada w histerię i nie ma z nią dyskusji. Pierdolę to. Żadna głupia pipa nie będzie między nami bruździć.

Podnosi rękę i wzdrygam się.

Zamiera i widzę na jego twarzy rozpacz.

– Czy ty myślałaś, że cię uderzę? – pyta, a w jego drżącym głosie słyszę jednak wściekłość. – Naprawdę pomyślałaś, że mógłbym ci zrobić krzywdę?

Patrzy na mnie i czeka na moją reakcję, ale ja nie wiem, co powiedzieć. Chyba nie mogę go w żaden sposób pocieszyć. Znów kręci głową.

– Chciałem się tego pozbyć. Kurwa!

Wrzuca telefon do jeziora. Patrzę, jak znika w lodowatych głębinach, a potem się odwracam do Paxa.

– Posłuchaj...

– Nie – rzuca zimno i podchodzi do kierownicy. – Nic nie mów. Nie mogę teraz z tobą rozmawiać.

Odpala silnik i rusza takim zrywem, że lecę na burzę. Łapię się jej przemarzniętymi rękami. Wpadł w furję i wiem, że nie ma po co z nim rozmawiać. Musi się opamiętać.

Mkniemy do brzegu, a po każdej fali, na której się wybijamy, twardo opadamy na powierzchnię. Grzechoczą mi wszystkie kości.

Im szybciej płyniemy, tym bardziej się robię wściekła.

– Dlaczego uważasz, że masz prawo być na mnie zły?
– przekrzykuję wiatr. – Byłam ciekawa, tylko tyle. Mam prawo być ciekawa.

Nie odpowiada. Przechyla tylko wajchę gazu i pędzimy jeszcze szybciej.

Zgrzytam zębami.

– Zwolnij! – domagam się. – Zabijesz nas oboje!

Nic nie mówi.

I nie zwalnia.

Zanim zdążę powiedzieć coś jeszcze, wpadamy na kolejną wielką falę. Zanim zdążę pomyśleć albo się poruszyć, ciężko łupiemy w wodę.

Tylko że nie zostaję w łodzi. Wylatuję ponad krawędzią burty i ląduję w lodowatych, spienionych wodach jeziora Michigan.

Rozdział 16

PAX

Kurwa!

Nie zdążam zareagować i Mila znika, przelatuje nad burtą i wpada do lodowatej wody. Hamuję i zawracam, wpatruję się we wzburzoną powierzchnię.

– Mila! – wrzeszczę i rzucam się do burty. – Mila!

Nie ma jej. Nic nie widzę. Szara kipieli się kłębi i wiruje, a białogrzywe fale objają się o burtę. Nie ma żadnego śladu.

Ja pierdołę. Bez namysłu wskakuję za nią.

Zderzenie z lodowatym żywiołem pozbawia mnie tchu. Miotam się. Szukam Mili i staram się powstrzymać płuca przed odruchowym zaczerpnięciem powietrza. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem tak porażającego, miazdzącego kości zimna. Każda komórka mojego ciała, każdy promil instynktu samozachowawczego chcą mnie zmusić do ucieczki. Ale muszę ją znaleźć.

Zanurzam się jeszcze głębiej i autentycznie tracę

czucie w ciele. Nic już nie czuję. Macham ślepo rękami, desperacko pragnę namacać jakiś ślad. To niemożliwe. Ona nie może tu utonąć, nie w jeziorze, które tak kocha, nie przeze mnie. Zmuszam się do otwarcia oczu i ziąb atakuje delikatną tkankę gałek ocznych, ale muszę patrzeć. Chociaż woda jest zamulona, a w tym stanie nie widzę tak naprawdę nic.

Miotam się wkoło, aż nagle na coś natrafiam.

Łapię. Niemal pozbawione czucia palce natrafiają na coś mięsistego.

Mila.

Nasiąknięta wodą kurtka ciągnie ją w dół i nie może się dostać na powierzchnię. Chyba stara się z niej uwolnić.

Chwytam ją i oboje wydostajemy się na powierzchnię. Odgarniam jej włosy z twarzy. Wciąga powietrze i rzuca się na mnie, instynktownie chcąc się wydostać.

– Uspokój się – mówię szybko i transportuję nas bliżej łodzi. – Uspokój się, bo utopisz nas oboje.

Podnoszę ją i przierzucam przez burtę do łodzi, a potem wspinam się za nią. Opadamy na podłogę. Leży w kałuży lodowatej wody, szczęka zębami, a usta ma sine.

– Coś ty sobie myślała?! – wydzieram się. – Zwariowałaś? Jak mogłaś się nie trzymać?!

Ściągam jej parkę, bo jest przesiąknięta wodą, a potem się rozglądam, chcę znaleźć coś, czym mógłbym ją owinąć, ale nie ma.

– Kurwa – mruczę. – Nie mam tu nic ciepłego. –

Mokre włosy ma zlepione w strąki, Podskakują, kiedy rozcieram jej ramiona. – Musimy wracać. Zostań tutaj, pod ścianką.

Przywiera do burty, tam, gdzie jest prawie osłonięta przed wiatrem.

– P-p-p-p-przepraszam – szczęka zębami. – P-p-p-powinłam była się mocniej t-t-t-trzymać. Ale t-t-t-ty za szybko p-p-p-p-płynąłeś.

– Wiem – odpowiadam bezsilnie. – Przepraszam cię. To moja wina. Płyniemy do brzegu, muszę cię wysuszyć.

Zapalam silnik i ruszam najszybciej jak się da. Wiatr smaga moją przemoczoną koszulę i słowo daję, na jej powierzchni formują się sople. Gdy parkuję łódź, palce mam purpurowe i nie mogę zapanować nad dreszczami.

Potem pomagam Mili wysiąść z łodzi. Zatacza się i wiem, że też ma bezwładne nogi. Biorę ją na ręce.

– M-m-m-mogę iść – upiera się, ale kręcę głową.

– Tak będzie szybciej. – Palce, którymi wbija mi się w ramiona, są lodowate i znów kręcę głową. – Dostaniesz zapalenia płuc – mówię, otwierając samochód. Sadzam ją i po raz pierwszy żałuję, że nie mam nowego auta, bo nowe mają podgrzewane siedzenia.

Skostniałymi palcami wkładam kluczyk do stacyjki i w kilka minut zajeżdżamy pod mój dom. Mam takie poczucie winy, że pędziłem po oblodzonej szosie szybciej niż powinienem.

Jeszcze nie wjeżdżam dobrze na podjazd, a już

wciskam guzik otwierający drzwi do garażu, żebyśmy nie musieli się jeszcze odstać przed drzwiami. W ciągu kilku sekund wysiadam i otwieram jej drzwiczki. Wyciągam ją i niosę przez garaż do domu.

– Masz sine usta – informuję ją. – Muszę cię wsadzić pod ciepłą wodę.

– Siebie też – przypomina, a broda jej lata. Nie wiem, czy to tylko wychłodzenie, czy jakiś szok.

Nie stawiam jej na podłodze, idziemy prosto na górę, do łazienki. Siadam na sedesie, odkręcam wodę pod prysznicem i odwracam się do niej, żeby jej pomóc zdjąć przyklepione do skóry lodowate ubranie. Nie czuję palców. Są tak zlodowaciałe, że dotyk jej nagiej skóry niemal parzy.

– Tak cię przepraszam. Straciłem panowanie nad sobą, wpadłem w furję, nie wolno mi było tak pędzić. Przepraszam.

Kiwa głową.

– W-w-w-wiem. Nie szkodzi. W-w-w-wściekliśmy się. Ale już p-p-p-po wszystkim. Już dobrze.

Bez słowa ściągam jej bluzkę i pomagam rozpiąć stanik. Może się ruszać, ale wiem, jaki ja mam problem z poruszaniem palcami, więc jej na pewno nie jest łatwiej. Stawiam ją i ściągam mokre džinsy, potem majtki, a następnie popycham ją lekko pod prysznic.

– Wskakuj – polecam. Sam też się rozbieram i wchodzę za nią. Stoi pod strumieniem. Trzyma z tyłu włosy, a gorąca woda przywraca ciepło jej

wymarzniętemu ciału.

– O mój Boże – szepcze. – Jak cudownie. Boli, ale...
O mój Boże.

Zamyka oczy, ale jej usta odzyskują kolor. Oddycham z ulgą i staję obok, pod natryskiem z lewej strony. Ma rację. Jeszcze nigdy w życiu gorąca woda nie wydawała mi się czymś tak cudownym.

– Chryste, jak tam było zimno – mruczę. Wraca mi czucie w palcach u stóp. Mam wrażenie, że ktoś mi w nie wbija tysiące igieł. – Kurwa, palce u nóg mi zaraz odpadną.

Mila potwierdza jęknięciem i przez następne dziesięć minut stoimy tak bez słowa, z zamkniętymi oczami, rozkoszując się ciepłem. Gdy szklane drzwi zachodzą parą i przestają się trząść, odwracam się do Mili.

Jest naga, mokra i zjawiskowa, ale w tej chwili nie zwracam na to uwagi. Myślę tylko o jednym.

– Pomyślałaś, że cię uderzę – mówię bez ogródek. Odwraca się do mnie z poczuciem winy. Skórę ma wreszcie różową.

– Nie – zaprzecza cicho. – To był odruch. Reakcja bezwarunkowa.

– Czyli nie pomyślałaś, że chcę cię uderzyć? – Unoszę brew. – Skuliłaś się.

Spuszcza głowę.

– Już nie wiem, co pomyślałam.

Aż mnie zatyka. Czuję się pokonany. Wyciągam rękę i podnoszę jej podbródek.

– Nieważne, jaki jestem zły, nigdy cię nie uderzę. Rozumiesz? – Patrzę jej w oczy. – Nigdy.

Przełyka ślinę i patrzy na mnie wielkimi zielonymi oczami.

– Przepraszam. Nie wiem, skąd mi się wzięła taka myśl.

Jest w tych oczach coś, co zwraca moją uwagę.

– Twój tata bił mamę?

Pytanie zawisa między nami, a ona się we mnie wpatruje bez słowa. Potem powoli kiwa głową.

– Rzadko, ale czasem. Kilka razy to widziałam. On policzkował ją, ona jego. To był bardzo wybuchowy związek.

– Cholera – mruczę. Jestem w szoku. Potem ją przytulam. – Nawet jeden raz to za dużo. Nigdy cię nie uderzę. Musisz mi wierzyć. – Kiwa głową. Widzę, że płacze. Nie wiem, czy z powodu swoich rodziców, czy naszej kłótni na łódce. Przyciągam ją mocniej do siebie i całuję w czoło. Przywiera do mnie, mokra, ale silna. Obejmuję ją i mocno przytulam. – Ja cię nigdy nie skrzywdzę. Na pewno nie tak.

Kiwa głową i podnosi na mnie wzrok. A potem tak stoimy i wdychamy się wzajemnie, jakbyśmy byli sobie konieczni do oddychania.

Wsuwa mi język do ust i nagle moje dłonie są na jej ciele, gładzą miękkie, mokre plecy i biodra. Łapię jej wargę zębami i lekko ciągnę. Jęczy mi w usta, a ja rozkoszuję się tym dźwiękiem.

Desperacja zawisa wokół nas. Pragnienie nas zżera. Odwracam ją i przyciskam plecami do kamiennej ściany prysznicza. Wtulam się w nią, gdy po raz kolejny ją całuję. Mógłbym zachwycać się jej smakiem do końca świata i nigdy nie mieć dość.

Podnosi nogę i oplata mnie w pasie. Moje dłonie suną po jej udach i docierają do idealnej pupy. Wciska się we mnie, przywiera jeszcze mocniej. Mój kutas sterczy między nami i wiem, że ona go czuje.

Twardy.

Mokry.

Ciepły.

– Chcę cię dzisiaj – szepcze. Skubie mnie lekko w płatek ucha. – Proszę cię.

Jęczę i odsuwam się, żeby na nią spojrzeć.

– Przecież chciałaś poczekać?

Uśmiecha się słodko, ale zaczepnie.

– Pieprzyć to. Chcę cię teraz.

Znów się zbliżam i nacieram na nią. Jej wargi są takie miękkie. Wsuwam w nią palce, a ona mi wzdycha w otwarte usta i lekko dyszy. Smakuje jak światło.

– Jesteś taka piękna – mruczę w jej szyję i zjeżdżam niżej, do piersi. – Taka cholernie piękna.

Biorę jej pierś do ust i zaczynam ssać. Chwyta mnie, ściska, miażdży, drapie o ściany kabiny prysznicowej. Teraz już wyraźnie słyszę, że dyszy, seksownie i bezwstydnie.

Przenoszę się do drugiej piersi i ją też ssę. Drażnię się

z nią i bawię. Skórę ma wilgotną, miękką, a kiedy otwiera oczy, jej wzrok jest nieskupiony i dziki.

Chce mnie. To dla mnie niemal niepojęte. Chce mnie tak samo, jak ja chcę jej. Jęczę i chowam twarz w jej szyi.

Łapie mojego kutasa, a on pulsuje w jej dłoni, rozgrzany i ciężki. Chcę jej jak nigdy niczego. Uśmiecha się i przesuwa ręką w górę i w dół.

– Jesteś taki duży – mruczy.

Dlaczego masz takie wielkie zęby?

Znów jestem wilkiem, góruję nad nią, przyciskam ją plecami do ściany. Jest piękna i niewinna. A ja... A ja nie.

Nie zasługuję na nią. Z trudem przełykam ślinę.

– Chcesz mnie? – zawisam z ustami milimetry od jej skóry.

Kiwa głową. Zamyka oczy i gładzi moje biodra.

– Więc otwórz oczy i powiedz to – polecam zachłannie. – Wypowiedz moje imię.

Otwiera oczy i patrzy prosto na mnie.

– Chcę cię – mruczy. – Ciebie, Pax.

Owijam językiem jej wilgotny i rozgrzany język. Może na nią nie zasługuję, ale ona i tak mnie chce. Ścisza mi się żołądek.

– Jeszcze raz – proszę cicho.

Patrzy na mnie wielkimi zielonymi oczami.

– Chcę cię, Pax – mówi na wydechu.

– Kurwa. – Odsuwam się na sekundę. Otwieram drzwi

i wyjmuję z kieszeni spodni portfel. Szamoczę się z prezerwatywą, ale zaraz jestem z powrotem pod strumieniem wody. Przyciągam ją do siebie.

A potem w nią wchodzę.

Pod powiekami eksploduje mi supernowa, jest tak kurewsko cudowna. Taka wilgotna i tak nieziemsko ciasna. Mógłbym w tej chwili umrzeć i nie żałowałbym.

Głośno łapie powietrze, a potem wbija mi palce w plecy i przyciąga do siebie.

– Jak dobrze – szepcze mi do ucha. W piersi rozlewa mi się ciepło.

Staram się skupić na czymkolwiek, co zapobiegnie temu, żebym doszedł teraz, zaraz, ale wiem, że to nie ma sensu. Czuję na sobie jej cycki, wilgotne i miękkie, a za każdym razem, kiedy się w nią wsuwam, miażdżę je i to mnie popycha nad przepaść.

Przyciąga mnie jeszcze bliżej i wiem, że w niej mieści się wszystko, co na świecie jasne i dobre.

Wsuwam się i wysuwam, a ogień płonący między naszymi mokrymi ciałami doprowadza mnie do szaleństwa.

– Zaraz skończę – ostrzegam w jej wilgotną szyję.

Otwiera oczy i na mnie patrzy.

– To kończ – mówi po prostu.

A potem wsuwa mi do ust język, a ja nie mogę się już dłużej powstrzymać. Mój kutas eksploduje, a ona się na nim zaciska. Oddycham desperacko, a po jakimś czasie, moim zdaniem po godzinie, oboje ześlizgujemy się na

podłogę. Trzymam ją w ramionach, spływa po nas woda.

Nie mogę nawet mówić. Trzymam ją tylko, siedzącą mi na kolanach i wtuloną we mnie, a ta chwila wydaje mi się niesamowita. Siedzimy tak jeszcze długo, aż woda zaczyna się robić zimna.

Mila podnosi głowę.

– To było cudowne – mruczy. Odsuwa się i głaszcze mnie po policzku. – Jesteś piękny – dodaje. Ścisza mnie w sercu.

– Nie jestem piękny – protestuję. – Ani trochę.

– Jesteś – upiera się. – Musisz mi uwierzyć na słowo. – Kręcę głową, ale nie wypuszczam jej z objęć. W końcu kładzie mi głowę na piersi. – Woda jest zimna – mruczy sennie. Nasze nogi są splątane, a ona niemal na mnie leży. Chłód jej chyba nie przeszkadza, ale uważam, że na dziś oboje mamy dość zimnej wody.

Niechętnie siadam i pomagam Mili wstać. Wychodzimy spod prysznic i wycieram ją, a potem prowadzę do mojej sypialni i znajduję podkoszulek, w który może się ubrać. Wkładam go jej przez głowę i na nią patrzę.

– Zostań dzisiaj ze mną – proszę. – Jesteś zmęczona, ja jestem zmęczony, a na dworze jest zimno. Zostań.

Uśmiecha się szeroko.

– I tak miałam zostać – odpowiada psotnie. – W samochodzie pod The Hill mam spakowaną torbę na nocleg.

Śmieję się i kręcę głową.

– Lubisz mnie zaskakiwać? – pytam i prowadzę ją do łóżka, a potem sadzam sobie na kolanach.

Kiwa głową, a jej oczy lśnią.

– Tak jest ciekawiej, prawda?

Nachylam się do niej i tłumię wszystko, co mogłaby jeszcze chcieć powiedzieć. Popycham ją lekko na łóżko i przesuwam ustami po jej szyi, ramionach i rękach. Całuję jej dłonie, a potem patrzę w okno.

– Nad jeziorem szaleje burza – zauważam, a ona się odwraca, żeby patrzeć ze mną.

– Dobrze, że już nas tam nie ma. – Patrzymy na ciemne chmury kłębiące się nad wodą. Czarne niebo przecina piorun, a powietrze wydaje się naładowane energią burzy.

Zerkam na nią.

– Tak, to dobrze. Tutaj zdecydowanie przyjemniej leży się nago.

Śmieje się i przyciąga mnie do siebie. Znów czuję w ustach jej język. Stwierdzam, że tu jest jego miejsce. Zsuwam rękę na jej pupę i zakładam jej nogę na moje biodro.

– Tutaj jest miejsce twojej nogi – informuję ją stanowczo. Uśmiecha mi się w usta.

– Będzie mi się niewygodnie chodziło – zauważa i przesuwam palcem po moich plecach.

– Coś wymyślimy – mruczę i wsuwam w nią palce. Jęczy i wygina plecy w łuk, akurat, gdy na zewnątrz

rozlega się grzmot. Potem już nie rozmawiamy, bo w
mojej sypialni zaczyna szaleć nasza własna burza.

Rozdział 17

MILA

Ostatnia myśl, zanim przekroczę zamglony próg snu, to że ramiona Paxa są takie silne i ciepłe. I bezpieczne.

Nigdy nie zapomnę, jak się poczułam, gdy skoczył do jeziora i mnie uratował. Ta głupia kurtka ciągnęła mnie w dół i nie mogłam się z niej wyplątać. Prawdopodobnie uratował mi życie. To dziwne, że nie dba o swoje, a tak broni mojego.

Wtulam się w niego jeszcze mocniej, w jego silną pierś. Przytulam twarz do jego serca, które głośno mi bije prosto w ucho. To ten dudniący rytm kołysze mnie do snu.

Potem śnię.

Patrzę w dół i widzę oblewające mnie światło, lśniąca na mojej skórze.

Znów jestem w kościele.

Ale tym razem jest inaczej.

Nie mam na sobie czarnej sukienki z pogrzebu

rodziców, tylko białą. Prostą bawełnianą sukienkę, prawie przezroczystą. Z przodu kościoła siedzi mój tata, tam, gdzie wcześniej stały trumny. Słońce na niego nie pada, siedzi w cieniu.

Puls mi przyśpiesza, bo pierwszy raz widzę któreś z rodziców we śnie. Jak dobrze zobaczyć tatę. Rzucam się naprzód, żeby do niego pobiec, ale wygląda na to, że moje nogi mogą się poruszać tylko w jednym tempie. To frustrujące, bo chcę przyśpieszyć, a one nie współpracują. W końcu jednak do niego docieram.

Staję przed nim i po prostu patrzę. Ma na sobie ulubioną koszulę z flaneli, wyblakłą, i dżinsy, które wkładał do pracy w ogrodzie.

Uśmiecha się.

– Cześć, orzeszku.

– Cześć, tatusiu – udaje mi się wykrztusić. Czuję w gardle gulę, której nie mogę przełknąć. – Jak dobrze cię widzieć.

On też się uśmiecha, tym samym uśmiechem, który widziałam miliony razy i wyciąga do mnie rękę. Wpadam w nie i czuję jego zapach. Old spice i mięta. Wdycham, płaczę i przytulam go mocno.

Po paru chwilach się odsuwa.

Patrzę na niego, na duże ręce, które mnie nosiły, kapały naszego psa, popychały mój rower i biły moją mamę. Przełykam ślinę i patrzę mu prosto w oczy.

– Dlaczego biłeś mamę?

Wstydzi się. Wyciąga ręce, wnętrzem dłoni do góry.

– Nie wiem – przyznaje cicho. – Nie jestem idealny. Powinniśmy byli z twoją mamą poszukać pomocy. Kochaliśmy się, ale nasza relacja była niezdrowa. Przykro mi, że to widziałaś.

– Jak można kogoś kochać, a jednocześnie robić mu krzywdę? – pytam, a kiedy wypowiadam te słowa, czuję, że po twarzy płyną mi łzy. Tata je ociera.

– Jeden z absurdów życia – mówi łagodnie. – Czasem ranimy właśnie tych, których kochamy najbardziej.

– Ale nie powinno się tak robić – upieram się. – To tchórzostwo.

Patrzy na mnie.

– Może byłem tchórzem. Ale także dobrym człowiekiem, któremu się przydarzył niewłaściwy temperament. Kocham cię, orzeszku.

Stoję, jakbym wrosła w ziemię, ale nagle wszystko do mnie dociera. Z jakiegoś powodu elementy układanki wpadają na swoje miejsca i już wiem, co oznaczały te głupie sny, co chciały mi dać do zrozumienia. Te o czarnej i białej trumnie, o słońcu i cieniach.

Życie nie jest czarne ani białe. Ludzie nie są źli albo dobrzy. Po śmierci rodziców za bardzo się skupiałam na szukaniu sensu życia. Chociaż się do tego nie przyznawałam, gdzieś w głębi duszy dręczyła mnie nieprzewidywalność ich relacji. Chyba ich osądzałam.

Podczas gdy tak naprawdę życie jest mieszanką dobra i zła, najróżniejszych odcieni szarości, bieli i czerni. Pewnie dlatego zawsze bałam się związku, nie chciałam

powtórzyć takiej relacji. Popełnić błędów.

Ale życie składa się i z nich właśnie.

Patrzę na tatę.

– Kocham cię, tatusiu. – On kiwa głową, a w oczach ma dobro i miłość. – Tęsknię za tobą.

– Wiem – odpowiada. A potem, chociaż siedzi bez ruchu, zaczyna blednąć, aż w końcu znika i zostaje sama.

Ale nie jestem sama. Czuję obecność Paxa, chociaż go nie widzę. Odwracam się, ale go nie ma.

Potem się budzę. Patrzę mu prosto w oczy.

– Wszystko dobrze? – szepcze. – Miałaś jakiś sen.

Obejmuje mnie mocniej.

– Strasznie dziwny sen – zaczynam opowiadać równie cicho. – Pierwszy raz od śmierci rodziców śnił mi się tata. Spytałam go, dlaczego bił mamę, a on powiedział po prostu, że był słaby. Ale że był dobrym człowiekiem. I że powinni byli iść z mamą na terapię.

Patrzy na mnie ciepłymi, złotymi oczami.

– Masz rację – mówi wreszcie. – Człowiek może błędzić i być przy tym dobry. A przynajmniej mieć dobre serce. Ale skąd ten sen? To dlatego, że wcześniej o nich pytałem?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Może. Od czasu ich śmierci jeden dziwny sen się powtarza. Podejrzewam, że to jedna z tych rzeczy, które chciała mi przekazać podświadomość. Cierpiałam po ich śmierci, bardzo za nimi tęskniłam, ale też miałam żal z powodu ich relacji. Kochali się

bardzo, prawie do szaleństwa, ale nie był to zdrowy układ. Nie umieli się porozumieć.

Pax na mnie patrz.

– Tata cię kiedyś uderzył?

Od razu kręcę głową.

– Nie. Dostałam parę razy klapsa, jak byłam mała, ale żeby mnie naprawdę uderzył? Nie. Byli dobrymi rodzicami. Problem polegał na tym, że doprowadzali się do takiego stanu, aż przestawiali nad sobą panować.

Jeszcze nie skończyłam mówić, a on już kreci głową.

– Nie ma tak, że się przestaje panować – upiera się. – W każdym razie nie w takiej sytuacji. Ale masz rację, powinni byli szukać pomocy. Szkoda, że tego nie zrobili.

Zamykam oczy i znów się do niego przytulam.

– Myślę, że ten sen był wiadomością. Wszystko będzie dobrze, słuchaj intuicji. A intuicja mi podpowiada, że to dobrze, że jestem z tobą. Nie jesteśmy moimi rodzicami i nasz związek nie będzie taki jak ich. Nikt nie jest idealny, ty też masz problemy, z którymi trzeba się uporać, ale damy radę.

Spina się, czuję to. Leży obok mnie sztywny jak kłoda.

– Myślisz, że ten sen to przekaz od twojego ojca, że podjęłaś dobrą decyzję?

Znów wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Może?

Kręci głową.

– Nie ma mowy. Nie, że nie wierzę w takie rzeczy, ale

nie ma opcji, żeby ojciec dawał ci błogosławieństwo. Przyśniło ci się to, co chciałabyś od niego usłyszeć. Szukasz usprawiedliwienia. Wspominaliśmy ich dzisiaj, więc taki sen to normalka.

Ale ja nie dam sobie tego wmówić.

– No to pozostaniemy przy swoich zdaniach. Na razie śpimy dalej.

I idziemy spać.

Pax obejmuje mnie mocniej, a ja zasypiam w jego ramionach.

Kiedy się budzę, śpi obok mnie. Oplata mnie ciasno ramionami. Chyba w ogóle się nie poruszaliśmy. Mrugam, bo przez okna wlewa się światło. Jest mi tak dobrze, że nie chce mi się wstawać i poprawiać żaluzji. Ale jeśli tego nie zrobię, już nie zasnę.

Nie jestem gotowa na początek dnia. Chcę zostać w łóżku trochę dłużej.

Ostrożnie wyplątuje się z jego objęć i na czworakach podpełzam do krawędzi łóżka. Na palcach podchodzę do okna. Znajduję sznureczek i pociągam, ale przy okazji zerkam na trawnik przed domem. I zamieram.

Lodowata panika rozprzestrzenia się od podstawy mojego kręgosłupa aż do karku, a strach odbija się rykoszetem wśród żeber.

To Jill.

Boże, co się dzieje?

Puszczam sznurek i zakrywam usta.

Nie rusza się, leży w nienaturalnej pozycji. Twarz ma

odwróconą ode mnie, patrzy w stronę jeziora, jest całkiem nieruchoma. Wiatr rozwiewa jej włosy, to jedyne, co się w niej porusza.

– Pax! – krzyczę piskliwie i podbiegam, żeby nim potrząsnąć. – Obudź się. Obudź! Jill leży na trawniku.

Podrywa się, zaspany i usiłuje się przecknąć na tyle, żeby zrozumieć, co mówię. W końcu do niego dociera i oboje biegniemy do ogródka.

Pax przy niej klęka, ale zaraz na mnie patrzy, a minę ma grobową.

Muszę się zmusić, żeby do niego podejść.

– Mogłabyś zadzwonić po policję? – pyta cicho. Patrzę w dół. Jill ma otwarte oczy. Są matowe. Nie mruga. Wiem, że nie żyje. Cofam się z ręką na ustach. Jestem przerażona. Chce mi się krzyczeć, ale nie mogę.

Na bluzce i brodzie ma wymiociny. Spłynęły jej po ramieniu na rękę. Teraz jest tam zamarznęta pomarańczowordzawa breja. Bierze mnie na wymioty i muszę się odwrócić. Pax wstaje i mnie obejmuje.

– Chodź, musimy wezwać policję – mówi łagodnie. – Nie patrz.

– Nie możemy jej tak zostawić! – mówię. – Jest zimno. Długo tu leży? Od zeszłego wieczoru? Stąd do ciebie pisała?

Patrzę na niego jak oszalała, a on chwyta mnie za łokieć.

– Nie czuje już zimna. Musimy wezwać policję. Nie mam pojęcia, czy stąd wysyłała te esemesy.

Nie mówię na głos tego, co oboje myślimy. Może gdyby jej odpisał, nic by się nie stało. Nie patrzę mu w oczy, nie chcę, żeby zobaczył te myśli.

– Przedawkowała? – pytam cicho, gdy wracamy do domu.

Wchodzimy po schodach do kuchni.

– Na to wygląda. – Patrzy na mnie. – Mogłabyś zrobić kawę? Ja zadzwonię.

Kiwam głową i zaczynam szukać akcesoriów do parzenia. Ta przyziemna czynność dobrze mi robi, mam czym zająć ręce, odmierzam kawę, nalewam wody do dzbanka. Zapach wypełnia mi nozdrza, więc stoję tak, zaciskając dłonie na blacie. Pax pojawia się za mną.

– Już jadą. Zapomniałem wczoraj wrzucić twoje ciuchy do suszarki, ale znajdę jakieś dresy dla ciebie.

Idę za nim na górę. Wyciąga z szafy spodnie i mi podaje.

– Są dużo za duże, ale mają sznureczek. Dobrze się czujesz?

Siedzę na łóżku i się trzęsę.

– To mogłeś być ty. Wiesz o tym?

Jestem całkiem rozbita, nie wiem, co więcej powiedzieć. To jedyna myśl, jaką mam w głowie. Gdybym na niego nie trafiła tamtej nocy przy plaży, tak by wyglądał. Widok martwej Jill był jak cios w serce.

Siada obok mnie i zmusza, żebym na niego spojrzała.

– Ale to nie byłem ja. I nie będę, bo już z tym zerwałem.

Spojrzenie ma zdecydowane i silne, ale czuję drżenie w płucach, gdy z trudem wciągam powietrze.

– Obiecuj mi.

– Obiecuję – mówi stanowczo. Kiwam głową.

– Dobrze.

– Dobrze? – Unosi brwi.

– Dobrze.

Nachyla się i całuje mnie w czoło. Chciałabym opaść na jego pierś, ale tego nie robię. Wkładam dres i wracamy do salonu, czekać na policję. Przyjeżdżają szybko. W małym miasteczku zwłoki w ogródku to nie byle co.

Pax odpowiada na milion pytań, ja też na kilka. Czy spędziłam z Paxem ubiegłą noc? Czy widzieliśmy się wcześniej tego dnia z Jill? I tak dalej.

Odpowiadamy na wszystkie. Potem Pax mówi, że ona podobno ma dwoje dzieci, ale nie zna adresu ani nie wie nawet, kto się nimi zajmuje, gdy ona wychodzi. To mnie zaskakuje, ale też potwornie zasmuca.

– Zdaje się, że niewiele o niej wiedziałem – przyznaje Pax. Wygląda na bardzo zmęczonego. Nie tyle smutnego, co właśnie wyczerpanego. Trzyma w dłoni filiżankę z kawą, a policjanci robią notatki i zadają kolejne pytania.

Jak skostniała kulę się na kanapie i czekam, aż to się skończy. Przez okno widzę karetkę i nosze jadące w stronę Jill, a potem jej ciało lądujące w czarnym zapinanym worku.

Ostateczność tej chwili mnie powala.

Tak po prostu jej nie ma. Czuję się całkiem pusta i zrozpaczona. W ciągu sekundy wszystko, co dotyczyło tej kobiety, zostało unicestwione, bez słowa pożegnania czy należytego szacunku. Nawet jej nie znałam. Nie wiem, dlaczego tak mnie to dotyka.

Poza tym, że wciąż myślę o tym, że to mógł być Pax.

Jestem przerażona. Zbita z tropu.

Nie wiem, czy dam sobie z tym radę. A co, jeśli następne ciało, na jakie natrafię, będzie należało do niego? Jeśli zlekceważy siłę nałogu? Nie wiem, czy mam dość siły, żeby się tego dowiedzieć.

Patrzy na mnie, jakby słyszał moje myśli.

Podnoszę wzrok i natrafiam na jego zaniepokojone, łagodne oczy. Unosi brwi, jakby pytał, czy wszystko dobrze.

Kiwam głową.

Dobrze.

I na dowód się uśmiecham.

Ale wcale nie jestem pewna, czy tak jest.

Mój uśmiech to kłamstwo.

Zamykam oczy.

Rozdział 18

PAX

Musiało być to dla ciebie straszne – stwierdza cicho doktor Tyler i znowu coś skrobie w tym kretyńskim zeszytiku. – Ciało Jill w twoim ogródku. Każdy byłby poruszony.

Milknie i patrzy. Jestem tu już od pół godziny i prawdę mówiąc, nie wiem, po co przyszedłem. Chyba dlatego, że nie wiem, jak sobie poradzić z tym wszystkim, co się dzieje w moim życiu. Zabrnąłem w jakiś ślepy zaułek i tracę kontrolę. To było fajne, kiedy brałem. Miałem poczucie, że nad wszystkim panuję. Nawet jeśli tak nie było

– Było straszne – zgadzam się z nim. – W moim domu znalazła się martwa osoba. Byłem w szoku.

– W twoim domu znalazła się martwa osoba, z którą utrzymywałeś kontakty seksualne. Przed śmiercią usiłowała się z tobą skontaktować. Jesteś bardziej zaangażowany niż przypadkowy mieszkaniec. Musisz się

uporać z uczuciami dotyczącymi tej sprawy. Powiedz mi, co czujesz.

– Tak naprawdę, to jestem wściekły. – Patrzę na niego groźnie. – Dlaczego musiała przyjść akurat do mnie, żeby przedawkować? Chciała mi coś pokazać? Mówiłem jej, że koniec z nami. Zresztą, nie było nawet żadnych nas. Świadczyliśmy sobie wzajemnie usługi i tyle. Nawet nie wiem, jak miała na nazwisko.

Patrzy na mnie z namysłem i wydaje mi się, że chce zajrzeć do mojego wnętrza.

– Naprawdę jesteś zły, że umarła pod twoim domem? – odzywa się w końcu. – A nie na to przypadkiem, że cię z nią nie było? Że jej nie pomogłeś, kiedy prosiła? Wiesz, co pisała w tych esemesach? Czy wrzuciłeś telefon do jeziora, zanim je przeczytałeś?

Teraz jestem już ostro wściekły, bo w dużej mierze ma rację. Też się nad tym zastanawiałem.

– Chce mi pan wmówić, że to moja wina, bo nie odpowiedziałem na jej esemesy? To była wariatka. Ćpunka, która potrzebowała pomocy. Mówiłem, żeby jej poszukała, ale podjęła inną decyzję.

Doktor podnosi rękę.

– To nie twoja wina oczywiście – mówi kojąco. – Nie wmawiam ci nic takiego. Była odpowiedzialna za swoje czyny. Zastanawiam się tylko, czy przeczytałeś którąś z jej wiadomości? Mogłaby ci dostarczyć informacji i ułatwić zamknięcie tej sprawy. Podejrzewam, że możesz mieć poczucie winy, a może nawet ochotę na narkotyki.

Chciałbym ci pomóc się z tym uporać.

Kręcę głową.

– Nie potrzebuję żadnego wsparcia. Ktoś, kogo znałem, nie żyje. Nie kochałem jej. Przeczytałem kilka tych wiadomości. Chciała prochów i była zdesperowana. Nie mam pojęcia, skąd w końcu wzięła te, które przedawkowała. Jedyłą swoją winę widzę w tym, że nie skończyłem tego już dawno temu. Utrzymałem ją w tym stanie, bo przez dwa ostatnie lata zaopatrywałem ją w prochy. Za to jestem odpowiedzialny. Przykro mi, że nie potrafiła rzucić, ale to tyle. I nie mam ochoty zaćpać. Wręcz przeciwnie. Ale już dość tej rozmowy. Możemy wrócić do mnie?

– Za chwilę. Jestem jeszcze ciekawy, jak się ma Mila. Jak to na nią wpłynęło?

Milknę, bo czuję, że serce zaczyna mi bić szybciej. Codziennie przez cały tydzień od tego wypadku przypominam sobie panikę na jej twarzy tamtego ranka. Odnoszę wrażenie, że myślała, że to wszystko moja wina i mogę skończyć jak Jill. Nie jest na to przygotowana.

Przełykam ślinę, a w gardle mam tak sucho, że słyszę drapiący dźwięk.

– Mila jest dzielna – informuję. – Została ze mną, gdy odpowiadałem na pytania policji i martwiła się o dzieci Jill. Ma dobre serce.

– Nie dopatrywała się żadnych podobieństw między tobą a nią? – powątpiewa. Mam wielką ochotę mu

przywalić.

– Jasne, że tak. Powiedziała, że to mogłem być ja. Obiecałem jej, że to się nigdy nie stanie.

– To wystarczyło? – pyta, a potem milknie.

Też milczę.

– Nie wiem. Przez cały tydzień była milcząca i wycofana. Może to jeszcze trawi, czy co.

– Boisz się, że nie będzie między wami tak, jak nim się to wszystko stało?

Bardziej niż czegokolwiek.

Ale nie mówię tego. Potwierdzam tylko krótkim „tak”.

Doktor zagląda w notatki i coś zapisuje. Chciałbym któregoś dnia przeczytać, co tam gryzmoli.

– Proszę o zmianę tematu – powtarzam stanowczo. Dość mam mówienia o Mili.

Wpatruję się w niego stanowczo. Wzdycha i kiwa głową.

– Dobrze. Zmieńmy temat. Miałeś więcej snów?

Kiwam głową.

– Tak. W tym tygodniu kilka. Wszystkie takie same. Jestem w ciemnym pokoju i słabo widzę. Ale słyszę mamę. Błaga kogoś, żeby mnie ocalił. Nie jestem w stanie pójść dalej. To frustrujące, bo czuję, że jest coś więcej.

Przygląda mi się i bawi się długopisem.

– Czasem umysł chroni nas najlepiej jak może. Zwykle poprzez budowanie granic i wypieranie wspomnień. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym,

że ten sen to wspomnienie. A twój mózg nie chce, żebyś pamiętał dalszy ciąg, bo to będzie bolesne.

Wpatruję się w niego.

– Myśli pan, że śnię o czymś, co się naprawdę stało?

Kiwa głową.

– Nie mam pewności, ale tak podejrzewam. Choć oczywiście mogę się mylić. Jedyne sposoby, to pozwolić by ten sen się rozwinął.

Kręcę głową.

– Nie da się. Dochodzę tylko do tego momentu. Jest ciemno i słyszę mamę. Potem się budzę. Zwykle zlany zimnym potem.

Kiwa głową.

– Jest inny sposób, żeby się do niego dostać. – Czekam na dalszy ciąg, ale nie wiem, czy chcę wiedzieć.

– Poddajesz się kiedyś hipnozie? – pyta, a ja parskam.

– Jezu, nie! Nie. I się nie poddam. Co to za szarlatanские praktyki?

Już chcę wstać, ale on podnosi rękę.

– Zaczekaj. Hipnoterapia jest bardzo przydatnym narzędziem. Nie ma nic wspólnego z szarlatanerią. To technika wprowadzenia pacjenta w stan głębokiego relaksu, w którym może skupić się na konkretnej rzeczy, blokując inne. Większość psychiatrów umie się nią posługiwać, a tak się składa, że to moja specjalność. Jeśli naprawdę chcesz się dowiedzieć, o czym śnisz, to najlepszy sposób. Zwalczymy bariery postawione przez twój mózg i zobaczymy, co sam przed sobą ukrywasz.

Kurwa.

Oczywiście musiał to ująć w ten sposób. Wie, że umieram z ciekawości, co mój umysł przede mną chowa.

Siadam z powrotem.

– Jak długo to potrwa? – pytam niepewnie.

– Nie jest to bardzo czasochłonne – zapewnia. – A może ci się przydać.

Patrzy wyczekująco. W końcu wzdycham.

– Dobra – mrużę. – Zrobię to. Ale lepiej niech się nie skończy tak, że każe mi pan szczekać. Nie chcę tego robić dzisiaj, muszę do tego dojrzeć.

Doktor się uśmiecha.

– Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. Możemy się spotkać, kiedy będziesz gotowy. Zaplanuję sesję na przyszły tydzień, ale zawsze możesz odwołać.

Notuje coś.

– Wykupiłeś xanax, który ci zapisałem?

Kręcę głową.

– Mówiłem panu, że nie potrzebuję.

– Bardzo dobrze – chwali mnie. – Masz silną wolę. To dobrze wróży. Wygląda na to, że naprawdę chcesz się zmienić.

Kiwam głową i po raz pierwszy dzisiaj czuję się dobrze z powodu czegoś, co zrobiłem. Doktorek-szarlatan ma rację. Zmieniam się na lepsze. Nie wiem, czy to wszystko się źle nie skończy, ale przynajmniej się staram.

MILA

Dziwne, jak dni się ze sobą zlewają, kiedy się nie zwraca na nie uwagi.

Minęły już tygodnie od śmieci Jill. Tygodnie, odkąd odczułam zwątpienie i lęk. Tygodnie, w czasie których Pax nie dał mi ani jednego powodu do niepokoju. Jest idealny. Niewiarygodnie, totalnie idealny. Do tego stopnia, że nie mogę się powstrzymać przed oczekiwaniem, że coś się zepsuje. Ale na razie nic się nie dzieje.

Zatrzymuję samochód przed domem rodziców. Pewnie powinnam powiedzieć, przed domem Madison, skoro ona tu teraz mieszka, ale to chyba zawsze będzie dla mnie ich dom. Ona zresztą też tak czuje i nie będę miała pretensji, jeśli któregoś dnia go sprzeda, żeby kupić coś swojego.

Wyciągam kluczyk ze stacyjki i idę oblodzoną ścieżką do drzwi. Maddy otwiera, zanim zdążę zapukać.

– Dobrze, że jesteś – oświadcza nawet bez „cześć”. – Spróbuj.

Wciska mi do ręki gorący kubek, a ja wącham. Przy okazji otrzepuję śnieg z butów i wchodzę do domu.

– Czekolada?

Kiwa głową.

– Najlepsza, jaką w życiu piłaś – oznajmia z przekonaniem. – Kremowa, włoska. Testuję różne do

restauracji. Jest tak gęsta, że dosłownie stoi w niej łyżka.

Upijam łyżeczkę, a czekolada spływa mi w dół gardła prawie jak budyń.

– Jezu, cudowna! – mówię. – Masz zwycięzcę.

Chce mi zabrać kubek, ale nie daje.

– W życiu!

Wywraca oczami.

– Dobrze. Przypomnij mi, czego chciałaś poszukać?

Zdejmuję kurtkę.

– Chcę pogrzebać w szufladzie mamy. Ostatnio znowu bardziej tęsknię, więc poprzeglądałam sobie jej rzeczy.

Madison patrzy na mnie ze współczuciem.

– Wiem, rozumiem. Ja tak miałam w zeszłym tygodniu. Strasznie mi ich brakuje.

W oczach zbierają jej się łzy, ale odsuwa się i idzie do kuchni. Nie jest beksą. Macha ręką.

– Wiesz, gdzie wszystko jest. Ja będę tutaj.

Zostawia mnie, a ja idę korytarzem do sypialni rodziców. Chociaż to główna, największa sypialnia w domu, Maddy nie mogła się zmobilizować, żeby tu posprzątać i zająć ją dla siebie. Śpi w swoim starym pokoju, a tutaj wszystko jest, jak było.

Wchodzę. Jest tak cicho, że niemal uroczyście. Gdybym zamknęła oczy, mogłabym udawać, że czuję zapach wiszących w powietrzu perfum mamy, ale oczywiście nie mogę. Wywietrzały dawno temu. Jej zapachu już nie ma.

Za to są wspomnienia.

Wysuwam górną szufladę komody i niosę na łóżko. Siadam na narzucie w kwiaty i przypominam sobie wszystkie popołudnia po szkole, jakie tu z nią spędzałam. Siedziałam na łóżku, a ona szykowała się do pracy w The Hill. Siedziała przy toalecie, kręciła włosy, pryskała się perfumami i rozmawiałyśmy o tym, jak mi upłynął dzień.

Boże, jak za nią tęsknię.

Najpierw przeglądam zdjęcia. To takie rodzinne fotki, spięte gumką. Czarno-białe z jej młodości, wyblakłe. Jest też moje ulubione zdjęcie, na którym trzymamy z tatą wielką rybę, złowioną w jeziorze Michigan w pewien letni dzień. Miałam osiem lat i wąsy z czekolady, a tata wędkarski kapelusz.

Uśmiecham się do tego wspomnienia.

To był wspaniały dzień. Mama i Maddy zostały na plaży, bo nie mogły znieść nabijania robaka na haczyk. Tata mnie poklepał po ramieniu i razem łowiliśmy ryby przez wiele godzin. Czułam się bardzo ważna, bo miałam mocny żołądek i dzięki temu mogłam mu towarzyszyć.

Odkładam zdjęcie na miejsce i zastępuję starą gumkę nową.

Przeglądam listy miłosne od taty do mamy i nawet stare listy od babci. Mama niczego nie wyrzucała, była sentymentalna. W takich chwilach jak ta, jestem jej za to bardzo wdzięczna.

Zaglądam w głąb szuflady i nagle słyszę, że coś się

toczy. Macam i natrafiam w rogu na obrączkę. Szeroka, z różowego złota, z wygrawerowanym od wewnątrz napisem „Miłość nie zawodzi”. Ścisza mnie w piersi. Pamiętam ją. To pierwsza ślubna obrączka mamy. Przestała ją nosić po narodzinach Maddy, bo zrobiła się za ciasna. Potem tata kupił jej wypasioną z brylantem.

Ale mnie ten prosty krążek dodaje otuchy, kiedy trzymam go w ręce. Miłość nie zawodzi. Piękne słowa. Wystarczy, że trzymam ją w ręce i już czuję się lepiej. Jestem związana z rodzicami. Wkładam ją na serdeczny palec prawej ręki. Pasuje doskonale.

Wsuwam szufladę z powrotem do komody i idę do kuchni, do Maddy.

– Mogłabym sobie to wziąć? – wyciągam rękę. – To pierwsza ślubna obrączka mamy.

Maddy kiwa głową.

– Oczywiście. Przecież mnie dałaś tę z brylantem, więc będzie sprawiedliwie. – Uśmiecha się do mnie jak najlepsza siostra świata i muszę ją przytulić, nie mogę się powstrzymać.

– Wiesz, że cię kocham? – mówię, gdy zasiadamy przy stole i opieramy się łokciami. – Rodzice byliby z ciebie bardzo dumni

Uśmiecha się i upija łyk czekolady.

– Dziękuję. Z ciebie też. Zresztą, zawsze byli.

Wyciągam rękę i chcę zabrać kubek, ale się uchyla.

– Ile już wypijaś? – dopytuję się dla żartu. – Na pewno możesz mi jeden odstąpić.

– Już ci odstąpiłam – przypomina. – Ale faktycznie, mam już pewnie dość. Ale czy można mieć dość czekolady? – Marszczy brwi, a potem się śmieje. Gadamy przez całą wieczność.

O The Hill, o Tonym, o moim sklepie, o nowym samochodzie Madison i o psie, nad wzięciem którego się zastanawia. Odwraca się do mnie i patrzy z namysłem.

– A jak ci się układa z Paxem?

Wywracam oczami.

– Pytasz, jakby cię to obchodziło.

– Obchodzi – upiera się. – Wciąż się martwię, ale już mniej niż wcześniej. Zdaje się, że jesteś przy nim szczęśliwa. A ja chcę, żebyś była szczęśliwa, siostrzyczko.

Obejmuje mnie szczupłym ramieniem i przytula.

Obwąchuję ją.

– Użyłaś dzisiaj dezodorantu? Bo trochę śmierdzisz.

Śmiejemy się, ona mnie trąca i wydaje się, że wszystko jest dobrze.

Siedzimy w jej kuchni i gadamy, aż się ściemni.

Rozdział 19

Wibruje mój telefon. Zerkam na wyświetlacz i okazuje się, że jest pięć po siódmej.

Cholera! Miałam być u Paxa na siódmą! Straciłam poczucie czasu.

Sprawdzam, od kogo ten esemes. Oczywiście od niego.

„Cześć, Panno Spóźnialska. Zapomniałaś o naszej randce?”

Nienawidzę się spóźniać. Naprawdę nie znoszę. Zawsze tak miałam. Szybko odpisuję, wysyłam, a potem łapię płaszcz i pędzę do drzwi.

– Jestem spóźniona, muszę lecieć, pa!

Słyszę, że Maddy się śmieje, a potem zamyka za mną drzwi.

Dziesięć minut później parkuję na podjeździe Paxa i biegnę do drzwi. On się wychyla i śmieje się ze mnie.

– Wyglądasz jak kulawa klacz, Kapturku, uspokój się, bo się wyłożysz i coś sobie złamiesz.

Wchodzę za próg i całuję go. Przyciskam zimne

wargi do jego gorących. Wygląda cholernie seksownie, zresztą jak zwykle, w dżinsach, które doskonale opinają jego tyłek i czarnym podkoszulku, podkreślającym klatę. Wtulam się w niego i chłonę ciepło. Pachnie trochę piźmowo, trochę leśnie. Jak mężczyzna. Wdycham jego zapach i obejmuję go za szyję.

– Przepraszam, że się spóźniłam – mówię i całuję go koło ucha. – Uwierz mi, nie ma miejsca na świecie, gdzie wolałabym być bardziej niż tutaj.

– Serio? – Unosi brew. – No to się zgadzamy, bo nie ma miejsca, w którym wolałbym, żebyś była.

Wywracam oczami, bo jest zarozumiała. Potem wchodzimy do przedpokoju. Tam popycham go na ścianę i znów całuję, bo mam na niego straszną ochotę. Przyciąga mnie do siebie, a ja zawieszam się w ciepłe jego ramion. Boże, naprawdę nie chcę być nigdzie indziej.

W końcu wdycham.

– Więc jaki masz plan na naszą randkę? Co robimy? Zamawiamy jedzenie?

Kręci głową.

– Mam ochotę na smażoną cukinię, więc pomyślałem, że możemy spróbować ją zrobić.

Gapię się na niego z niedowierzaniem.

– Spróbować ją zrobić? Chyba zapomniałam wspomnieć, że chociaż moja rodzina prowadzi restaurację, ja nie umiem gotować. Za bardzo. A poza tym: jak można mieć ochotę na smażoną cukinię?!

Pax się śmieje i ciągnie mnie na schody.

– Jak byłem mały, robiła to nasza gosposia. Uwielbiałem to jeść. Szukałem dzisiaj w internecie przepisu, zrobiłem zakupy i w ogóle. Co może pójść źle?

– Skoro już to wszystko zrobiłeś – burczę i zdejmuję płaszcz – nie powinieneś zadawać takich pytań.

Dziesięć minut później oboje wpatrujemy się niepewnie w przepis oraz patelnię z olejem stojącą na palniku. Wszystko w kuchni Paxa aż lśni nowością. Widać, że nigdy z niej nie korzystał i nie wie, jak to robić. Ja nie jestem lepsza.

– No nie wiem – stwierdzam, a olej pryska na wszystkie strony.

Przygląda mu się przez jakąś minutę.

– Myślę, że olej jest za gorący – stwierdza i przykręca gaz. Obtaczamy posiekaną cukinię w mące i kładziemy na patelnię. Skwierczy.

Patrzymy na siebie

– Wygląda dobrze. – Wzrusza ramionami. – Myślę, że jest nieźle.

Potem się do mnie odwraca.

– Na czym to skończyliśmy w sieni?

Łapie mnie za ręce i obraca tyłem do granitowego blatu. Uśmiecham się.

– Wiesz, że w kuchni wyglądasz jak na księżycu?

Unoszę brew, a on się szeroko uśmiecha.

– Myślałem, że kobiety lubią mężczyzn, którzy umieją

gotować?

– Jeśli tak, to znaczy, że miałam pecha – mówię i zbliżam usta do jego warg. Wybuchą śmiechem, który dudni mu w piersi, gdy mnie podnosi i sadza na blacie. Odruchowo oplatom go nogami.

– To jest ich miejsce, pamiętasz?

Kiwam głową.

– Uczysz się!

– O tak, jestem bardzo pojętną uczennicą – zapewniam, a potem szeroko się uśmiecham, bo coś mi przychodzi do głowy. – Pokazać ci?

Zjeżdżam dłonią do jego rozporka i rozpinam jednym zręcznym ruchem.

– Imponujące – droczy się ze mną. – Tylko co dalej? Przecież to już umiesz.

– Może i tak – zgadzam się. – Ale nie wypraktykowałam jeszcze wszystkiego. Każdy dobry uczeń potrzebuje nauczyciela.

Wpatruje się we mnie, gdy się zsuwam z blatu, ściągam mu spodnie, a potem majtki. Następnie przed nim klękam.

Szeroko otwiera oczy.

– Chcesz... – Milknie, gdy go biorę do ręki i przesuwam po nim palcami. Jego penis ożywa, w jednej chwili staje się twardy jak kamień. Uśmiecham się.

– Technikę mam opanowaną, ale każdy ma swoje preferencje, prawda? – Kiwa głową. Wpatruje mi się w oczy, a ja trzymam go mocno w dłoni. – Powiedz mi

dokładnie, jaki seks oralny lubisz.

Zamarł, opiera bezwładnie ręce na moich ramionach.

– Przede wszystkim powtórz to pytanie, ale zamiast słów „seks oralny”, powiedz: „Jak ci obciągnąć fiuta?”. Albo nie. Powiedz „kutasa”. W twoich ustach to będzie kurewsko seksowne.

Uśmiecham się, jest taki zapalczywy. Zachwyca mnie, że jest wielki i wytatuowany, ale ja mogę go dwiema krótkimi sylabami owinąć sobie wokół palca i sprawić, że go zatka. A na dodatek wypowiedzenie tego brzydkiego słowa mnie też nakręci.

– Dobrze, możemy się tak bawić. Jak ci obciągnąć kutasa?

Sztywnieje, na wiele sposobów. Czuję w dłoni, że jeszcze bardziej stwardniał, choć nie wiem, jak to możliwe.

– Zapomniałeś języka w gębie? – drażnię się z nim, a potem się pochylam i liżę od nasady aż do końca. – Bo ja nie.

Drży, gdy krążę językiem wokół główki, zjeżdżam w dół, a potem znów wracam, jakbym lizała lizaka.

– Ty cwaniaro! – mruczy. – Wiesz, co robisz!

– Wiem. Ale powiedz mi, co ty naprawdę lubisz. – Zachęcam go, dotykając znów palcami. – Chcę wiedzieć.

Przełyka ślinę, zamyka oczy i opiera się o blat. Mocno zaciska dłonie na krawędzi. Wpycha się głębiej.

– No dobrze, Kapturku. Chciałbym, żebyś mnie wzięła do ust całego. Do gardła. Jeśli dasz radę. – To

brzmi jak wyzwanie. Mam ochotę się uśmiechnąć, ale się powstrzymuję. On mówi dalej, głos ma zachrypnięty. – Jak będziesz ssała, ściśnij mnie za jajka, ale lekko. Pociągnij je trochę. Trochę! Oprzyj się palcami tuż za nimi i ciągnij. Lekko. – Przeszywa go dreszcz, kiedy robię to, co mówi. Lekko ciągnę za jądra, w kierunku ust.

Centymetr po centymetrze biorę go całego. Dotyka tylnej ścianki gardła, ale się nie dławię. Skupiam się na tym, żeby go nie zadrasnąć zębami.

– Kurwa – jęczy i łapie się mocniej blatu. – Kurwa!

Sprawdzam, czy moje usta przylegają ciasno i dalej ssę, przesuwam, poruszam się na nim. Masuję jądra i lekko ciągnę, a jego oddech staje się coraz szybszy i bardziej urywany.

Sięgam do jąder, które trzymam w dłoni. Zaczynam je ssać.

Napina się cały i bieleją mu kostki u palców.

– Kurwa.

Uśmiecham się i liżę. A potem znów ssę. A potem liżę.

Potem z powrotem biorę do ust jego kutasa. Całego. Tam i z powrotem.

Robię to coraz szybciej, aż łapie mnie za ramiona i odsuwa.

– Zaraz skończę – występuje. – Chcę dojść w tobie.

Ściągam ubranie, a on popycha mnie na czworaka i wchodzi we mnie od tyłu.

Wypełnia mnie całą, wchodzi i wychodzi ostro. Cała

się kołyszę, a on nachyla się nade mną i przysuwa mi usta do ucha.

– Powiedz, żebym rznął ostrzej.

– Rznij mnie ostrzej – mówię posłusznie, z wysiłkiem. Kiedy robi to, co robi, trudno mi sformułować choćby myśl, nie mówiąc już o słowach.

Wsuwa się i wysuwa, a jednocześnie sięga ręką i zaczyna zataczać kółka wokół najwrażliwszej części mnie. Potem przyciska dłoń do mojego brzucha i wchodzi głęboko. Krzyczę, a on całuje mnie między łopatkami.

– Powiedz to jeszcze raz – prosi, nie odrywając ust od moich pleców.

– Rznij mnie ostrzej. – Wydaje mi się, że krzyczę. On mnie ujeżdża od tyłu, a jednocześnie pracuje dłonią, trzymając od dołu. Doprowadza mnie prawie do szaleństwa. – Pax! Boże!

Jęcę, a on prowadzi mnie do orgazmu, który zmiecie mnie z nóg. Czuję, jak we mnie narasta.

– Kończ – mówię. – Chcę poczuć, jak kończysz.

Rusza się jeszcze szybciej i teraz, kiedy jęcę, przeżywając spełnienie, on drży pod wpływem swojego. Łapie mnie za tyłek i przytrzymuje. Dochodzi do końca.

Wtedy padam na podłogę, a on delikatnie kładzie się na mnie. Ciężko dyszy i całuje mnie w bok szyi.

– To było zajebiste. Ty jesteś zajebista.

Uśmiecham się.

– Dziękuję. Ale ty też jesteś niezły.

Śmieje się, a kiedy to robi, ja się rozglądam i widzę dym.

– Co się dzieje?! – Gramolę się spod niego i siadam. – Cholera jasna!

Dym unosi się do sufitu. Podrywam się na nogi, naga, i biegnę do kuchenki. W tej samej chwili włącza się alarm.

Pax rzuca się, żeby go unieszkodliwić, a ja nakrywam płonąca patelnię pokrywką, żeby zdusić ogień.

Kiedy Pax wraca, wpatrujemy się oboje w cukinię. Potem on zaczyna się śmiać.

– Mówiliśmy, że będzie gorąco. No to było. Kuchnia prawie stanęła w płomieniach.

Chichoczę.

– To chyba z powodu naszych marnych umiejętności kulinarnych.

W całym domu śmierdzi, jakby naprawdę coś tu spłonęło. Obchodzę wszystko i pryskam dookoła odświeżaczem powietrza, a Pax wyrzuca spalone resztki do kosza i puszcza na patelnię strumień wody.

– To chyba koniec mojej kariery jako kucharza – ogłasza, gdy go obejmuję od tyłu. – Nie szkodzi. Kucharzy jest dość. Był chyba nawet jakiś nagi. Nie trzeba kolejnego.

Odwraca się i patrzy na mnie.

– Ty zawsze powinnaś być naga – informuje, a potem łapie mnie za biodra i przyciąga do siebie. Całuje mnie lekko i delikatnie. – Zasługujesz na nagrodę.

Odsuwam się troszkę:

– Nagrodę?

Kiwa głową.

– Tak. Za bycie pojętną uczennicą.

Śmieję się.

– A jaka to będzie nagroda?

– Spodoba ci się. Tylko zaczekaj chwilę.

Uśmiecha się i wychodzi z kuchni. Zostaję sama.
Nago.

Ciekawy rozwój wypadków, stwierdzam w myślach i zaczynam sprzątać. Przy okazji zastanawiam się nad różnymi sprawami. Na przykład, jak to dobrze, że biorę pigułki, a testy na choroby weneryczne wyszły Paxowi negatywnie. Fajnie jest nie musieć używać prezerwatyw. Później, gdy się odwracam, żeby opłukać nóż, zauważam rachunek ze szpitala, leżący na blacie. Wczytuję się. To z tamtej nocy, kiedy przedawkował. Dokładnie dwa miesiące temu.

Nie mogę w to uwierzyć. Nie zdawałam sobie sprawy, że minęło już tyle czasu. Całe dwa miesiące. Kto by pomyślał, że tyle razem wytrwamy?

Ale zanim zdołam zagłębić się w dalsze analizy, wraca. Łapie mnie za rękę i prowadzi do łazienki przy pokoju gościnnym.

– Czemu idziemy tutaj? – dopytuję, gdy już wchodzimy do środka.

– Bo w mojej łazience nie ma wanny – wyjaśnia. – A po takim wyczynie zasługujesz na gorącą kąpiel. Nie

mam co prawda jacuzzi, ale wziąłem twój żel pod prysznic. Nie masz nic przeciwko?

Kręcę głową i patrzę na parującą wannę na nóżkach w kształcie lwich łap. Jest pełna piany, a obok wisi złożony ręcznik. Palą się dwie świece. Nie mogę uwierzyć, że o tym pomyślał.

– Dziękuję. – Przytulam go. – Jesteś kochany!

– To tylko kąpiel – mruczy, ale ja cały czas go obejmuję. – Nic takiego.

Jednak tak. Jeszcze nikt nie przygotował dla mnie kąpeli. No, nie licząc mamy, gdy byłam mała.

– To jest najśłodsza rzecz na świecie – zapewniam go i wchodzę do wody. – Uwierz.

Układam się w wannie i zamykam oczy.

– Pomocz się spokojnie – mówi Pax i wychodzi. Odprężam się, rozkoszuję gorącą wodą i wdycham zapach lawendy. Czuję, jak rozluźniają mi się wszystkie mięśnie. Rozczulam się na myśl, że mój wielki, groźny chłopak zrobił mi kąpiel z bąbelkami.

Wchodzi do łazienki akurat w momencie, gdy zaczyna mi się marszczyć skóra na palcach. Włożył majtki, ale klatę ma nadal nagą.

– Cześć – mówi i klęka za mną. Dotyka palcem moich ramion. – Jak było?

Nachyla się i całuje mnie w kark, a ja się w niego wtulam.

– Cudownie. Dziękuję ci! Tego mi było trzeba.

– Powiedzieć ci coś? – szepcze mi do ucha. – Jesteś

najpiękniejszym, co w życiu widziałem. Kocham cię.

Zamieram, serce mi wali. Słyszę w uszach dudnienie swojego tętna.

Podrywam się i chwytam krawędzie wanny.

– Powiedziałaś to, co myślę?

Kiwa głową. Wyjątkowo nie widzę w jego twarzy rozbawienia. Jest zupełnie poważny.

– Kocham cię. Kocham twoją słodycz, niewinność, dobroć. I to, że jednocześnie masz charakterek. Kocham cię za to, jak na mnie patrzysz. Kocham twój uśmiech. Kocham w tobie wszystko.

Zamieram i patrzę na niego wstrząśnięta.

To jest coś. Coś wielkiego. Ja od kilku już tygodni czułam, że go kocham, ale nie chciałam go wystraszyć, więc nic nie mówiłam. On to wyznał pierwszy. Nie wiem, co myśleć. Nie spodziewałam się.

– Nic nie powiesz? – dopytuje. Jest zdenerwowany. Boi się, że go odtrącę. Ściska mi się serce.

– Ja też cię kocham – zapewniam szybko. – Już od tygodni. – Wyłączę z wanny, zalewam przy tym podłogę, ale rzucam mu się w ramiona. Mój impet powala go na ziemię, a ja zawisam nad nim, ociekając wodą. – Kocham cię – powtarzam.

– Widzę – śmieje się i całuje mnie. – Wystarczyłyby słowa. Nie musiałaś mnie nokautować.

Chichoczę.

– Cicho bądź i pocałuj mnie.

I robi to.

Rozdział 20

PAX

Wiem, że teraz się zachowuję jak miękka pizda.

Patrzę na Milę, piękną dziewczynę, którą mam przed sobą i nic nie poradzę. Nigdy nikogo tak nie kochałem. Taka jest prawda. Najdziwniejsze, że ona też mnie kocha. Nie wiem, co o tym myśleć. Ta piękna dziewczyna też mnie chce. Chyba zamarłem i czekam, aż to niechący spierdołę. Ale jeszcze nic nie zrobiłem i ona nadal tu jest.

Całuje mnie teraz, mokrymi po kąpieli ustami, a ja wdycham jej zapach. Przesuwam dłonie po jej mokrych plecach.

– Jesteś pomarszczona jak suszona śliwka – zaczynam się śmiać. Przytrzymuję ręcznik, żeby w niego weszła, a potem zarzucam jej na ramiona. Biorę drugi, żeby ją wytrzeć.

– Jesteś dla mnie za dobry – stwierdza.

– Nie gadaj.

Boże, jestem miękką pizdą.

Biegnie na górę, żeby ubrać się w któryś z moich podkoszulków, a ja palę w kominku. Układamy się na kanapie, przy ogniu, rozmawiamy przez chyba godzinę i patrzymy, jak jezioro faluje pod srebrzystym księżycowym światłem.

– To była idealna randka – mruczy, zwinięta w kłębek na moim kolanie. – Chociaż prawie spaliliśmy twój dom.

– Na szczęście mam ubezpieczenie.

Zaczyna się śmiać, ale w trakcie ziewa. Zawstydzona zakrywa dłonią usta.

– Przepraszam! Ale chyba mnie dzisiaj wymęczyłeś. Idziemy spać?

Kiwam głową, gaszę ogień i idę za nią na górę. Po drodze zdumiewam się, że z nią wszystko jest takie naturalne. Sprawia, że czuję się jak w domu. Z jakiegoś powodu mnie to przeraża. Potrząsam głową, nie myślę o tym.

Układam się za Milą, obejmuję ją ramieniem. Zasypiam z twarzą wtuloną w jej włosy..

Ale potem pojawia się sen.

Kurwa.

Wiem, że to sen, chociaż śnię. Nie mogę się jednak zmusić do przebudzenia. To się powtarza od dwóch miesięcy.

Jestem w jakimś małym, ciasnym miejscu. Panuje prawie całkowita ciemność, ale słyszę mamę.

– Proszę. Proszę. Proszę – błaga.

Czyżby błagała mnie?!

Nie wiem i to mnie wykańcza.

Próbuję ją zawołać, ale usta mam sparaliżowane. Boję się odezwać.

Czego się boję? Co się stanie, gdy wydam dźwięk?

Nie wiem, tego też.

Ona znów błaga.

Słyszę moje imię.

I wtedy się budzę, głośno łapiąc oddech.

– Pax! – Mila mną potrząsa. To ona wypowiedziała moje imię. Wyrwała mnie ze snu.

Siadam i próbuję uspokoić rozszalałe serce, głęboko wciągając powietrze. Co się dzieje? – Spociałeś się. – Chłodną dłonią odgarnia mi włosy z czoła. – Znowu ten sen?

Kiwam głową.

– Kurwa, nie wiem.

Głaszczcie mnie po plecach i ciągnie do pozycji leżącej. Splata palce z moimi i podnosi moją dłoń do ust. Całuje bliznę przy kciuku, a potem układa nasze ręce przy mojej piersi.

– Musimy się dowiedzieć, o co w tym chodzi – mówi cicho.

– Wiem. Ale na pewno nie dzisiaj. Śpij dalej. Przepraszam, że cię obudziłem.

– Nie przepraszaj. Po prostu trudno mi znieść, że się tak męczysz.

Wtula się w moje plecy i gładzi mnie po ręce, ale bardzo szybko jej palce zamierają bezwładnie, a oddech staje się równy i spokojny. Zasnęła.

Zatracam się w ciepłe jej ciało i też próbuję zasnąć. Liczę owce. Recytuję w głowie teksty piosenek. Patrzę na księżyc. Nic nie działa.

– Kurwa – mruczę. Ostrożnie wychodzę z łóżka, żeby nie obudzić Mili. Sprawdzam, ale nawet nie drgnęła. Przy każdym oddechu lekko wydyma usta. Uśmiecham się, nim wyjdę.

W domu jest cicho; schodzę do kuchni. Nie wiem, co jest ze mną nie tak. Może moje ciało pozbywa się twardych prochów? Ale nie, przecież od dwóch miesięcy nie przyjmowałem nic oprócz whisky.

Whisky!

To jest myśl. Kiedy, jak nie teraz?

Biorę z szafki butelkę i szklanę. Po namyśle zostawiam szklanę. Zabieram butelkę na kanapę, opadam ciężko i patrzę na wodę oświetloną przez księżyc. Piję łyk jacka. Potem drugi. I trzeci.

Zanim się spostrzegę, nie ma połowy butelki.

Wreszcie robię się śpiący.

Zamykam oczy.

Gdy się budzę, salon zalany jest światłem.

Mila siedzi na podłodze przy moich stopach. Wygląda świeżo i idealnie. Już się ubrała i uczesała, włosy ma spięte gumką. Trzyma filiżankę kawy. Druga stoi przed nami, na otomanie.

– Zrobiłam ci kawę. – Zerka na opróżnioną do połowy butelkę whisky. – Pomyślałam, że ci się przyda.

Zaciskam powieki, żeby zablokować światło.

– Dzięki – mamroczę. – Nie mogłem zasnąć. Pomyślałem, że whisky pomoże.

– Twoja głowa na pewno doceni – odpowiada oschle.

Warczę coś niewyraźnie i zakrywam głowę wielką poduszką

– Co doktor Tyler myśli o tych snach? – pyta poważnie. – Musi mieć jakąś koncepcję.

Leżę cicho i staram się siłą woli zmusić głowę, żeby przestała boleć. Nie działa. Przeciwnie, zdaje mi się, że pęknie na dwoje.

– Chce mnie zahipnotyzować – przyznaję w końcu i odrzucam poduszkę na podłogę. – Uważa, że mój umysł chroni mnie przed przypomnieniem sobie czegoś, czego nie chcę pamiętać. Mówi, że dzięki hipnozie mogę sobie to przypomnieć i jakoś się z tym uporać.

Miła się chwilę zastanawia. Boję się, że wybuchnie śmiechem, ale tylko kiwa głową.

– To może być dobry pomysł. Powinieneś się zgodzić. Mogę pójść z tobą?

Patrzę na nią i nie mogę uwierzyć.

– Chciałabyś?

Kiwa głową.

– No pewnie! Nie chcę, żebyś przechodził przez to sam. Jeśli coś skrzywdziło cię aż tak, że musisz o tym zapomnieć, pomogę ci. Musimy przegonić te sny.

Moje serce unosi się w powietrzu, przepełnione miłością do tej dziewczyny.

I nie obchodzi mnie, czy zachowuję się jak pizda.

MILA

Odkąd Pax odebrał mnie ze sklepu, nie wypowiedział ani słowa. Dzisiaj podda się hipnozie i wiem, że nie jest z tego powodu szczęśliwy. Prowadzi z zaciśniętymi zębami i chmurnym spojrzeniem. Wyciągam rękę i łapię go za przegub.

– Wszystko dobrze? – pytam łagodnie. Patrzy na mnie.

– Przepraszam. Ostatnio marny ze mnie towarzysz.

– Nie wysypiasz się – zauważam. – To wystarczy, żeby człowiek zachowywał się jak zgred. Ale chodzi mi o to, czy teraz wszystko dobrze. Jedziemy do doktora Tylera. Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy z tobą poszła?

Stresuję się. Martwię się, że z tego powodu jest zły. Bo chciałam pójść. Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale czuję, że Pax jest moją sprawą. I wykańcza mnie myśl, że coś aż tak go dręczy. Chciałabym już wiedzieć, co to takiego, żebyśmy mogli się z tym uporać.

Znowu na mnie patrzy.

– Jasne, że nie! Po prostu nie wiem, czego się

spodziewać. W czasie dwóch ostatnich wizyt przyzwyczajał mnie do stanu hipnozy, ale dzisiaj będzie inaczej. Wprowadzi mnie w ten stan całkiem i zdaje się, że nie będę świadomy, co się wokół mnie dzieje. Jeśli się uda, totalnie się pogrążę we wspomnieniach, więc musisz mi potem powiedzieć, czy nie kazał mi udawać kaczkę albo czegoś w tym stylu.

Śmieję się i kręcę głową.

– Jestem pewna, że tego nie zrobi. Zdaje mi się, że on się ostatnio śmiał w 1985 roku.

W końcu wybucha śmiechem, a ja oddycham z ulgą.

– Pewnie masz rację – przyznaje i wjeżdża na krawężnik. – Chyba nie rozpoznałby żartu, nawet jakby nim dostał w twarz.

Wychodzimy z auta i w śniegu brniemy do budynku. Nie dość, że doktor Tyler nie ma poczucia humoru, to nie lubi odśnieżać. Ale przychodzi na czas i wita nas ubrany w tę co zawsze tweedową marynarkę.

– Jak miło cię widzieć, Milo – mówi i ściska moją rękę. – Kopę lat! Co u ciebie?

Uśmiecham się i kiwam głową.

– Wszystko dobrze, dziękuję...

– Pax, a ty? – zwraca się do niego. – Jak samopoczucie?

– Jestem sfrustrowany – przyznaje Pax przez zaciśnięte zęby. – Znowu nie spałem.

– W takim razie sprawdzimy, co uda nam się zrobić w tej sprawie – odpowiada łagodnie doktor i otwiera notes.

– Czy zgadzasz się na nagranie tej sesji, na wypadek, gdybyśmy chcieli do niej później wrócić?

Kiwa głową.

– Dobrze, niech będzie.

Doktor się uśmiecha.

– Świetnie. Tak, jak mówiłem w zeszłym tygodniu, Mila nie może przebywać z nami w gabinecie, bo mogłaby cię rozpraszać. Zaprosimy ją do pokoju obok, gdzie będzie mogła wszystko obserwować na ekranie, dobrze?

Pax znów kiwa głową, a ja wspinam się na palce i całuję go w policzek.

– Będzie dobrze – mówię mocno i ściskam go za rękę. Uśmiecha się, żeby zamaskować zdenerwowanie.

– Dzięki, Kapturku. Miej oko na sztuczki. – Doktor Tyler udaje, że nie słyszy. Potem wyprowadza mnie z gabinetu, wskazując miejsce w pokoju obok. Stawiam butelkę z wodą na stoliku i obserwuję na monitorze, jak Pax i doktor zajmują miejsca. Pax rozsiada się jak to zwykle on, a doktor nobliwie zakłada nogę na nogę, na kolanach kładąc notatnik.

– Jesteś gotowy?

Pax kiwa głową. Wpatruje się w czerwone światełko oznaczające, że nagrywanie się rozpoczęło, a ja czuję, jakby patrzył mi w oczy. Chociaż stara się to ukryć, widzę na jego twarzy niepokój. Chciałabym siedzieć obok niego i trzymać go za rękę, wesprzeć jakoś, ale to niemożliwe. Zostaję zatem na swoim krześle i patrzę,

wykręcając palce.

– Tak, jak poprzednio, poprowadzę cię teraz przez obrazy znajdujące się w twojej głowie, używając komend i powtórzeń. Pod tym względem nic się nie zmieni, tyle że dziś zapuścimy się nieco dalej. Odpręż się i oddychaj głęboko. Dasz radę?

Pax kiwa głową.

– Dobrze się czuję. – Wspiera głowę na oparciu fotela i poprawia nogi.

– Świetnie. Zamknij teraz oczy i oddychaj głęboko. Głęboki wdech i głęboki wydech. Niech powietrze wpada przez wargi i owiewa twój język, tak, jakbyś oddychał przez rurkę. Wdech, wydech. Głębokie oddechy. Pomyśl o sytuacji, kiedy zasiedziałeś się do późna w nocy i byłeś bardzo zmęczony. Teraz też jesteś zmęczony. Twoje powieki robią się coraz cięższe i chce ci się spać. – Doktor mówi łagodnie i melodyjnie, nawet ja się robię senna. Aż dziwne. – Jeszcze kilka głębokich wdechów. Jesteś zmęczony, bardzo zmęczony. – Milknie i spogląda na Paxa. – Jesteś zmęczony?

Pax kiwa głową.

– Tak.

– Dobrze. Teraz pomyśl o miejscu, które ci się śni. Jest tam ciemno. Przypomnij sobie, jak się tam znalazłeś. Gdy sobie przypomnisz, opowiesz o tym głośno, żebym słyszał. Jesteś tam?

Patrzę na Paxa. Jest tak rozluźniony, że ma trochę otwarte usta. Zamknął oczy, ale widzę, że pod

powiekami ruszają mu się gałki oczne. Chciałabym móc wiedzieć to co on.

– Idę korytarzem. – Głos ma tak nienaturalny i odzywa się tak nagle, że aż podskakuję. Mówi monotonie. Nie brzmi jak on. Obserwuję go z niezdrowym zainteresowaniem. – Na podłodze są plamy słonecznego światła. Widzę unoszące się drobinki kurzu.

– Dobrze – chwali doktor Tyler. – Świetnie ci idzie. Co jeszcze widzisz?

– Przechodzę nad zabawką, wywrotką załadowaną klockami. Prawie się potykam o dywan. Na ścianach wiszą obrazy. To mój dom.

– Dobrze. Przyjemnie wrócić do domu? – pyta doktor Tyler. Jestem pochłonięta obserwowaniem tego procesu. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłam. To niebywałe.

– Nie. Słyszę jakiś hałas. Straszny. – Pax brzmi niemal jak siedmioletnie dziecko.

Chwyta za podłokietnik i wbija palce w niebieskie obicie.

– Wszystko jest dobrze. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Tutaj będziesz bezpieczny. Wsłuchaj się. Co to za dźwięk, którego się boisz?

Pax milknie i wydaje się, że nasłuchuje.

– Moja mama płacze. Nigdy wcześniej nie słyszałem jej płaczu, więc się boję. Biegnę korytarzem do jej sypialni. Ale drzwi są zamknięte.

Doktor Tyler coś notuje, a potem podnosi wzrok. Jest równie zafascynowany jak ja.

– Możesz otworzyć drzwi? Pamiętaj, że tutaj nikt nie zrobi ci krzywdy.

– Dobrze. – Pax się denerwuje. – Otwieram drzwi.

– Co widzisz? – pyta doktor szybko.

– Mama siedzi na łóżku, ma podartą bluzkę. Z nosa leci jej krew, skapuje na ubranie. Obok niej stoi facet. Przyciska jej do boku pistolet. Ma żółte zęby.

Doktor zamiera.

– Widzą cię?

– Tak – odpowiada Pax dziwnie monotonnym tonem.

– Mama krzyczy, żebym uciekał. I mówi: „Zostaw go!”. Ale facet mnie chwytą. Trzyma mnie za rękę tak mocno, że tracę czucie. Nie mogę się ruszać. Nie mogę biec.

– Czy on się do ciebie odzywa? – pyta ostrożnie doktor.

– Tak. Mówi: „I co, gówniarzu? Zmusisz mamę, żeby się zachowywała? Żeby była grzeczną dziewczynką?” – Przez chwilę milczy. Nawet noga, którą stukał w krzesło, zamiera. Przelyka ślinę. – Chcę mu powiedzieć, że mama jest grzeczna, ale wiem, że on jest zły, więc się nie odzywam. Mama dalej płacze, po twarzy płynie jej coś czarnego.

To tusz do rzęs, myślę. Aż trudno uwierzyć, że widzi takie szczegóły. Kim jest ten mężczyzna?

Żółte zęby...

– Co mówi twoja mama? – W cichym pokoju nawet

stłumiony głos doktora wydaje się bardzo głośny. Byłoby słycać, gdyby upadła igła. Ponieważ jestem sama i sparaliżowana, u mnie jest jeszcze ciszej. Wydaje mi się, że słyszę bicie swojego serca.

– Mówi: „Zostaw go. Proszę. Zrobię wszystko, tylko nie rób mu krzywdy”. Mężczyzna jest brzydki i ma cuchnący oddech. Pyta: „Wszystko? Więc będziesz teraz grzeczna?”.

Serce mi wali tak mocno, że niemal boli. Czego on chce od mamy Paxa? Prawie nie chcę wiedzieć i czuję, jak w piersi narasta mi panika.

– Mama kiwa głową i mówi: „Puść mojego syna. Nie chcę, żeby patrzył”. Jest smutna, ale on się tylko śmieje, szarpie mnie za rękę i wpycha do szafy. Klękam, ale nadal dużo widzę przez listewki.

Boże, nie. Chcę krzyknąć do tamtego małego chłopca, żeby odwrócił wzrok i nie patrzył, cokolwiek się tam wydarzy, ale to niemożliwe. Cokolwiek zobaczy, to go naznaczy na zawsze. Ręce mi się trzęsą.

Doktor Tyler głośno przełyka ślinę. Nawet ja to słyszę. Wyszło mu w ustach. On pewnie też wcale nie chce tego usłyszeć.

– Co robi ten mężczyzna? Widzisz to?

Pax powoli kiwa głową, wciąż zaciska ręce na podłokietnikach.

– Rozpina rozporek i spodnie spadają na podłogę. Na biodrze ma tatuaż. Czarnego zwiniętego węża. I napis: „Nie zadzieraj ze mną”. Teraz trzyma pistolet przy

głowie mamy. Mówi: „Zrób to. Albo na twoich oczach odstrzelę ci synalka”.

Matko boska.

Boże nie, błagam.

Jestem zdruzgotana, krew mi tężeje w żyłach. Chcę podbiec do Paxa, przytulić go, przerwać rozwój wypadków, ale wiem, nie mogę. Bo dopóki sobie nie przypomni, nie pomożemy mu. Mówi dalej, a ja łapię się krawędzi biurka. Robi mi się niedobrze i łyzy kapią mi na koszulkę.

– Co się dzieje teraz? – pyta doktor cicho. – Pamiętaj, że jesteś bezpieczny. Ten człowiek nie może ci zrobić krzywdy.

– Stoi do mnie tyłem, więc nie widzę dobrze mamy, ale wiem, że ciągle tam jest. Widzę, że się rusza. Podnosi głowę, a potem opuszcza. Podnosi i opuszcza. Cały czas płacze, podskakują jej ramiona. On wali ją w twarz, mocno. „Przestań płakać, suko. Obciążanie jeszcze nikogo nie zabiło”. – Łzy mi płyną po twarzy. Nie mogę uwierzyć, że Pax to widział. Musiał być przerażony. Pęka mi serce i za wszelką cenę chcę mu pomoc. Ale jak można pomóc komuś, kto coś takiego zobaczył? – Nikt nigdy nie zrobił mamie krzywdy i chcę pomóc. Ale się boję. Jestem sam w domu. Tata jest w pracy, ale wiem, że chciałby, żebym był odważny. Jestem jego małym mężczyzną. Powinienem pilnować domu, gdy go nie ma. Wstaję i wybiegam z szafy. Rzucam się na tego mężczyznę, a on się odwraca, bo go łapię za rękę.

Pistolet jest metalowy i zimny. Czuję go w palcach, a potem rozlega się huk, od którego aż mi dzwoni w uszach. Mama pada na łóżko, jest dużo krwi.

Jestem całkiem sparaliżowana.

O mój Boże.

O mój Boże.

Czy Pax pociągnął za spust?

O mój Boże.

– Mężczyzna krzyczy: „Coś ty kurwa zrobił?!”. Potrzęsa mną. Potem krzyczy dalej: „Zabiłeś swoją matkę!” Mama się nie rusza, ale oczy ma otwarte. Patrzy na mnie. Ale nie widzi. On ma rację. Zabiłem mamę.

Szeroko otwieram oczy. Za wszelką cenę chcę wbiec do ich pokoju i przytulić Paxa. Ma załzawione oczy i wreszcie łza spływa po jego policzku. Chcę do niego iść, a doktor Tyler chyba o tym wie, bo się odwraca i mówi do kamery, czyli do mnie:

– Musimy wiedzieć. – Jest spokojny.

Kurwa.

Siedzę na krawędzi krzesła, przyciskam pięść do ust.

– Co się dzieje dalej? Pamiętaj, że jesteś bezpieczny. Już nie może ci zrobić krzywdy.

– Płaczę, a on mnie wali w twarz. Znowu krzyczy: „Ty pierdolony gówniarzu! Nie tak miało być! Ty smarkaczu! Nie pójde za to do pierdla. Nie ma mowy. Dopilnuję tego!”. Łapie mnie za szyję i popycha na łóżko, obok mamy. Patrę w dół i widzę jej krew na moim ubraniu. Biorę ją za rękę i trzymam. On każe mi

zamknąć oczy. Słyszę kliknięcie pistoletu. Mocniej zaciskam powieki. Ale nic się nie dzieje. – Zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Niemożliwe. To się nie mogło wydarzyć. To nierzeczywiste, aż groteskowe, Nic dziwnego, że Pax ma problem. Nic kurwa dziwnego! Beznamiętnie słucham, jak doktor pyta, co było potem. – On mówi, że nie może zabić dziecka. Nie da rady. Bierze mnie za rękę i mocno trzyma. Ścisza, ale ja już nie mogę krzyczeć. Wyciąga ze spodni wielki nóż i nacina mi skórę. Robi znak X. Potem macza ostrze w krwi mamy i mówi: „Przysięgnij na krew swojej matki, że nigdy nikomu nie powiesz, jak wyglądam. Pamiętaj, że cię naznaczyłem. Zawsze cię znajdę. Zawsze i wszędzie. Jeśli komukolwiek powiesz, jak wyglądam, zabiję cię tak jak ją”. A potem dodaje: „To ty ją zabiłeś. Ciebie też zabiorą. A źli ludzie w więzieniu robią brzydkie rzeczy małym chłopcom, którzy zabili swoje matki. Będą ci je robili całymi dniami, codziennie”.

Łzy płyną mu teraz strumieniami. Jest siedmioletnim chłopcem z tego wspomnienia. Wszystko mnie boli, dosłownie. Patrzę na doktora i czuję smak swoich łez.

– Proszę – zaklinam – zabierz go stamtąd.

Wiem, że on mnie nie słyszy, ale nie mogę się powstrzymać. Robię to dla Paxa. Dla tego małego chłopca, który nie powinien już dłużej patrzeć.

Doktor w końcu kiwa głową. Widocznie doszedł do tego samego wniosku.

– Jesteś bezpieczny, Pax. Kiedy ci powiem, żebyś się

obudził, obudzisz się. I będziesz pamiętał wszystko, co mi dzisiaj powiedziałeś. Rozumiesz? – Pax kiwa głową.
– Obudź się.

Otwiera oczy i patrzy na mnie przez kamerę. Jest przerażony jak nigdy wcześniej i mam nadzieję, że już nie zobaczę takiego strachu. Podrywam się i wpadam do ich pokoju. Klękam obok niego, głaszczę go po plecach, ściskam za ramiona, przytulam mocno.

Mężczyzna z żółtymi zębami przestraszył go na tyle różnych sposobów. Nie musiał nacinać mu skóry, żeby to zrobić. Już i tak na zawsze naznaczył jego serce. Nie wiem, czy Pax kiedykolwiek zdoła się z tym uporać.

Na myśl o tym zaczynam płakać.

– Wszystko w porządku? – szepczę i zmuszam go, żeby na mnie popatrzył. To idiotyczne pytanie. Oczywiście, że nic nie jest w porządku.

Patrzy na mnie.

– Nie wiem – odpowiada szczerze. – Po prostu nie wiem.

Rozdział 21

PAX

Nic nie czuję. Zamarłem. Patrzę, jak doktor wypisuje kolejną receptę na xanax i wręcza ją Mili. Ma ją zrealizować, gdyby zaszła potrzeba. Doktor mówi też, że nie powinienem być sam, a ona się z nim zgadza. Obiecuje, że mnie nie zostawi.

Nie rozumiem dlaczego. Po tym, co dzisiaj usłyszała? Zawsze jej mówiłem, że jestem pojebany. Ale to... Tego nawet ja się nie spodziewałem.

Doktor spędził ze mną jeszcze godzinę po tym, jak się obudziłem, ale nie pamiętam nic z tego, co mówił. Tylko słowa, dźwięki, hałas. Szum. To i tak nie ma znaczenia. Nic, co mógłby powiedzieć, mi nie pomoże. Pewnie on też o tym wie.

Mila chwyta mnie za rękę.

– Gotowy?

Kiwam głową i w milczeniu idziemy do samochodu. Przesuwam nogi, jakby były z drewna.

– Mam prowadzić? – pyta Mila i podnosi na mnie wzrok.

– Dam radę. – Jak automat otwieram przed nią drzwi. Działam na autopilocie. Poruszam się, ale nic nie czuję. Mila wsiada i znów na mnie patrzy. Nie wiem, czego oczekuje. Zamykam drzwi.

Ja też wsiadam i na sekundę nieruchomieję. Patrzę na śnieg przed nami. Wszystko mi się rozmazuje. Ruch, kształty. Kolory, które zlewają się w jeden. Nic nie ma sensu.

– Pax – szepcze Mila. Czuję, że wyczekująco na mnie patrzy. Na co czeka? Nie pytam. Nachyla się i przytula mnie. Obejmuje, chowa twarz w mojej szyi. Nie czuję jej ciepła. Jestem zbyt zubożona. – Wszystko będzie dobrze – mówi w końcu i się odsuwa. Ociera łzy, a ja się zastanawiam, czemu nie płaczę. Przecież to powinna być moja działka. Ale ja nie mam uczuć. Nic nie czuję.

Zapalam silnik i jedziemy, a cisza się między nami rozciąga. Wpatruję się w drogę przed sobą, ale nie mogę się skupić. Jestem równie zubożona na wszystko, jak po tym, gdy wskoczyłem za Milą do jeziora. Moje serce jest jak bryła lodu: zlodowaciałe, spętane.

– Pax – mruczy i patrzy na mnie. Czuję jej spojrzenie, łagodność. Ale nie chcę tego widzieć, więc nie patrzę. Nie zasługuję na to. Nie zasługuję na jej dobro.

– Powinniśmy porozmawiać – przekonuje łagodnie, ale stanowczo.

Kładzie mi dłoń na nodze. Palce ma zimne. Normalnie wziąłbym ją za rękę i zamknął w mojej, żeby ją rozgrzać. Ale nie teraz. Nie mogę jej dotykać tymi samymi rękami, którymi zabiłem moją matkę. Zaciskam palce na kierownicy i patrzę na bliznę. Jest poszarpana i głęboka, krawędzie ma zbielełe.

„Pamiętaj, że cię naznaczyłem”.

Widzę w głowie mężczyznę z żółtymi zębami, który namaszcza ranę krwią mojej matki. Mam jej krew na dłoniach, dosłownie. Wżarła się na zawsze w moją skórę. „Naznaczyłem cię”.

Przełykam ślinę.

– Zabiłem moją matkę. Nie ma nic więcej do powiedzenia. W tych snach myślałem, że ona mnie o coś błaga. Ale nie. Ona błagała o mnie. O moje życie.

Mam wrażenie, że samochód się kurczy i nagle robi mi się potwornie gorąco. Oddycham głęboko, wciągam powietrze. Biały śnieg i białe niebo wirują przede mną i przestają widzieć wyraźnie. Zatrzymuję się i otwieram okno. Potem wpatruję się gdzieś daleko przed siebie i staram się opanować. Serce, oddech i myśli.

Mila milczy.

Widzę, że nie wie, co robić.

– Posłuchaj – podejmuje próbę. – Jest mnóstwo do powiedzenia. To nie była twoja wina. To on miał broń, to on ją zmuszał do czegoś potwornego. To nie ty zrobiłeś. Kocham cię. Zrobię wszystko, o co poprosisz. Tylko powiedz. Przejdziemy przez to.

Jej słowa cichną, a ja wpatruję się w cichą, zimową okolicę.

Nie mogę uwierzyć, że świat w dalszym ciągu działa tak samo jak rano. Jakby się nic nie stało. Kruki siedzą na pobliskim drzewie i słyszę, jak kraczą. Przez moment się zastanawiam, dlaczego nie odleciały na południe, ale potem stwierdzam, że mam to w dupie. Śnieg zasypuje szosę i w oddali widzę zbliżającą się pługopiaskarkę. Jej żółte światła migają w śnieżnej brei. Zakutani w ciepłe ubrania ludzie idą chodnikami i kulą się pod podmuchami zimnego wiatru. Wszystko jest zimne. Dzień, wiatr i klucha, którą mam w gardle.

Przełykam ślinę, ale nie chce przejść niżej.

Kręcę głową, zapalam silnik i jadę do domu. Szosa miga jak szara smuga.

Gdy opony chrzęszczą na żwirze mojego podjazdu, odwracam się do Mili.

– Nie będę dzisiaj dobrym towarzyszem. Chyba lepiej, żebym został sam.

Kręci głową.

– Nie ma mowy. Nie będę ci zawracać głowy, ale doktor powiedział, że mam cię nie zostawiać. Rób, co tam sobie chcesz. Analizuj, myśl, ale ja zostaję. Pojadę jeszcze tylko do apteki i zaraz wracam.

Kiwam głową i wchodzę do domu. Nie oglądam się za siebie, ale czuję, że Mila na mnie patrzy.

Staję bezradnie pośrodku salonu. Nie wiem, co robić. Nie wiem, jak się za to zabrać. Jak można się za coś

takiego zabrać?

Nagle przychodzi mi do głowy ojciec i bezwład znika, zastępuje go furia.

Wiedział o tym. Wiedział przez wszystkie te lata i nic mi nie powiedział. Pozwolił mi stłumić te wspomnienia. A przecież wiedział, co ze mną robią.

Teraz wszystko nabiera sensu. Nic dziwnego, że po śmierci mamy tak długo siedział w pracy. Nie chciał na mnie patrzeć. Jak miałyby mi spoglądać w oczy, wiedząc, że zabiłem jego żonę? A nawet, jeśli nie wiedział, jaką dokładnie odegrałem rolę, pamiętał, że jej nie ocaliłem.

Przecież byłem dzieckiem. Racjonalny umysł podpowiada, że Mila ma rację. To nie była moja wina. Ale ja tam byłem. Moja ręka potrafiła pistolet tego mężczyzny. I to mój ojciec pozwolił mi żyć przez te wszystkie lata w nieświadomości.

Łapię za słuchawkę stacjonarnego telefonu i wybieram jego numer, ale on, oczywiście, nie odbiera. Nagrywam mu się na sekretarce:

– Wiem, co się stało z mamą – mówię lodowato. – Zadzwoń.

Rozłączam się i ciskam telefonem o ścianę. Rozpada się na kawałki. Będzie musiał oddzwonić na komórkę.

Zalewająca mnie nienawiść do siebie miesza się z gniewem do ojca. W jednej chwili targają mną takie emocje, że nie wiem, co z nimi począć. Przytłaczają mnie. I bolą.

Idę do kuchni i łapię butelkę whisky. Zerkam do

kredensu i widzę jeszcze dwie. Dzięki Bogu, że kiedyś tam zrobiłem zapas. Wypijam kilka porcji, a potem jeszcze parę. Na szczęście po chwili ogarnia mnie znajome otumanienie, łagodne odrętwienie, które tak lubię. Tylko że to nie wystarczy.

Wciąż boli.

Pierdolić to!

Pędzę na górę po dwa stopnie, przebieram się w dres i wkładam buty do biegania. Bez namysłu wychodzę tylnymi drzwiami i ruszam na plażę. Zamarznięty piasek jest nierówny i boleśnie wbija mi się w podbicie stóp.

Nieważne. Zasłużyłem.

Biegnę szybko, a lodowate powietrze rozrywa mi płuca.

Nieważne. Zasłużyłem.

Jezioro się burzy i atakuje brzeg po mojej prawej, a moje stopy wściekle ubijają zamarzniętą plażę. Wiatr od wody jest lodowaty i wilgotny, a ja go wdycham, wciągając w głąb równie zlodowaciałego ciała. Krople przesywająco zimnej wody uderzają mnie w twarz i opadają mi na bluzę, żeby tam zastygnąć.

Patrzę przed siebie, nie widzę umykającej spod stóp plaży. Nie wiem nawet, jak daleko dotarłem i zatrzymuję się dopiero, gdy nie mogę już oddychać. Pieprzone płuca boją, a w gardle wciąż mam tę kluchę, tak ciasno zakleszczoną, że ani przełykanie śliny, ani bieg, ani dyszenie nie ruszają jej z miejsca.

– Kurwa!

Odwracam się i wrzeszczę w stronę jeziora najgłośniej jak potrafię. Krzyk wprawia w wibracje moje obolałe od zimna struny głosowe.

Ale mam to gdzieś. Zasługuję na to. Krzyczę jeszcze raz i jeszcze, aż jestem całkiem zachrypnięty. Wtedy opadam na piasek, opieram się o wielki kawał drewna wyrzuconego przez wodę. Jestem bezwładny i wyczerpany. Czoło mam spocone, nie wiem jakim cudem, bo przecież jest zimno. Od lodowatego wiatru mam dreszcze.

Ale nieważne.

Zasługuję na to.

Zasługuję, żeby dostać zapalenia płuc i umrzeć tu na zimnie.

Patrzę w jezioro i usiłuję wyłączyć racjonalne myśli, logikę, wspomnienia i emocje. Nie wiem, jak długo tam leżę ani ile mija czasu, zanim dostrzegam, że ktoś idzie plażą. Widzę błysk czerwieni i długi płaszcz.

Miła.

Kołnierz czerwonego golfu jest ledwie widoczny spomiędzy rozchylającego się ciężkiego płaszcza. Prze naprzód, skulona pod naporem wiatru. Wiem, kiedy mnie zauważy, bo nagle przyśpiesza i dosłownie po chwili jest obok mnie.

– Pax! – krzyczy. – O mój Boże! Coś ty sobie myślał? Jest zimno! Dostaniesz zapalenia płuc!

Patrzę na nią. To strasznie dziwne, ale ja po prostu mam wszystko w dupie. Mogę dostać i zapalenia płuc. W

ogóle bym się nie przejął.

Nachyla się, łapie mnie za rękę i ciągnie do pozycji stojącej.

– Chodź – mówi. – Wracamy do domu. Nawet nie włożyłeś kurtki! – To też mam gdzieś. Ale nie mówię jej tego. Pozwalam się zaprowadzić do domu, a potem schodami na górę, do kuchni. – Jesteś całkiem przemarznięty. – Minę ma poważną. Zdejmuje płaszcz i rzuca na krzesło. – Zrobię ci gorącą kąpiel. Musisz się rozgrzać.

Znika w korytarzu, a ja siedzę tak, jak mnie zostawiła.

Nic się nie liczy.

Już nie.

Wiem, czym była ta pustka, którą zawsze odczuwałem. To było to. Ta potworna świadomość. Chociaż mój umysł wszystko ukrywał, spychał gdzieś w głąb, w odosobnione miejsce, ja wiedziałem. Dlatego zawsze czułem się jak wydrażony i szukałem zapomnienia.

Ale pustka zniknęła. Wypełnia ją teraz obezwładniający ból i poczucie winy. Nie wiem, co z tym zrobić. Czuję, jakby mnie coś ciągnęło w dół.

Mila wraca i chyba jest zaskoczona, że nawet nie drgnąłem. Patrzy na mnie niepewnie, w oczach ma łzy. Nic nie mówi. Łapie mnie za rękę i ciągnie do łazienki. Ściąga ze mnie ubranie i rzuca na kupkę.

– Wskakuj – poleca stanowczo. – Masz czerwoną skórę. – Posłusznie wchodzę do wanny, chociaż nie

kapałem się od dzieciństwa. Od gorącej wody czuję miliony igiełek wbijających mi się w ręce i w nogi, ale mam to gdzieś. Siadam w wannie, zamykam oczy i wypieram wszystko. – Pax? – zaczyna Mila. Ale potem zmienia zdanie. – Nieważne. Zajrzę do ciebie niedługo. Mam twój lek, ale wypiełeś tyle whisky, że chyba nie powinienes go łykać.

Nic nie mówię.

Gdy chwilę później otwieram oczy, już jej nie ma. Znów zamykam oczy.

Problem w tym, że kiedy je zamykam, widzę jej twarz. Twarz mojej matki.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Jest martwa. Ja to zrobiłem. To przeze mnie. Ten facet nie zamierzał jej zabić, ja spowodowałem pociągnięcie spustu, kiedy na niego wpadłem.

Wszystko moja wina.

Czuję rozdzierający ból. Podrywam się i walę w wyłożoną kafelkami ścianę. Nie czuję bólu w dłoni, ból w piersi przysłania wszystko. Łapię ręcznik i się wycieram. Wkładam majtki.

Muszę coś zrobić.

Nie mogę tak żyć.

MILA

Pax siedzi w wannie, a ja wstawiam wodę na herbatę.

Dzwoni jego komórka leżąca na blacie. Zerkam na wyświetlacz. Paul Tate. Niepewnie po nią sięgam. Powinnam odebrać? Intuicja mi podpowiada, że tak.

– Halo? – mówię niepewnie.

– Dzień dobry. – Paul Tate jest zaskoczony. – Czy mogę rozmawiać z Paxem? Mówi jego ojciec.

– Chwileczkę – odpowiadam. Chcę mu powiedzieć o wiele więcej, ale się powstrzymuję. Idę po schodach do łazienki i otwieram drzwi, ale jest pusto. Wanna jest wciąż pełna wody, ale Paxa w niej nie ma.

Cholera.

– Nie ma go tu, gdzie podejrzewałam – informuję jego ojca. – Muszę go poszukać.

Zaczynam schodzić po schodach, ale Paul mi przerywa.

– Proszę zaczekać. Jak on się czuje? Zostawił mi wiadomość. Twierdzi, że pamięta, co się stało z jego matką.

Robię się wściekła. Przez lata trzymał tę wiedzę ukrytą przed Paxem. Musiał wiedzieć, że w którymś momencie wypłynie na powierzchnię. Nie obchodziło go to? Nie interesowało go, jak to się odbija na Paksie?

– A jak pan myśli? – pytam lodowato. – Czuje się źle. Nikt by się nie czuł po czymś takim dobrze.

Po drugiej stronie słyszę głębokie westchnienie.

– Zawsze się bałem tego dnia – przyznaje Paul. Jest zamyślony i smutny, słyszę to w jego głosie. – Ale nie wiedziałem, jak temu zapobiec.

– Nie można temu zapobiec! – Dziwię się jego podejściu. – Zobaczył coś wstrząsającego i dramatycznego. Powinien był to przerobić wiele lat temu przy pomocy terapeuty. Niewybaczalne, że pozwolił mu pan to stłumić. Nie znam pana i przykro mi, że pana oceniam, ale znam Paxa. Nie zasłużył na to. Na nic, co go spotyka.

Zapada długa cisza. W końcu Paul znów się odzywa.

– Nie rozumie pani. Po śmierci Susanny Pax nie chciał o tym mówić. Zatrudniłem terapeutę, ale z nim też nie rozmawiał. Miał koszmary senne, ale nigdy nie chciał powiedzieć, czego dotyczyły. Nie mogłem mu pomóc, bo mi nie pozwalał.

– Nie mówił o tym, bo mężczyzna, który zabił pańską żonę, go zastraszył. Wmówił mu, że jeśli komukolwiek powie, on znajdzie go i zabije. Albo Pax pójdzie do więzienia za zamordowanie swojej matki. Jak może się pan domyślić, nie radzi sobie z tym najlepiej.

– Myśli pani, że powinienem przyjechać? – pyta niepewnie. Jestem przerażona i wstrząśnięta. Gdyby Pax był moim dzieckiem, znalazłabym się tu natychmiast. Nie pytałabym, bo nie zamierzałabym przyjąć odmowy jako odpowiedzi. Ale jego ojciec się waha. Nie mogę w to uwierzyć.

– Niech pan zrobi to, co uważa pan za słuszne – syczę wściekle, a potem się rozłączam. Prawdopodobnie nie zrobiłam najlepszego pierwszego wrażenia na ojcu Paxa, ale trudno. Jak można być aż takim egoistą?

Powoli dochodzę do siebie, kiedy słyszę dudniący odgłos, głośny i powtarzający się.

Łup.

Łup.

Łup.

Nadstawiam ucha i idę jego śladem. Dochodzi z piwnicy. Schodzę po drewnianych schodach i zastaję Paxa w bieliźnie, walącego w gruszkę bokerską zwisającą z belki sufitowej. Nie wiedziałam, że taką ma. Z drugiej strony nie miałam powodu, żeby tu schodzić.

Jest spocony, mięśnie ma napięte; wybrzuszą się, gdy miarowo wali w gruszkę. Raz za razem, z całej siły. Nie zauważa, że stoję w progu i na niego patrzę. Jest skupiony na tym, co widzi przed sobą.

Łup.

Łup.

Łup.

Serce pęka mi na kawałki i z trudem oddycham. Nie wiem, co robić. Jak mu pomóc. Na paluszkach wracam na górę i siadam pod ścianą. Słyszę, że wciąż wali. Boję się, że coś sobie zrobi albo naderwie mięsień. Nawet, jak go poproszę i tak nie przestanie.

Siedzę tak przez co najmniej godzinę, z łokciami na kolanach i twarzą ukrytą w dłoniach. Nagle walenie ustaje. Zapada cisza, a potem słyszę kroki na schodach.

Podnoszę głowę akurat, gdy wchodzi do pokoju.

Patrzy na mnie, a potem się pochyla i mnie podnosi.

Jest spocony, ale nie szkodzi. Chowam twarz na jego

piersi.

Bez słowa niesie mnie na górę do sypialni. Zdejmuje majtki i wyciąga do mnie rękę. Zaskoczył mnie, ale podchodzę. Jeśli tego potrzebuje, żeby się uspokoić, niech będzie. Zrobię wszystko, byle tylko z jego twarzy zniknął ten wyraz rozpacz.

Naciera na mnie ustami, mocno. Odwzajemniam pocałunek, ale szybko do mnie dociera, że to nie będzie normalny seks. Pax jest brutalny, pierwotny. Zraniony. Popycha mnie na łóżko i wchodzi we mnie od tyłu, bez żadnej gry wstępnej. Krzywię się trochę, ale wkrótce robię się mokra.

Wchodzi i wychodzi, ostro, szybko,

Łapie mnie za tyłek i napiera jeszcze mocniej.

Zaciskam w dłoniach koc i wpatruję się w materiał. Paxa tak naprawdę tu ze mną nie ma. To nie on. On tylko chce się pozbyć wszystkich uczuć. Wiem o tym, chociaż mi nie mówi.

Wkrótce czuję, że drży, napina się i pcha.

Opadamy na łóżko, a kiedy na niego zerkam, tylko na sekundę, widzę znów mojego Paxa. Oczy ma szeroko otwarte.

– Przepraszam – mówi łagodnie i przytula mnie. – Tak cię przepraszam. Przepraszam.

Nie wiem, kogo przeprasza tak naprawdę. Mnie, a może swoją mamę. Nie wiem. I nie obchodzi mnie to. Gładzę go po plecach. Trzęsie się, ale potem się uspokaja. Leżymy tak dość długo. Potem wstaje i

wychodzi. Zamyka za sobą drzwi sypialni.

Nie idę za nim. Wiem, że chce być sam. Nie mam pojęcia, jak mu pomóc.

Rozdział 22

PAX

Godziny zmieniają się w dni.

Nie wiem, ile ich już minęło i wali mnie to. Wiem tylko, że nie jestem w stanie wyłączyć emocji, które wypełniają mi głowę.

Ojciec próbuje się ze mną skontaktować, ale nie gadam z nim. Telefon odbiera Mila i podaje mi słuchawkę, ale tylko odwracam wzrok. Nie chcę go nawet słyszeć. Pierdolić go.

Dzwoni też doktor Tyler. Ale z nim też nie rozmawiam. Mila pyta, a potem wraca do rozmowy z doktorem, mówi do niego cicho i łagodnie. Mam to w dupie. Może mówić co chce.

Ale Mila...

Kurwa.

Na myśl o niej ściska mnie w żołądku. Jej też sprawiam ból. Nie jestem tym, kogo potrzebuje. Nie mogę pojechać z powrotem do gabinetu doktora i

usiąść, żebyśmy mogli wszyscy porozmawiać o moich uczuciach. Nie, ja jestem dupkiem. To jest prawda o mnie. W tym jestem najlepszy. Przez jakiś czas próbowałem udawać, że tak nie jest, ale prawdziwa natura zawsze wylezie.

Jestem pierdolonym dupkiem.

A jednak wszystko, co zrobiłem, nie spowodowało jej odejścia. Nie odzywam się, łażę po domu, zamiast spać, piję za dużo i nawet zerznąłem ją, jakbym jej nie znał. Nie poszła sobie. Tylko na mnie popatrzyła łagodnie i ze zrozumieniem i powiedziała, że robi wszystko, żeby mi pomóc.

Kurwa, jak to możliwe?

Ściska mi się żołądek. Jestem wściekły, ale jej nie chcę skrzywdzić.

Odwracam się do niej teraz. Leży skulona na kanapie i czyta.

– Powinnaś sobie pójść – oznajmiam nagle. – Marne ze mnie towarzystwo. Lepiej będzie dla ciebie, jak wrócisz do domu, a ja spróbuję się z tym uporać. – Patrzy na mnie. Zraniłem ją. Znów mnie ściska w bebeczach. Ale wiem, że muszę to zrobić. Tak czy siak w końcu ją skrzywdzę. Lepiej zrobić to za jednym razem. Czyste cięcie. Zaczyna protestować, ale jej przerywam: – Nic mi nie będzie, nie martw się. Najgorsze mam już za sobą. A ty masz życie, pracę. Siostra cię potrzebuje. Proszę cię. Mam ochotę zostać sam. Zadzwońisz wieczorem.

Wciąż nie jest przekonana, a mnie pęka serce.

Kurwa, to nieznośne.

Ale na to zasłużyłem. Nie jestem wart kogoś takiego jak ona.

Wstaje i sięga do mojej twarzy. Zamykam na moment oczy, ale potem przypominam sobie o moim postanowieniu i znów je otwieram.

Patrzę na nią i odsuwam jej rękę. Widzę, że to ją boli.

Ale to dla jej dobra.

W końcu kiwa głową.

– Dobrze. Jeśli tego potrzebujesz – odzywa się bez przekonania. – Ale zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebował. Przyjadę wieczorem, jak zamknę sklep i zajrzę do siostry.

Kiwam głową.

I wychodzę, zanim zacznę ją błagać, żeby została.

Słyszę jej samochód ruszający spod domu i ciskam w ścianę szklanką pełną wody. Rozpryskuje się. Zastępuję ją butelką jacka.

Na to zasługuję.

Wydaje mi się, że moja klatka piersiowa zaczyna się zaciskać. Nie mogę przełykać. Z tyloma rzeczami trzeba się uporać. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Pierdolić to.

Biorę z blatu buteleczkę xanaxu, otwieram, wysypuję kilka pigułek na rękę i popijam whisky.

A potem wypijam butelkę do końca.

Zamykam oczy i wreszcie nie ma tam nic poza

czernią. Oddycham z ulgą i nareszcie zasypiam.

Budzę się rano.

Wiem, że jest rano, bo między żaluzjami wpada światło.

Krzywię się, siadam i pocieram skronie.

Przespałem całą noc. Bez koszmarów, bez myśli o matce. Uśmiecham się i czuję, jak napinają mi się usta. Nagle wszystko staje się jasne. Nie poradzę sobie z tym sam. Potrzebuję wsparcia starego przyjaciela Jacka. I mojego nowego kumpla, xanaxu.

X oznacza jakieś miejsce.

Podnoszę telefon i zerkam na wyświetlacz.

Trzy nieodebrane połączenia, trzy wiadomości głosowe i dwanaście esemesów, wszystkie od Mili.

„Wszystko w porządku?”

„Pax, odbierz”.

„Proszę Cię odbierz”.

„Martwię się. To nie fair, odbierz”.

Wszystkie mniej więcej takie same.

„Nie martw się, wszystko dobrze”, odpisuję.

Potem przynoszę z kuchni świeżą butelkę whisky i wkładam do ust trzy pigułki xanaxu. Po namyśle dorzucam jeszcze dwie.

Wkrótce czerń powraca. Witam ją z otwartymi ramionami. Kołyszę w ramionach i śpiewam jej. Robię z nią wszystko, czego chce, bo to czerń, najciemniejsza z nocy. W niej nic nie ma znaczenia. Gdy jestem sam w ciemności, nic innego się nie liczy. Nie mogę

skrzywdzić nikogo oprócz siebie, a na to zasłużyłem.

Zamykam oczy i pozwalam ciemności, żeby mnie ukołysała. Ale może mnie nawet wypierdolić, mam to gdzieś.

MILA

Nie mogę się skupić. Zapomniałam pobrać należność od klienta. Po tym się poddaję, odwracam tabliczkę wiszącą na drzwiach i zamykam sklep.

Siedzę przy oknie wystawowym i patrzę na szczęśliwych ludzi idących chodnikiem. Nawet nie wiedzą, jak im dobrze. Ich życia są takie proste.

Wysłałam do Paxa kolejnego esemesa, ale nie odpowiada, tak jak od czterech dni. Byłam tam, waliłam do drzwi, wołałam, a nawet nabluzgałam w nagraniu na pocztę głosowej.

Żadnej reakcji.

Tylko ten jeden esemes. „Nie martw się, wszystko dobrze”.

Nie jest dobrze. Ale chyba nikt poza mną się tym nie przejmuje.

Zastanawiałam się nad telefonem na policję, niech sprawdzą, czy wszystko w porządku, ale wątpię, żeby mieli zamiar. Nie robi nic niezgodnego z prawem, więc po co mieliby się przejmować? Upijanie się do nieprzytomności nie jest nielegalne. O ile wiem, jedyne

prochy, jakie ma w domu, to xanax na receptę. Znów się zastanawiam, czy przepisanie go miało sens.

Gdy spytałam doktora Tylera, wyjaśnił, że zapisał mu to, bo Pax nie jest narkomanem.

– Nie jest uzależniony od żadnej substancji – powiedział. – Po prostu nie umie sobie w inny sposób radzić ze stresem. Jeśli poczuje, że nie daje rady, wołę, żeby na czas terapii brał xanax, niż szukał nielegalnych narkotyków. Poza tym będziesz z nim. Nie przejmuj się, Milo.

Ale mnie tam już nie ma. I przejmuję się, nawet bardzo.

Przypominam sobie otwarte martwe oczy Jill i się wzdrygam.

To mógł być Pax. Jestem przerażona, że jeśli ktoś czegoś nie zrobi, to będzie Pax. Drżącymi rękami sięgam po telefon i robię jedyną rzecz, jaka mi przychodzi do głowy.

Dzwonię do jego ojca.

Rozdział 23

PAX

Spadam, spadam, spadam...

Jest ciemno, czarno, nie widzę i nie myślę. Tak jest dobrze. Nic nie czuję, więc nic nie boli. Mogę się nie przejmować.

Gdy się budzę, znów układam się do snu z pomocą whisky i xanaxu. Wkrótce znów zapadam się w czerń, bez celu dryfuję w ciemnym śnie bez snów.

Jest tylko czerń.

Wzdycham. Tutaj jest moje miejsce. Tu, gdzie czerń nigdy się nie kończy.

Gdzie nie ma bólu.

Światło sprawia ból. W świetle widzę jej twarz i wiem, że ją zawiodłem.

Nie wrócę do światła.

Nigdy.

Nie warto.

Zaczynam zamykać oczy, ale zdaję sobie sprawę, że

są już zamknięte, więc się uśmiecham.
Tutaj jest moje miejsce.

Rozdział 24

Otwieram oczy i usiłuję się skupić. Rozglądam się. Jestem w salonie i mam na sobie te same, co od kilku dni ubrania. Co mnie obudziło? Na zewnątrz jest ciemno, więc nie światło.

Sięgam po butelkę, ale okazuje się, że jest pusta.

Kurwa.

Whisky się skończyła. Będę musiał jechać do miasta.

Wtedy słyszę walenie do drzwi.

Serce mi się ściska. Wiem, że to pewnie Mila. Była tu w tym tygodniu ze sto razy, próbowała mnie zmusić do otwarcia, ale ja nawet nie wstałem z kanapy. Nie chcę, żeby mnie takiego widziała. Nie zasługuje, żeby tu przebywać, gdy jestem w takim stanie.

Walenie staje się głośniejsze, naprawdę głośne.

Wkurwiła się. Robi wrażenie, z jaką siłą dobija się do drzwi.

Potem słyszę głośny trzask i coś pęka.

Ja pierdolę, co jest?!

Wstaję i cały pokój się kręci. Od kilku dni nie

znajdowałem się w pozycji pionowej. Łapię równowagę i znów otwieram oczy. A kiedy to robię, widzę przed sobą ojca. Jest elegancki, świeżo ogolony, ubrany w dżinsy.

– Co ty tu robisz? – pytam. – Włamałeś się do mnie?

Ojciec zaciska zęby.

– Tak się kończy nieodbieranie telefonu przez tydzień. Zadzwoiła do mnie twoja dziewczyna, bo się martwiła. Idź pod prysznic. Potem porozmawiamy.

Rozwścieczył mnie.

– Pierdol się. Czas na rozmowy był wiele lat temu. Miałeś miliony okazji, żeby ze mną porozmawiać. Żadnej nie wykorzystałeś. Teraz nie chce mi się gadać, więc idź stąd.

Usiłuję go wyminąć, żeby przejść do kuchni, ale łapie mnie za rękę.

Uścisk ma mocny i zdeterminowany.

– Idź pod prysznic – powtarza spokojnie i z rozmysłem. – Śmierdzisz. Włóż czyste ubranie i wróć tutaj. Porozmawiamy. Teraz.

Patrzę na niego, a on nie odwraca wzroku. Nie wycofa się. A ja faktycznie śmierdzę. W końcu to ja spuszczam wzrok.

– Niech ci będzie. Muszę się wykapać.

Wychodzę z pokoju, nie patrzę za siebie. Wchodzę pod prysznic, głowa mi pęka. Nie pamiętam, żebym w tym tygodniu pił wodę. W ogóle niewiele pamiętam. Jeśli tylko się budziłem, po prostu brałem więcej

tabletek i popijałem whisky.

Myję się, golę i ubieram.

Potem idę do kuchni, gdzie wypijam duszkiem dwie butelki wody. Ale nawet po nich mam w ustach sucho. Musiałem się niezłe odwodnić. Trzecią butelkę zabieram do salonu, gdzie czeka na mnie ojciec.

Trochę posprzątał, kiedy mnie nie było. Zebrał z podłogi puste butelki po whisky. Teraz siedzi w fotelu.

Patrzy na mnie.

Jest ponury i poważny, a ja nagle dochodzę do wniosku, że nie chcę rozmawiać.

– Pieprzę to – oznajmiam – Nie rozmawialiśmy od lat. Nie widzę powodu, żeby rozmawiać teraz. Krzywda już się stała.

Ojciec na mnie spogląda.

– Stała się – przyznaje mi rację. – Ale nie musi być jeszcze większa.

Siadam i popijam wodę.

– Dobrze. Dlaczego mnie nie zmusiłeś, żebym powiedział, co się stało?

Skoro mamy gadać, możemy od razu przejść do sedna.

Patrzy na mnie, potem spuszcza wzrok.

– Bo tak było łatwiej. Zabrałem cię do terapeuty, ale milczałeś. Próbowałem sam to z ciebie wyciągnąć, ale odmawiałeś. W końcu uznałem, że może wcale nie chcę wiedzieć, co się stało. Jeśli ciebie to aż tak wystraszyło, nie byłem pewien, czy to zniosę. Przestałem się starać.

Potem terapeuta mi powiedział, że prawdopodobnie wyparłeś te wspomnienia, więc uznałem, że dobrze się złożyło.

Dalej popijam wodę. Jestem tak odwodniony, że mam wysuszony język.

– Złapali go?

Wzdragam się, gdy ojciec kręci głową.

– Nie. Nie mieli rysopisu. Nikt z sąsiadów nic nie widział, nikogo wchodzącego ani wychodzącego. Nie było punktu zaczepienia.

Kurwa. Kolejny powód do poczucia winy. Mogłem im podać rysopis.

– Co się stało tego dnia? – pyta tata. – Muszę wiedzieć. Wiem, że miałeś w ręce pistolet. Na dłoni ranę. Policja nie była w stanie domyślić się, co się stało, poza tym, że twoja matka nie została zgwałcona. Miała w ustach komórki nabłonkowe, ale bez śladu spermy. W policyjnej bazie nie było odpowiadającej próbki DNA. Wiem, że trudno o tym mówić, czy nawet myśleć, ale powiedz, co widziałeś?

Zamykam oczy. Zaciskam powieki. Po chwili je otwieram. Ojciec wciąż się we mnie wpatruje, czeka.

– Usłyszałem, że mama płacze. W waszej sypialni zastałem faceta. Przyciskał mamie pistolet do boku. Zmusił ją, żeby mu zrobiła laskę. Chciałem jej pomóc, ale kiedy złapałem za pistolet, wystrzelił. Zginęła, bo próbowałem pomóc. Gdybym nic nie zrobił, byłaby z nami.

Ojciec odchrząkuje. Ja próbuję przełknąć tę pieprzoną kluchę, która znowu pojawia się w moim gardle.

– Naprawdę myślisz, że zostawiłby ją przy życiu? – pyta w końcu ojciec. – Zastanów się. Wiedziała, jak wygląda. Jeśli ci powiedział, że nie zamierzał jej zabić, to kłamał.

– Mnie nie zastrzelił – przerywam mu słabo. – Może jej też by nie zabił.

Tata kręci głową. Rumienią mu się policzki.

– Być może nie był w stanie zabić z zimną krwią dziecka i uznał, że zastraszył cię wystarczająco, żebyś milczał. Twoja mama nie miała szansy. Nie mogłeś nic zrobić. – Odwraca się i wygląda przez okno. – Ale teraz możesz. Przypomniałeś sobie wszystko, więc jedź ze mną. Polecimy do Connecticut. Porozmawiamy z detektywem, który prowadził tę sprawę. Podasz mu rysopis. Jak ten facet wyglądał?

Przechodzi mnie lodowaty dreszcz, gdy sobie przypominam jego drwiący uśmiezek.

– Był chudy. Miał siwy kucyk i żółte zęby. Dosłownie żółte. Ubrany był w niebieską koszulę w paski.

Ojciec zamiera.

– Wiem, o kim mówisz. To nasz listonosz. Nigdy nie zapomnę tego siwego kucyka i potwornych zębów. Pakuj się. Lecimy.

– Listonosz? – Nie mogę w to uwierzyć. – Nie pamiętam listonosza.

– A czemu miałbyś pamiętać? – pyta tata. – Miałeś

tylko siedem lat. Ale ja dokuczałem mamie, że on cały czas wymyśla głupie powody, żeby przynieść listy do drzwi, zamiast wrzucić do skrzynki. Żartowałem, że się w niej zakochał. Śmieliśmy się z tego. Myśleliśmy, że może jest po prostu dziwny i samotny. Nie miałem pojęcia... – Dławi się. Odwraca wzrok. Potem zbiera się w sobie i znów na mnie patrzy. – Pakuj się. Ten chory skurwiel zasługuje, żeby za to zapłacić.

Myśl, że mógłbym teraz pomóc, dodaje mi sił i faktycznie wstaję z kanapy. Idę się spakować. Gdy sięgam po szczoteczkę do zębów, widzę na umywalce obrączkę. Biorę ją do ręki. Musiała ją zostawić Mila. To obrączka ślubna jej mamy. Wkładam ją na mały palec i kontynuuję pakowanie.

Wychodzimy w takim pośpiechu, że zostawiam w domu komórkę i orientuję się dopiero po drodze do Chicago.

– Nie przejmuj się – mówi ojciec. – Jak będziesz potrzebował telefonu, możesz skorzystać z mojego. Poza tym nie jedziemy na długo. Najwyżej kilka dni. To jest wielka sprawa. Ten skurwysyn dostanie wreszcie to, na co zasłużył. Muszą tylko sprawdzić jego DNA. To niesamowite!

Nigdy nie widziałem go tak ożywionego. W jego oczach pojawia się życie.

– Dlaczego uważałeś, że lepiej, żebym sobie nigdy nie przypomniał? Co miałeś na myśli? Lepiej dla mnie czy dla ciebie?

Patrzy na mnie przytomnie, a potem spogląda z powrotem na szosę.

– Może dla nas obu. Wiedziałem, że wspomnienia cię zdruzgoczą. A po tym, jak znaleźli na twoich dłoniach ślady prochu, chyba nie chciałem wiedzieć, co się stało. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, ale miałem podejrzenia. Gdybym się dowiedział, że brałeś udział w jej śmierci, nawet przypadkiem, nie wiem, co bym zrobił.

– Ale przecież byłem dzieckiem! – Nie mogę uwierzyć w to, co mówi. – Chciałem jej pomóc!

– Tak. – Patrzy na mnie. – Wiem. I dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę. Ale ja byłem wtedy w złym stanie. To się zdarza w żałobie. Radziłem sobie, jak umiałem. Rzuciłem się w wir pracy. A kiedy to nie pomogło, spakowałem nas i wyprowadziłem na drugi koniec kraju.

– Czy to pomogło?

Zerka na mnie.

– Nie.

Patrzę na swoje ręce i na obrączkę. Zdejmuję ją i obracam w dłoni. W środku jest coś wygrawerowane. Podnoszę ją do oczu. „Miłość nie zawodzi”.

Przełykam ślinę.

Czasem jednak tak. Jestem na to dowodem. Zawiodłem wszystkich. Moją matkę. I ojca, kiedy wyparłem wspomnienia i nie potrafiłem nikomu powiedzieć, jak wyglądał zabójca. A już na pewno

zawiodłem Milę. Wiem, że połamałem jej serce na kawałki. Wątpię, czy kiedykolwiek zdołam to naprawić.

Zamykam oczy, żeby przestały piec.

Na lotnisku drzemię, w samolocie też. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Mili, ale stwierdzam, że lepiej nie. To nie rozmowa na telefon. Muszę na nią patrzeć. A tymczasem mam coś ważnego do zrobienia.

Lądujemy w Hartford i meldujemy się w hotelu. W milczeniu jemy obiad w eleganckiej restauracji.

Patrzę, jak ojciec w zamyśleniu kołysze szklanką z odrobiną szkockiej na dnie. W końcu się odzywam.

– To nie była twoja wina, tato.

Podnosi na mnie wzrok.

– Nie? Przecież żartowaliśmy sobie z niego. Z tego pieprzonego listonosza. Uważałem to za zabawne. A on mi odebrał życie. Równie dobrze mógł zabić i mnie. Taki żart... On się uśmieł ostatni.

Widzę w twarzy ojca gorycz i agonię. Chociaż jestem na niego wściekły, nie mogę go nie żałować. Nie wyobrażam sobie, jak się musi czuć.

– Tato... – zaczynam, ale mi przerywa.

– Nie rozumiesz. Nie wiesz nawet, ile razy przez te wszystkie lata się zastanawiałem... Co by było, gdybym tego dnia wyszedł wcześniej z pracy? Gdybym się nie zatrzymał na stacji benzynowej? Gdybym przejechał na chociaż jednym czerwonym świetle? Może zdążyłbym zareagować. Ta nieustanna niewiedza mnie dobijała. A teraz, gdy już wiem, że odebrał jej życie ten pieprzony

listonosz, moja wina jest dziesięć tysięcy razy większa niż dotąd. Bo go nie potraktowałem poważnie. Gdybym rozpoznał w nim zbrojnicę, twoja matka by żyła. To fakt.

Wypijam do końca wodę, dopiero potem odpowiadam.

– Ale mama też sobie nie zdawała sprawy, że to szalenie. Mówiłeś, że oboje żartowaliście. To znaczy, że dobrze się maskowałeś. Nie możesz się winić za czyjąś chorobę psychiczną. Nie mogłeś wiedzieć.

Nie wierzy mi. Posiłek kończymy w ciszy. Obaj wolimy zostać sam na sam ze swoimi myślami.

Po kiepsko przespanej nocy idziemy na komisariat. Detektyw bardzo się cieszy, że wróciliśmy.

– Ta sprawa dręczyła mnie przez lata – przyznaje z zaciśniętymi ustami. Patrzy na mnie. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nie zapomniałem też widoku twojej buzi. Miałeś wielkie i smutne oczy. Widziałeś coś, czego nie można sobie było wyobrazić. Cieszę się, że tak ładnie wyrosłeś.

Ładnie? Nie powiedziałbym...

Przyjmuje moje oficjalne zeznanie i zapewnia, że przygotuje nakaz zebrania próbki DNA od naszego starego listonosza, jak tylko uzyskają z akt pocztowych jego nazwisko. Gdy wychodzimy na świeże, chłodne powietrze, odczuwam wielką satysfakcję.

Możliwe, że sprawiedliwość zostanie wreszcie wyegzekwowana. Śmierć mamy zostanie oczyszczona z

niedopowiedzeń. Zajęło to tylko siedemnaście lat...

– Gdzie ona leży? – pytam ojca, gdy wsiadamy do samochodu.

– Kupimy kwiaty i pokażę ci.

Tak robimy. Każdy z nas kupuje po dwadzieścia róż i jedziemy na piękny, cichy cmentarz. Jest obsadzony drzewami, z których zwisają sople lodu. Lśnią w zimowym słońcu. Jest tak spokojnie. Stwierdzam, że skoro już trzeba zostać pogrzebanym, można leżeć w tym cichym miejscu.

Idziemy wśród grobów i mam wrażenie, że już tu byłem. Zresztą, musiałem być. Pojawiają mi się w pamięci przebłyski z pogrzebu, trumny opuszczanej do ziemi. Pamiętam dojmujący smutek, który odczuwałem.

Z trudem przełykam ślinę.

Widzę pomnik anioła i rozpoznaję go. Nachyla się nad płytą nagrobną i zakrywa dłońmi zapłakaną twarz. Pamiętam go. Stoi nad grobem mamy.

– Zamówił go twój dziadek – wyjaśnia ojciec, wskazując na anioła.

– Pasuje – stwierdzam. I faktycznie tak jest. Płyta nagrobna zrobiona jest z białego marmuru. Lśni. Odwracam się do ojca. – Ktoś o nią dba.

Kiwa głową.

– Oczywiście. Opłacam kogoś, żeby to robił.

Oczywiście.

Spoglądam w dół.

Susanna Alexander Tate

Ukochana żona i matka

Żyła pięknie

Spoczywa w pokoju

Chłodny wiatr owiewa mi twarz, gardło znów mam ściśnięte. Czuję się winny, że od tylu lat tu mnie nie było. Klękam, kładę kwiaty przy jej imieniu i po raz pierwszy odkąd pamiętam, po policzku spływa mi łza. Ścieram ją.

– Myślisz, że naprawdę tak jest? Że spoczywa w pokoju?

Ojciec na mnie patrzy.

– Ty byłeś jej spokojem, synu. Przyniosłeś jej spokój i radość od pierwszej chwili, kiedy cię wzięła na ręce, więc wiedziała, że musi cię nazwać Pax. Kochała cię najbardziej na świecie. Żeby cię uratować, oddałaby życie jeszcze sto razy. Bez względu na wszystko, staraj się pięknie żyć, dla niej. Wiązała z tobą tyle nadziei, ale tak naprawdę zależało jej tylko, żebyś był szczęśliwy.

Teraz łzy płyną mi już strumieniem, a ojciec mnie obejmuje. I stoimy tak, dwaj dorośli mężczyźni, objęci, naprzeciw samotnego nagrobka.

Po kilku chwilach tata się odsuwa. Widzę że i on płakał.

– Ja też cię kocham. Mam nadzieję, że wiesz o tym.

Kiwam głową, bo mam zbyt ściśnięte gardło, by mówić. Czuję, jakby ktoś mi wyrwał wnętrzności, a potem wcisnął z powrotem przez gardło, upychając w niewłaściwych miejscach. Wszystko mnie boli. Ale to dobry ból. Normalny. Chyba muszę go czuć. Nie

wstydę się, jak wtedy kiedy byłem dzieciakiem i wiedziałem, że nie udało mi się uratować mamy.

Nie ma już pustki w sercu. Zastąpiło ją pogodzenie się z sytuacją. Oto moje życie. Mama zginęła w tragicznych okolicznościach, a ja na to patrzyłem. Ale muszę iść naprzód. Tego by chciała.

Teraz, kiedy stoję nad jej nagrobkiem, w tym spokojnym miejscu, wiem, że nie mogłem jej uratować. Miałem siedem lat. Ojciec ma rację. Ten człowiek by ją zabił, tak czy inaczej. To był jego plan od początku. Inaczej nie wzięłby ze sobą broni.

Na lotnisko jedziemy w milczeniu.

W końcu odzywa się tata:

– Zadzwoń do Mili. Bardzo się o ciebie martwiła.

Zaskoczył mnie.

– Tak ci powiedziała?

Kiwa głową.

– To z jej powodu przyjechałem do ciebie. Zadzwoiła, inaczej bym nie wiedział, że sytuacja jest tak poważna. Ona cię kocha. Jeśli z tego koszmaru możesz wyciągnąć jakąś naukę, to odtąd żyj dniem dzisiejszym. Na jutro nie masz gwarancji.

– Ale ja na nią nie zasługuję – mówię mu szczerze. – Zachowałem się jak dupek. Tylko ją krzywdziłem.

Tata patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Gdyby tak było, nie kochałaby cię tak bardzo. Ona na ciebie czeka. Pytała o ciebie setki razy, zadała mi pytania, na które nie umiałem odpowiedzieć. Tylko ty

możesz. Musisz.

– Jakie pytania?

– Czy wrócisz. Czy wszystko będzie dobrze. Jak się czujesz. Nie mówisz o tym, więc nie wiem. Musisz poszukać pomocy i nauczyć się sobie radzić ze stresem. Nie możesz wszystkiego zalewać whisky i podsypywać narkotykami. Zresztą, wiesz o tym.

Kiwam głową. To boli, ale tak właśnie jest.

– Dałem dupy – stwierdzam po prostu.

– Tak – potwierdza ojciec. – Ale kto z nas nie dał?

Nie odpowiadam. Znów zatapiam się w myślach i obracam na palcu pierścionek Mili. Po drodze na lotnisko tata znów się do mnie odwraca.

– Powiem twojemu dziadkowi, że wszystko sobie przypomniałeś. To jeden z powodów, dla których przestał z nami rozmawiać. Nie mógł zrozumieć, że nie zmusiłem cię do mówienia. Chciał, żeby morderca został schwytany. Gdy odmówiłem dalszych prób, zamknął się w sobie. Nie mógł znieść kłamstwa, które ci zaserwowałem. Wypadek samochodowy, w którym mama zginęła... To moja wina, że nie ma go w twoim życiu. I ciąży mi to. Przepraszam cię.

Kiwam głową. Prawdę mówiąc, nie chce mi się teraz o tym myśleć. W tej chwili to najmniejszy problem. W głowie mam tylko jedną twarz. Piękną, łagodną o dużych zielonych oczach.

Nasz samolot ląduje w Chicago i ojciec odwozi mnie do domu.

– Mam nadzieję, że teraz będzie się między nami lepiej układać – mówi, gdy już stajemy na podjeździe i widzemy, że naprawdę na to liczy. Kiwam głową.

– Ja też mam nadzieję. – Nie ściemniam. Na pewno trochę to potrwa. Nie da się w pięć minut naprawić popsutych lat, ale to przynajmniej jakiś początek. Jeśli zadbamy o nasze kontakty, może pewnego dnia będzie znów dobrze.

Wyjeżdża spod mojego domu, a ja stoję, dopóki jego światła nie znikną mi z pola widzenia. Wtedy wsiadam w Danglera i pędzę do miasta. Myślę tylko o jednym.

O niej.

Wpadam do jej sklepu, a ona gwałtownie podnosi głowę. Jest sama i chyba przeglądała swoje portfolio. Zobaczyła mnie i na jej twarzy od razu maluje się odruchowe doznanie. Radość.

Ale szybko się napina i kamufluje, a ja ukłucie bólu czuję aż w sercu. Sam jej to zrobiłem. Nauczyłem ją, że w mojej obecności musi być czujna i zdystansowana, bo inaczej mogę jej zrobić krzywdę. Ta świadomość mnie zabija.

Bez wahania, bez zatrzymania przechodzę przez sklep, okrążam ladę i przyciągam ją do piersi.

– Proszę cię – zaczynam. – Proszę wybaczyć mi. Przepraszam, że cię skrzywdziłem. Byłem dupkiem i cię odtrąciłem. Nie wiedziałem, jak sobie z tym wszystkim poradzić bez zgnojenia się. Tylko taki sposób znam. I czułem, że tylko na to zasługuję. – Milknę i na nią

patrzę. Podnosi na mnie zjawiskowe, jasne oczy i aż mnie ściska w środku. – Daj mi jeszcze jedną szansę – namawiam żarliwie. – Zrobię wszystko, czego zechcesz, jeśli tylko powiesz, że możemy zacząć od nowa. Nie zasługuję, ale i tak cię proszę. Wydaje mi się, że bez ciebie nie będę mógł oddychać. Proszę. Kocham cię, Milo. Powiedz mi, że sobie z tym poradzimy.

Wpatruję się w jej oczy i widzę w nich niepewność. Wpadam w panikę.

– Nie chcę zaczynać od nowa – mówi powoli. – Podobało mi się to, co było. Nie chcę tego zmieniać. I kocham cię, ale nie wiem, czy przeżyję, jeśli znów mnie tak zostawiasz. Nie dałeś mi szansy na reakcję. Tak się nie zachowują ludzie, którzy kogoś kochają. Wyrwałeś mi serce i zdeptałeś.

– Wiem – przyznaję. – I nie wiesz, jak bardzo tego żałuję. Nie jestem dobry w związkach. Nie mam doświadczenia. Ale jeśli tylko ze mną zostaniesz, jeśli zostaniesz... Obiecuję, że więcej cię nie zostawię. Nie odrzucę. Postaram się i naprawię wszystko, co zniszczyłem. Obiecuję.

– Chciałabym ci wierzyć – wzdycha, nie odrywając ode mnie wzroku. – Ale za bardzo się boję. Przeraziłeś mnie. Bardzo. Skąd mam wiedzieć, że to się nie powtórzy? I znów mnie odrzucisz? A przy następnym problemie wpadniesz w ciąg i znajdę cię w ogródku jak Jill? – milknie i wpatruje się we mnie błagalnie. Chce, żebym coś powiedział, zaprzeczył, przekonał ją, że tak

już nie będzie. Ale nie mam pewności. Więc milczę. – Dzieci Jill są w domu dziecka. Ich życie zostało zniszczone. Nie wiem, czy mogę ci zaufać. A jeśli zrobisz mi to samo?! Od wielu dni nie śpię, a jak śpię, mam koszmary. Jestem wrakiem człowieka. Nie mam siły znów przez to przechodzić. Chyba nie dam rady.

Jestem przerażony jej słowami. Zdejmuję z palca jej obrączkę i wyciągam na drżącej dłoni.

– Miłość nie zawodzi. W to wierzyli twoi rodzice. A dzięki tobie i ja w to wierzę. Zostałaś przy mnie i kochałaś, chociaż nie zasługiwałem. Proszę tylko o szansę na udowodnienie ci, że jestem ciebie wart. Twoi rodzice byli popsuci jak ja, ale nie szukali pomocy. Ja poszukam. Obiecuję. Będę nad tym pracował. Nauczę się, jak sobie radzić z bólem i nigdy więcej cię nie zostawię. Tylko powiedz, że jesteś ze mną. – Wpatruję się w nią i wstrzymuję oddech. – Proszę cię – szepczę.

W końcu, wreszcie, zabiera mi z ręki obrączkę, a potem staje na palcach i delikatnie przyciska usta do moich warg.

– Bardzo cię kocham – szepcze. – Bardzo. Ale nie mogę. Nie teraz.

Patrzę na nią, a jakieś cęgi miażdżą mi serce. Widzę przed sobą tę piękną i delikatną kobietę, która widziała mnie, kiedy byłem na dnie, a jednak wciąż stoi przede mną i nie osądza mnie ani ze mnie nie szydzi. Ścisza mnie w piersi, oczy mnie pieką. Jestem całkiem pusty.

– Wiem – mówię jej całkiem szczerze. – Rozumiem. –

I rozumiem. To prawda tak naga i oczywista, że aż boli. Nie ma żadnego powodu, dla którego miałyby zostać. Mogę zrobić tylko jedno. Znaleźć go. Z trudem przełykam ślinę, chciałbym, żeby ucisk w gardle zniknął. – Znajdę powód, dla którego warto ze mną być – oświadczam zdartym głosem. – Obiecuję. Jeśli dasz mi szansę.

Całuje mnie znowu, a ja muszę ze sobą walczyć, żeby nie wciągnąć jej razem z powietrzem, nie przycisnąć do piersi i nigdy nie puścić. Zmusić ją, żeby ze mną została.

– Liczę na to – mamrocze i cofa się o krok. – Potrzebuję czasu. Chcę zobaczyć, że traktujesz nas poważnie, że jesteś gotów się wysilić. Tego mi trzeba.

Wiem, że dla niej to równie trudne jak dla mnie i nie mogę znieść, że jej to zrobiłem. Nienawidzę się za ten ból, który nosi teraz na twarzy.

Powoli kiwam głową, a każdy ruch jest bolesny.

– Dostaniesz tyle czasu, ile potrzebujesz. Jeśli będzie trzeba, mogę czekać całą wieczność.

Po policzku spływa jej łza i odwraca twarz. Czuję się, jakbym zamiast wnętrzości miał głaz, kiedy ścieram kciukiem tę łzę i unoszę do góry jej brodę.

Całuję ją w policzek.

– Kocham cię – szepczę jej do ucha.

A potem mobilizuję się ze wszystkich sił, bo tego wymaga odwrócenie się od niej i odejście.

Rozdział 25

MILA

Noc jest bardzo długa, ciemna i zimna.

Przewracam się w pustym łóżku i podciągam koc pod brodę. Próbuję się zmusić do niemyślenia o Paksie. Tak, jakby to było możliwe... Serce mi się ściska na myśl o tym, co przeszedł.

Odkąd w zeszłym tygodniu odszedł z rozpaczą na twarzy, czując ból odrzucenia i strach, jestem pewna, że potrzebuje mocnego powodu do zmiany. Gdybym go przyjęła, tak jakby nic się nie stało, nie miałby motywacji.

Ale nie wzięłaś pod uwagę idiotko, że całe jego życie wybuchło, powtarzam sobie. Ma milion powodów, żeby się zmienić, mnie do tego nie potrzebuje. Tylko czy będzie miał dość siły, żeby to zauważyć?

Wbrew rozsądkowi sięgam po komórkę. Minął tydzień, odkąd się widzieliśmy albo ze sobą rozmawialiśmy. Ponad wszystko chcę go usłyszeć,

dowiedzieć się, czy wszystko u niego dobrze. Może wtedy uda mi się zasnąć.

„Myślę o tobie. Mam nadzieję, że wszystko w porządku”.

Wysłałam i czekam z telefonem w dłoni. Nie odpowiada. Pewnie nie zasłużyłam.

Miotam się, zastanawiam się, czy postąpiłam słusznie. Maddy się zgadza, nie miałam wyboru, kiedy przyszedł do sklepu, musiałam go odprawić. Ale jakaś część mnie, stopniowo coraz większa, wątpi w to. Ja go kocham. Kocham ponad wszystko. A czy miłość nie polega na tym, że stoi się przy kimś, bez względu na wszystko?

Miłość nie zawodzi. Przęłykam ślinę.

Ale z drugiej strony, miłość musi czasem włożyć bokserskie rękawiczki i być twarda, żeby przetrwać. Czasem trzeba zrobić coś trudnego, żeby pozwolić komuś dojrzeć.

Zasypiam ze łzami na policzku i telefonem w dłoni. Po przebudzeniu widzę esemesa.

„Ja też o tobie myślę. Jest coraz lepiej”.

Uśmiecha mi się serce. Teraz jakoś łatwiej wstać i przeżyć dzień.

– Chyba schudłaś – zauważa Maddy. Wkroczyła właśnie do mojego sklepu w nowiutkich butach i torebką z jedzeniem na wynos.

Podnoszę wzrok znad oprawianego właśnie wydruku

nocnego nieba i przewracam oczami.

– Po pierwsze, z tego co pamiętam, miałyśmy tej zimy zacisnąć pasa – syczę z uniesionymi brwiami i spojrzeniem utkwionym w jej butach.

Spuszcza z pokorą głowę.

– Tak było. Ale sytuacja się poprawia i jest już prawie wiosna.

– Luty to nie wiosna – zauważam sucho. Teraz ona przewraca oczami.

– Pod względem technicznym nie. Ale luty się kończy. To prawie wiosna. Teraz, jak już ludzie nie tkwią po pas w śniegu, biznes zaczął się na nowo rozkręcać. A ty specjalnie zmieniasz temat. Źle się odżywasz. Założę się, że schudłaś jakieś cztery kilo, może cztery i pół. A nie musiałaś ich zrzucać, chudzielcu.

Coś bym powiedziała, ale nie mam punktu zaczepienia. Bo ma rację. Schudłam, a nie musiałam.

– Przyniosłaś mi coś do jedzenia? – pytam za to. Kiwa głową i bezceremonialnie stawia torebkę na moim obrazie.

– Grillowany ser i miseczkę minestrone. Tony mówi, że jak zjesz wszystko, dostaniesz deser. I że masz nogi jak patyki. – Kręcę głową, ale nie mogę się nie uśmiechnąć. Tony nas kocha na swój burkliwy sposób. Nie zdziwiłabym się, gdyby dostawa jedzenia była jego pomysłem, nie Maddy. – Widziałam samochód Paxa pod gabinetem doktora Tylera – oznajmia i sadowi się na wysokim czerwonym krześle. – Ostatnio często tam

bywa. Rozmawialiście?

Żuję kęs kanapki i z trudem przełykam, bo wzięłam za dużo.

– Nie. Od miesiąca. A był w The Hill?

Maddy kręci głową.

– Nie. Przed barem też nie widziałam jego auta. W ogóle się nie pokazuje, z wyjątkiem wizyt u doktora. – Wpatruje się we mnie. – Ignoruję ją. – I co ty na to? – pyta w końcu, wbijając we mnie lodowatoniebieskie oczy. – Nie narusza twojej przestrzeni osobistej i podejmuje wysiłek, żeby pójść naprzód. Nie sądzisz, że już czas na twoją inicjatywę? Może z nim pogadasz?

Prawie mi wypada kanapka.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z moją siostrą?! – prawie krzyczę. – Przecież ty nie lubisz Paxa. Nigdy go nie lubiłaś. Tysiąc razy tłumaczyłaś, że nie jest wart mojego czasu i że nigdy nie będzie materiałem na chłopaka.

Wpatruję się w nią, bo jestem w ciężkim szoku.

Maddy nawet sierotkę potrafi zgrywać z wdziękiem.

– Nie wiem, co się dzieje – przyznaje. – Nie umiem wyjaśnić, co się we mnie zmieniło. Po prostu tak jest. Intuicja mi podpowiada, że zasługuje na drugą szansę. Myślę, że naprawdę się stara. Nie tylko nie widziałam jego samochodu pod barem, ale któregoś dnia wpadłam tam na drinka i pytałam Mickeya, czy go widział. Nie widział.

Wpatruje się we mnie przeciągle i stanowczo. Wzdycham.

– To, że nie chodzi do baru, nie znaczy, że przestał pić. Albo robić gorsze rzeczy. Możliwe, że zabunkrował się w domu z whisky i prochami. Nie wiemy, co robi.

Następuje chwila ciszy, Madison się zastanawia.

– Nie wiesz, co robi – odpowiada w końcu z ociąganiem – bo z nim nie rozmawiałaś. A ja tak.

Tym razem upuszczam kanapkę prosto do talerza z zupą.

– Jak to?! – pytam, a żołądek ląduje mi gdzieś w okolicy kostek. – Kłamałaś? Mówiłaś, że z nim nie rozmawiałaś!

Nie wiem dlaczego, ale strasznie trzęsą mi się ręce, kiedy czekam na jej odpowiedź. Serce tłucze mi się o żebra.

Madison wygląda niepewnie.

– Nie skłamałam. Powiedziałam, że nie było go w The Hill. I nie było. Ale zadzwonił do mnie parę tygodni temu. Wygląda na to, że miał cię na oku i zauważył, że bierzesz dużo zmian w restauracji. Postanowił pomóc.

– Co zrobił?! – pytam histerycznie. Próbuję ogarnąć, co się dzieje. Moja oziębła siostra rozmawiała z Paxem za moimi plecami?!

– Chciał pomóc – powtarza. – Domyślił się, że The Hill znaczy dla nas tak wiele, bo to spełnienie marzenia naszych rodziców i postanowił dopilnować, byśmy jej nie straciły. Spłacił nasz kredyt remontowy, a potem umówił mnie ze swoim doradcą finansowym. Usiedliśmy i napisaliśmy nowy biznesplan. Teraz The

Hill działa bez zarzutu. Musiałam parę rzeczy zmienić i już to zrobiłam. Także w sobie. Wiem, że nie wolno oceniać kogoś, kogo się nie zna. Nie znam Paxa. Nie miałam prawa ci nakazywać, żebyś się od niego trzymała z daleka.

Jestem tak wstrząśnięta, że nie mogę wykrztusić słowa. Czuję, jakby coś mi siedziało na piersi i miażdżyło płuca. Wpatruję się w moją siostrę i nie mogę oddychać.

Sięgam po wodę i piję jeden łyk, a potem następny.

– Pax to wszystko zrobił? – wystękuję w końcu. Maddy kiwa głową.

– Tak, ale zobowiązał mnie do tajemnicy. Nie chciał, żebyś wiedziała. Bardzo mu zależało, żeby szansa, jeśli mu ją dasz, wynikała z tego, na co sam zapracuje, a nie ze współpracy ze mną.

– Jak on się ma? – szepczę. – Wszystko u niego dobrze?

Kiwa głową.

– U niego w domu spotkałam się z tym doradcą. Rozmawialiśmy chwilę. Głównie o tobie. Pytał, jak się czujesz. Ma straszne wyrzuty sumienia po tym, jak cię skrzywdził. Boi się, że nigdy nie zdoła odpokutować. Ale poza tym jest w porządku. Wygląda zdrowo i dwa razy w tygodniu chodzi na terapię. Podobno nawet zaczął się dogadywać z ojcem. To ważne zmiany.

Wiem. Ona ma o wszystkim marne pojęcie. Nie wiedziała miny Paxa po tym, jak się dowiedział, co ojciec

przed nim ukrywał przez lata. Widok zdrady w jego oczach wykręcał mi wnętrzności. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek zdoła wybaczyć.

– Nie wiem, co robić – przyznaję w końcu szeptem. Padam na krzesło obok siostry. Obejmuje mnie szczupłym ramieniem.

– Kochasz go? – pyta i patrzy mi w oczy. Kiwam głową bez sekundy zawahania.

– Jest wart wysiłku i złamanego serca?

Znowu kiwam.

– Jest wart wszystkiego.

Madison się uśmiecha.

– Myślałam, że to powiesz. W takim razie, siostrzyczko, radziłabym ci, żebyś z nim porozmawiała. On się bardzo stara, Podziwiam to i szanuję. Wiem, że cię kocha. – Zamieram. Dosłownie nie mogę się ruszyć. Słyszę w uszach bicie swojego serca. – Na co czekasz? – Maddy mnie lekko popycha. – Jedź!

Więc jadę.

Droga do domu Paxa nigdy jeszcze się tak nie dłużyła. A jednak przez parę minut siedzę w samochodzie, zanim wjadę na podjazd. Danger stoi przede mną, więc wiem, że on jest w domu. Przepęlnia mnie zapierająca dech w piersi niecierpliwość, a jednocześnie skrajne przerażenie. Brnę w śniegu do drzwi.

Co, jeśli już mnie nie chce? Zwlekałam za długo?
Może jest za późno?

Kilka razy głęboko oddycham i stoję przed drzwiami.
Wdech, wydech.

Jeszcze raz.

Naciskam dzwonek, a potem pukam. Nagle ogarnia mnie przemożna potrzeba zobaczenia jego twarzy, upewnienia się, że jest zdrowy i silny. Chcę widzieć jego oczy pozbawione bólu. Czekam, a żołądek mi się ściska. Trwa wieczność, zanim drzwi się otwierają. Brakuje mi tchu.

Po raz pierwszy od miesiąca widzę Paxa; wypełnia całe wejście.

Wygłąda pięknie w czarnych dżinsach i czarnej podkoszulce. Nikt nie umie tak nosić codziennych ciuchów jak on.

Uginają mi się kolana.

Na mój widok szeroko otwiera oczy, ale potem się opamiętuje. Jest przyjazny, miły. Ale ostrożny. Wyraźnie zdystansowany.

– Cześć, Kapturku – mówi cicho i bacznie mi się przygląda. Czeką, aż coś powiem. W końcu to ja przyszedłam do niego. Przętykam ślinę. Muszę się opanować, żeby mu nie paść w ramiona.

– Cześć. – Boże! Chciałam powiedzieć milion rzeczy, a mówię „cześć”?! Chyba zwariowałam. – Mogę wejść? – dodaję szybko. Pax się uśmiecha i robi zapraszający gest dłonią.

– Jasne, zawsze, przecież wiesz. Napijesz się czegoś? Może wody?

Dlaczego jest taki oficjalny? Ścisła mnie w żołądku. Straciłam swoją szansę? Układa sobie życie beze mnie?

Ta myśl mnie niemal paraliżuje, ale jednak udaje mi się podziękować za wodę i pójść za nim do salonu. Rozglądam się. Nic nie zmienił w wystroju. To wciąż przestronny i ascetyczny nowoczesny loft. Gdzieś w głębi odczuwam wielką ulgę. Skoro nie zmienił nic w domu, może nie zmieniły się też jego uczucia do mnie?

Nawet ja wiem, jaka to irracjonalna myśl, ale chyba faktycznie tonący brzytwy się chwyta.

– Jak się masz? – pytam i wpatruję się w niego. – Wszystko dobrze?

Przebiera palcami po okrytym dżinsem udzie. Cały czas ćwicz, to widać. Pod materiałem piętrzą się twarde mięśnie. Przełykam ślinę.

Uśmiecha się.

– Jest naprawdę nieźle. Ale nie będę kłamał, było mi cholernie trudno się z tym wszystkim uporać. Teraz nabrałem dystansu. Przez ubiegły miesiąc przestałem się koncentrować na sobie i skupiam się na tym, co chcę zmienić. Zależy mi, żeby ci dać powód do bycia ze mną – milknie. Patrzy na mnie, a moje serce przestaje bić. W złotych oczach ma tyle życia i ciepła, że nie wiem, jak mogłam kiedykolwiek uważać je za zimne. – Dużo myślałem. Miałaś rację, odrzucając mnie wtedy. Naprawdę. Bardzo długo się zamartwiałem, że wszystko

kompletnie spieprzyłem i nigdy mi nie wybaczysz. Albo że zraniłem cię tak mocno, że więcej na mnie nie spojrzysz. – Chcę mu przerwać, ale podnosi rękę. – Poczekaj. Daj mi dokończyć, proszę. Setki razy planowałem, co ci powiem. I bardzo się cieszę, że dostałem szansę. – Zamykam usta i kiwam głową. On się lekko uśmiecha. – Już to mówiłem, ale powtórzę: jesteś najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem. Piękna ciałem i duchem. Nie zasługiwałem, żeby cię spotkać. W ogóle na ciebie nie zasługuję. Ale niczego tak nie pragnę, jak być z tobą. Do końca życia budzić się przy tobie. Jestem ci taki wdzięczny, że tak długo ze mną wytrzymałaś. I nade wszystko pragnę się dowiedzieć, co mogę zrobić, żebyś znów ze mną była. Powiedz tylko, a ja to zrobię. Cokolwiek to będzie.

Czeka wpatrzony we mnie, a ja nie mogę nic powiedzieć, zatkąło mnie.

– Czyli nie jest za późno? – udaje mi się w końcu wystękać. Pax wygląda na zaskoczonego.

– Jak to? – pyta z niedowierzaniem. – Oczywiście, że nie! Mówiłem, że będę na ciebie czekał wiecznie i tak właśnie jest.

Łzy płyną mi po policzkach, kiedy rzucam mu się w ramiona. Wtulamy się w siebie, a ja chowam twarz na jego piersi. Pachnie jak zimowe, świeże powietrze. Wdycham jego zapach, a wtedy on unosi mi brodę i spotykalają się nasze usta.

Zatracam się w jego pocałunku i wiem, że nie chcę się

stąd nigdzie ruszać. Chcę zostać tutaj, w jego ramionach.
Tu jest moje miejsce.

Rozdział 26

PAX

Mila śpi skulona na moich kolanach. Cały dzień przeleżeliśmy przytuleni na kanapie. Zbliża się wieczór. Opiera twarz na mojej piersi, więc sięgnięcie po telefon tak, żebym jej nie obudził, to wyczyn.

Prawie szeptem zamawiam wielką porcję chińszczyzny z dostawą do domu. Zerkam na Milę i szybko dorzucam do zamówienia deser. Musi jeść. Schudła. Krągłości, które kiedyś tak świetnie wpasowywały się w moje dłonie, znikły.

Odkładam telefon i myślę, że to przeze mnie. Z mojego powodu się tak denerwowała.

Patrzę na nią, odgarniam jej włosy z twarzy i przyglądam się jej ustom, które delikatnie się wydymają przy każdym oddechu. Zauważyłem to już kiedyś. Cholernie urocze. Śpi niewinnie jak dziecko. I właśnie w tej chwili otwiera oczy. A potem szerzej, kiedy do niej dociera, że już się obudziłem.

– Cześć – mruczy i podnosi się.

– Cześć – odpowiadam z uśmiechem i ją obejmuję. –
Dobrze spałaś?

Kiwa głową, jakby się wstydziła, że przespała cały dzień.

– Potrzebujesz snu – zapewniam. – Nie dbałaś o siebie ostatnio.

Spuszcza wzrok.

– Nie mogłam spać – mówi na swoją obronę.

– Wiem – odpowiadam łagodnie. – Ja też nie mogłem.
Ale od tej pory będziemy się wysypiać. Obiecuję.

Wpatruje się we mnie.

– Nie miewasz już koszmarów?

– O dziwo nie. Prawie. Zdarzyło się jeszcze parę razy po hipnozie, ale coraz rzadziej. Chociaż przypomnienie sobie wszystkiego bolało, przeżyłem przy okazji katharsis. Gdy zacząłem o tym opowiadać i radzić sobie z tym, pozbyłem się paru potworów.

– Musisz być bardzo zdolny – mówi, powtarzając moje słowa z początków naszej znajomości. – Czasem przeszłość nie chce, żeby się z nią uporać.

Uśmiecham się.

– Masz rację. Przeszłość potrafi się stawiać. Ale chyba chwilowo ją okiełznałem. I oby tak zostało.

– Tak będzie – odpowiada Mila z przekonaniem. – Bo jesteś zdolny. Zrobisz z nią, co zechcesz.

Wtula nos w moją szyję, a ja ją przytulam jeszcze mocniej.

– Chyba nigdy cię nie wypuszczę – zapowiadam. – Mam nadzieję, że ci wygodnie?

Chichocze.

– Tylko tak gadasz, potem ci nogi zdrętwieją.

– Już ty się tym nie martw. Poza tym ważysz chyba z pięć kilo. A, właśnie. Zamówiłem jedzenie. Będziesz musiała się najeść!

Znów się śmieje.

– Już ty się tym nie martw!

Gdy przyjeżdża dostawa, puszczam Miłę z kolan, a ona zjada wszystko, co jej nakładam na talerz. Potem usiłuję ją namówić na dokładkę, ale odmawia. Nie naciskam. Mam czas do końca świata, żeby ją podtuczyć.

– Mam coś dla ciebie – zapowiadam, gdy już chowamy naczynia do zmywarki. Prostuje się.

– Tak? Ale ja niczego nie potrzebuję. Mam wszystko, czego mi trzeba.

Czyli mnie. Serce mi się rozlewa w klatce piersiowej.

– Ja też mam wszystko – zapewniam. – Ale ponieważ ty nigdzie stąd nie pójdziesz, muszę ci to dać.

Patrzy na mnie z zaciekawieniem, gdy prowadzę ją na drugie piętro i stawiam przed zamkniętymi drzwiami.

– Dajesz mi pokój gościnny? – Unosi brew i zerka. – Nie chcesz, żebym z tobą spała?

– Otwórz drzwi, mądralo.

Uśmiecha się i przekręca gałkę. A potem zamiera.

Zmieniłem pokój gościnny w pracownię dla niej. Całą ścianę zajmuje okno wychodzące na jezioro. Pokój jest

pełen światła. Są tu dwie sztalugi, wbudowane półki pełne wszelkich akcesoriów malarskich, jakie mogą jej być potrzebne, miejsce do siedzenia, a nawet okna dachowe, które kazałem założyć, na te noce, kiedy księżyc wisi nad domem.

Mila zamiera.

– Nic nie powiesz? – pytam. – Zapomniałaś języka?

Uśmiecha się powoli i psotnie.

– Chyba już ustaliliśmy, że z moim językiem jest wszystko w porządku?

Wspomnienia tamtego wieczoru w mojej kuchni zapewniają mi szybszy dopływ krwi w okolice pachwin i muszę szybko pomyśleć o czymś innym. Martwe szczenięta, zakonnice, zimna ryba...

Gdy już zażegnuję kryzys, biorę ją za rękę i prowadzę od półki do półki.

– Chciałem, żebyś miała tu wszystko, co ci potrzebne do malowania. Zapomniałem o czymś?

Obraca się na pięcie i rozgląda.

– To niesamowite – mówi na przydechu. – Pamiętałeś o wszystkim. Ale przygotowanie musiało trochę potrwać. A co, gdyby nam się nie udało dogadać?

Obejmuję ją od tyłu.

– To nie wchodziło w grę – odpowiadam. – Ani przez chwilę. Miłość nie zawodzi. I ja ciebie też nie zawiodę już nigdy. Obiecuję.

Odwracam ją, żeby na mnie popatrzyła tymi pięknymi zielonymi oczami.

– Tamtego dnia, w twoim sklepie, prawie umarłem. Kiedy powiedziałaś „nie”, nie byłem pewien, czy to przeżyję, ale wiedziałem, że muszę. Muszę się zmienić, dla siebie i dla ciebie. I chyba tak się stało. Jeszcze nad tym pracuję, jasne, to potrwa. Ale chcę tego. Choćby mi to miało zająć wieczność. Więc... Poproszę cię jeszcze raz. Zostań u mnie. To tylko pięć minut jazdy do twojego sklepu. Masz już studio, z którego możesz korzystać. Obiecuję, że będę się starał nie chrapać. I opuszczać deskę klozetową. W każdym razie w większości przypadków. Tylko zostań. Proszę. Nie chcę się już więcej z tobą rozstawać.

Mila na mnie patrzy, a jej oczy lśnią.

– Pod jednym warunkiem.

Niemal przestaję oddychać.

– Mów.

– Będiesz mi pozował nago zawsze, jak będę chciała.

W piersi dudni mi śmiech. Chwytam ją i prawie miażdżę jej wargi.

– Zawsze – mruczę w jej usta. – Możesz ze mną robić, co ci się będzie podobało. Nago i w ubraniu.

Śmieje się, a ja ją podnoszę. Oplata mnie w pasie nogami, właśnie tak, jak powinno być. Palcami przeczesuje mi włosy.

– Dobrze – mówi bez tchu. – Zostanę z tobą.

Padamy na podłogę, dotykamy się, wdychamy. Język Mili wślizguje mi się do ust, oddech ma słodki i ciepły. Zaciska na mnie palce i przyciąga mnie coraz bliżej.

Wciąż oplata mnie nogami, a ja jęczę, gdy się o mnie ociera. Potem zjeżdżam ustami na jej szyję, mostek i piersi. Po kilku chwilach pełnych wrzenia ciągnie mnie z powrotem do góry.

Przyciska czoło do mojego i szepcze:

– Kocham cię.

Uśmiecham się w jej usta.

– Wiem.

Szybko przetaczam się z nią w ramionach i zawisam nad nią, a potem wsuwam dłoń między jej nogi. Po minucie dyszy, a po dwóch wykrzykuje moje imię.

Znów się uśmiecham. Ona mnie do siebie przyciąga, wchodzę w nią powoli i rozkosznie.

Aż wzdycham od tej pierwotnej, czystej przyjemności.

Od miłości jest w tym pokoju aż gęsto. Wydaje się niemal namacalna. Kręci mi się od tego w głowie. Nigdy wcześniej nie kochałem się z kobietą. Dotychczas było tylko prostackie pieprzenie. Nigdy nie doznałem czegoś tak... boleśnie słodkiego.

Do teraz.

Z każdym ruchem w mojej piersi wzbiera więcej ciepła i wkrótce czuję, że już go nie pomieszczę. Przytulam do siebie Milę, nie chcę jej puścić ani na moment. A gdy w końcu w niej wybucham, obejmuję ją i trwamy tak przez całą chyba wieczność, spleceni, lepcy i mokrzy.

– To było idealne – mruczy sennie i przeplata palce z moimi.

– Ty jesteś idealna – poprawiam ją i zamykam oczy. I nawet się nie przejmuję, że brzmię jak pizda. Bo taka jest prawda.

Mila mości się przy moim boku i układa mi głowę na piersi. W końcu zaczyna oddychać rytmicznie; zasnęła. Ja wiszę na granicy jawy i snu.

Ostatnią przytomną myślą jest refleksja, że Mila spełniła obietnicę. Przepędziła moje koszmary. Dzięki niej poszedłem do doktora Tylera. Gdybym tego nie zrobił, nigdy bym sobie nie przypomniał, co się stało z moją mamą. A gdybym sobie nie przypomniał, nie wypełniłbym dziury w sercu.

Nigdy nie byłbym cały.

To wszystko dzięki niej.

Nie powiem jej tego, bo tylko machnie ręką i powie, że to przecież ja wszystko naprawiłem, ja wykonałem całą pracę. Nie docenia się. Będę więc po prostu musiał w ramach podziękowań kochać ją codziennie do końca życia. Najważniejsze, że znam prawdę.

I już nigdy nie będę się przed prawdą chował.

Już mnie nie skrzywdzi.

Epilog

MILA

Dwanaście miesięcy później

Trzymam w dłoniach bardzo cenny, stary list na pożółkłym papierze. Czytam go, a w oczach wzbierają mi łzy, które ocieram ostrożnie, żeby nie rozmazać makijażu. Odkładam papier i patrzę na siostrę.

– Tyle się wydarzyło w tym roku – wzdycham. Maddy kiwa głową.

– Fakt – śmieje się. – Kto by pomyślał, że będę tak uwielbiała Paxa?

Wywracam oczami.

– Jak mogłabyś go nie uwielbiać? Jest cudowny! Zrobił wszystko, co obiecał.

Bo zrobił. Zgodnie z danym słowem nadal chodzi do doktora Tylera. Rozpiera mnie duma, bo tyle wysiłku włożył w wypracowanie sposobu, w jaki radzi sobie z przeciwnościami losu. Nasz związek nie mógłby być zdrowszy i pełniejszy. Pax jest piękny, w środku i na

zewnątrz. Całkiem zrezygnował z whisky i narkotyków. Jedyny alkohol, jaki pija, to wino do wspólnych kolacji.

– Nie wierzę, że rzucił Jacka Daniela – mówi z niedowierzaniem Madison i kręci głową. – Coś niesamowitego. Zwłaszcza, jak się rozkręciła ta cała policyjna akcja dotycząca zabójcy jego matki. Takie emocje, a on nawet nie mrugnął. Ani razu nie dał ciała. Muszę powiedzieć, siostrzyczko, że mi zaimponował. Serio.

Kiwam głową i przypominam sobie, jak trudna była dla niego do zniesienia ta „policyjna akcja”.

Na Susannę Tate napadł listonosz, Leroy Ellison. Badania DNA potwierdziły to z 99,9 procentowym prawdopodobieństwem, a Pax zidentyfikował go spośród kilku mężczyzn. Na dodatek opisał szczegółowo tatuaż z węzem na jego biodrze.

Leroy przebywa teraz w więzieniu, gdzie czeka na proces. Prawnicy Tate’ów nie podejrzewają, żeby trwał długo, biorąc pod uwagę niezbite dowody.

– Potem pojawił się jego dziadek, zaczął wszystko naprawiać... Z każdej strony presja. Byłam pewna, że pęknie. A proszę bardzo. – Madison przygląda mi się badawczo.

Muszę przyznać, ja też się denerwowałam. Gdy William Alexander Tate pojawił się w domu Paxa i poprosił o rozmowę, przewidywałam najczarniejsze scenariusze. Ale Pax zabrał go na spacer i pogadali o różnych sprawach.

Przejaśniało mu się w głowie. Nie zaciemniała mu już myśli trauma z przeszłości. Zdecydował się brać większy udział w pracach rodzinnej firmy. Pewnego dnia, po śmierci dziadka, zacznie nią kierować.

Tymczasem pracuje z domu nad jeziorem. Uczy się tajników biznesu i już kilka razy spotkał się z dziadkiem.

Na jednym z tych spotkań dziadek dał mu pudełko listów, które począwszy do dnia narodzin Paxa, pisała do niego matka.

Maddy wskazuje głową na kartkę, którą odłożyłam.

– A o co chodzi z tym listem?

– Wygląda na to – zaczynam wyjaśniać – że kiedy Paul wziął Paxa i przenieśli się do Chicago, zostawił w domu masę rzeczy Susanny. Nie potrafił ich wyrzucić. Dziadek zajął się porządkowaniem i w szafie Susanny, znalazł pudełko z listami. Jak była w ciąży, szalały jej hormony, była bardzo wrażliwa i postanowiła pisać do Paxa listy z okazji ważnych wydarzeń w jego życiu, na wypadek, gdyby coś jej się kiedyś stało. Paul mówi, że się z niej z tego powodu nabijał, ale ona i tak pisała. Okazało się, że jej zapobiegliwość się opłacała.

– Boże – wzdycha Maddy. – Aż mam gęsią skórkę. Niesamowite!

Kiwam głową.

– Wiem. William przechowywał je przez te wszystkie lata.

– A dlaczego Pax chciał, żebym ci dzisiaj przywiozła ten? – dopytuje Maddy.

Podnoszę list i odwracam w jej stronę. Zdaje się, że nie przyjrzała się kopercie, gdy go dla mnie wiozła.

Widnieje na niej napis: „Dla Paxa w dniu jego ślubu”.

A jego ślub wypada dzisiaj.

Maddy wytrzeszcza oczy.

– Rany! Co napisała?

Ręce mi się trzęsą, gdy jeszcze raz czytam list napisany eleganckim pismem. Tym razem na głos, dla Madison. Chce mi się płakać, takie cudowne są te słowa:

Do mojego pięknego syna,

Gdy teraz na ciebie patrzę, jak chodzisz po ogrodzie i zbierasz gąsienice, nie potrafię sobie wyobrazić, że twoje maleńkie, pulchne rączki zmienią się w duże i smukłe dłonie, takie, jak ma twój ojciec. Będziesz dorosły, staniesz się mężczyzną. Przyjdzie czas, że dojrzejesz i znajdziesz kobietę, którą pokochasz.

Wiem, że ten dzień nadejdzie, zawsze nadchodzi. Wyrośniesz duży, silny i piękny, a twoja żona będzie szczęściarą, że Cię ma. I Ty też będziesz szczęściarzem, że masz ją. Bo każdy, kto zdobędzie twoje serce, musi być równie piękny i niezwykły jak Ty. Będziecie do siebie pasować pod każdym względem. Taką mam nadzieję.

Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że mnie przy Tobie nie ma. Ale chcę, żebyś wiedział, że moje serce trwa. I moja miłość. Moja miłość będzie w Tobie żyła zawsze. A gdy weźmiesz na ręce swoje dzieci, a potem wnuki, przekażesz im ją, bo ona się nigdy nie kończy. Tylko trwa i trwa, i trwa.

Mój piękny synku, kocham Cię. Mam nadzieję, że Twoje małżeństwo będzie pełne cudów, śmiechu i miłości. Zasługujesz na to i na wiele więcej. Pamiętaj, że jestem bardzo dumna z mężczyzny, którym się stałeś. Wiem to już teraz, choć wciąż jesteś chłopcem. Wiem, bo dostrzegam w Twoich oczach zapowiedź przyszłości.

Nie smuć się, że mnie nie ma. Ja wierzę w niebo, w cudowne miejsce pełne przebaczenia i miłości. Dlatego wiem, że pewnego dnia znów cię zobaczę. Ale tymczasem dbaj o swoją żonę, niech będzie szczęśliwa, bezpieczna i kochana.

*Kocham cię z całego serca,
Twoja na zawsze,
mama*

Łzy kapią na delikatny papier, więc szybko go odsuwam. Nie mogę zniszczyć tego listu. Zachowamy go, żeby pewnego dnia mogły go czytać nasze dzieci.

Miłość nie zawodzi.

To zdanie zostało naszym przesłaniem. Wygrawerowaliśmy je na obrączkach, którymi się dziś wymienimy. A w tym cudownym liście jego mama mówi o tym po swojemu. Kobieta, która kochała swojego syna tak bardzo, że oddała życie, żeby go chronić.

Ja też go tak kocham.

Zdaję sobie z tego sprawę, gdy chowam list do koperty i poprawiam welon. Kocham Paxa bardziej niż swoje życie. Tak jak jego matka umarłabym za niego. Gdziekolwiek jest Susanna Tate, mam nadzieję, że o tym

wie.

– W porządku? – pyta cicho Madison, gdy ocieram rozmazaną smugę pod okiem. Kiwam głową.

– Tak. To jest po prostu piękne. Mam nadzieję, że spełnię jej oczekiwania.

Madison się uśmiecha i poprawia mi suknię.

– Oczywiście, że spełnisz! Jesteś niezwykła, tak, jak napisała.

Robi mi się ciepło. Akurat, gdy ją przytulam, do pokoju zagląda Tony. Jest ubrany w smoking, bo w zastępstwie mojego taty poprowadzi mnie do ołtarza.

– Gotowa? – pyta i nadstawia ramię.

Kiwam głową, a Madison klęka, żeby zebrać długi, biały tren.

Oczywiście, że jestem gotowa.

Nigdy nie byłam bardziej pewna.

Stajemy z tyłu kościoła, tego, który tak często widywałam w snach, i czuję, że przepęlnia mnie nadzieja i nieskończona radość. Tutaj, gdzie odbyło się pożegnanie moich rodziców, będzie także mój ślub. Kolejny dowód, że życie jest pełne dobra i zła. Ja i Pax pokonaliśmy już wiele zła, ale pewnie będziemy się z nim zmagać dalej, tak działa życie.

Patrząc na niego i w jednej chwili przepęlnia mnie spokój. Jest moim spokojem, tak jak wcześniej swojej matki.

Patrzy mi w oczy, uśmiecha się pięknie i zaraźliwie. Czeka na mnie w promieniach porannego słońca. Jest

taki przystojny, wysoki i silny, że aż mnie zatyka.

Zmuszam się do wzięcia głębokiego wdechu.

Zaczyna grać muzyka.

Każdy krok przybliżył mnie do niego.

Gdy w końcu stoję obok, splatamy dłonie.

Patrzę mu w oczy i nie mogę się doczekać, aż zostanę mu poślubiona.

Powtarzam słowa przysięgi i kończę ją słowami:

– Będę cię kochać każdego dnia mojego życia.

Wiem, że tak się stanie.

Bo prawdziwa miłość nigdy nie zawodzi.

I nie umiera.

Tylko trwa i trwa, i trwa.

Na zawsze.

Od Autorki

Napisałam tę książkę z kilku powodów.

Po pierwsze: bliska mi osoba zażywała narkotyki, żeby poradzić sobie z życiem. Nie był uzależniony, ale tak jak Pax, balansował na granicy. Gdyby nie poszukał pomocy i nie nauczył się zdrowego radzenia sobie ze stresem, wkroczyłby na mroczną, autodestrukcyjną ścieżkę, co mogło się skończyć tragicznie. Do końca życia będę wdzięczna, że zdecydował się walczyć, zorientował się, że potrzebuje pomocy i pracował, by osiągnąć cel.

Po drugie: wiele lat temu słyszałam w wiadomościach historię, która mnie od tamtej pory prześladowała. Chodziło o młodą matkę, dziecko i napastnika. Spotkało ich to samo, co Paxa i jego matkę w książce, ale jakimś cudem prawdziwej matce i dziecku udało się uciec. Przez lata na milion sposobów myślałam o tej historii, a potem, jak to pisarka, zaczęłam sobie wyobrazać, co by się stało z chłopcem, gdyby ten mężczyzna zabił jego mamę. Uznałam, że wybrałby życie w nieświadomości, bezpieczne i spokojne. Tak się narodziła postać Paxa.

To opowieść o mężczyźnie balansującym na krawędzi. Mógł wylądować po jednej albo po drugiej stronie, jasnej albo ciemnej. Zdecydował się postawić stopę w świetle, choć to trudniejszy wybór i wymaga wysiłku. Chciałam tą książką przekazać coś każdemu, kto znajduje się w podobnej sytuacji i jeszcze się waha. Światło jest warte każdego trudu. Bądź silny i walcz o światło!

Zdanie: „Miłość nie zawodzi”, jest dla mnie ważne i osobiste. Wygrawerowałam je na obrączce ślubnej, tak jak Pax i Mila.

Moi dziadkowie, razem przez sześćdziesiąt lat, byli parą najmądrzejszych, najwrażliwszych i najbardziej niesamowitych ludzi, jakich miałam zaszczyt kiedykolwiek poznać. Babcia często mi powtarzała: „Miłość nie zawodzi, skarbie, naprawdę”.

I wiecie co? Miała rację. Prawdziwa miłość nie zawodzi. I naprawdę trwa i trwa, i trwa. Tego kogoś może już nie być, a miłość zostaje.

Miłość jest silniejsza niż wszystko inne. Pomoże Ci pokonać trudności, kiedy wszystko inne zawiedzie. Więc zawierz jej, licz na nią. Pielęgnuj ją. Oddaj się jej.

Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest.

Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą.

Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim

pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma.

Miłość nigdy nie ustaje (...)

(List do Koryntian)

Podziękowania

Chciałabym podziękować tylu ludziom, a mam tak mało miejsca. Spróbuję jednak.

Nie podam imienia osoby, która stanowiła inspirację dla postaci Paxa, bo wiem, że by sobie tego nie życzył. Ale mu dziękuję. Za siłę i za to, że odkrył, co dla niego dobre. Będę go kochać do końca życia.

M. Leighton dziękuję za to, że zawsze była przy mnie, bez względu na czas i miejsce. Jesteś wymarzoną najlepszą przyjaciółką i jestem bardzo szczęśliwa, że Cię mam. Kocham Cię.

Autumn z Autumn Review – kocham Cię, kocham! Dziękuję, że zwracałaś mnie z krawędzi i przemawiałaś do rozumu, gdy miotalam się w atakach paniki. Dziękuję Ci za bycie dobrą słuchaczką i tak wspinałą przyjaciółką. Twoje uwagi i rady zawsze trafiały w sedno. Szczęściara ze mnie, że cię mam.

Fisher Amelie – kocham Cię. Masz za sobą ciężki rok, ale udało Ci się go przetrwać i pozostać tą samą łagodną istotą. Podziwiam Cię za to. Cieszę się, że jesteś tym, kim jesteś i że znalazłaś się w moim życiu.

Sarah Hansen z Okay Creations – dziękuję za cudowną okładkę. Jestem nią zachwycona. Kocham ją! Jesteś niesamowita.

Luise Hansen – dziękuję, że jesteś doskonałą redaktorką i za wyszlifowanie tej książki, że aż lśni. Jesteś niesamowita, a ja mam wielkie szczęście, że cię znalazłam. Kocham Cię! Zdobywaj szybko to pozwolenie na zawarcie małżeństwa!

Kelly Simmon z InkSlinger PR – jesteś obłędnie niesamowita! A mnie spotkał cud, że Cię znalazłam, a tym bardziej, że zechciałaś mnie przyjąć. Najlepsza wydawczyni świata!

Mollie Harper i Meg Ridgeway – dziękuję Wam obu za tak wnikliwą lekturę i cenne uwagi. Obie jesteście cudowne!

Moi dziadkowie już nie żyją, ale i tak chciałabym im podziękować. To im w dużej mierze zawdzięczam, jaką osobą jestem dzisiaj. Dawali mi przykład, i to jaki!

Moje dzieci – dziękuję, że jesteście sobą. Że mnie rozśmieszacie, doprowadzacie do płaczu i pokazujecie miłość w najczystszej postaci. Będę was kochała do końca życia.

Mój mąż – nigdy nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę jesteś moją lepszą połową. Wspierasz mnie, oferujesz ramię, na którym mogę się wypłakać i mnie rozśmieszasz. Bez Ciebie nie umiałabym żyć. Gdybyś jeszcze nauczył się gotować, byłbyś chodzącym ideałem! Ha Ha! A tak na serio, kocham Cię bardziej niż potrafię to wyrazić i

jestem za Ciebie niewypowiedzianie wdzięczna. Miłość nie zawodzi. Dowiedliśmy tego już sto razy i nie mogę się doczekać kolejnej wspólnej setki.

A wreszcie... Moi czytelnicy!!! Dziękuję Wam, że czytacie moje książki! Dziękuję za maile, posty na Facebooku i tweety. Mam wielkie szczęście! Dzięki Wam mogę robić to, co robię.

Table of Contents

[Tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Epilog](#)

[Od Autorki](#)

[Podziękowania](#)